

ANDREW LANE



MŁODY  
SHERLOCK  
HOLMES

W  
PŁYŃ  
CD

ZABÓJCZA CHMURA

---

---

ANDREW LANE

MŁODY  
SHERLOCK  
HOLMES

ZABÓJCZA CHMURA

---

---

Przełożyła  
Dominika Cieśla-Szymańska

W  
yds  
a  
two  
b  
wnic

Tytuł oryginału: *Young Sherlock Holmes: Death Cloud*

Copyright © 2010 Andrew Lane The original edition is published by Macmillan Children's Books, London

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2011

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2011

Wydanie I

Warszawa 2011

Przekład: Dominika Cieśla-Szymańska

Redaktor prowadząca: Natalia Sikora

Redakcja: Marta Małecka-Kisiel

Korekta: Justyna Żebrowska, Jadwiga Piller

Redakcja techniczna: Anna Gajewska

Opracowanie okładki polskiej i stron tytułowych na podstawie wersji oryginalnej: Szymon Wójciak

Ilustracja na okładce: Ker Walker i Sam Hadley

Fotografia autora: © Helen Stirling

Skład i łamanie: AdamDabrowski.com

Wydawnictwo W.A.B.

02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

[wab@wab.com.pl](mailto:wab@wab.com.pl) [www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

ISBN 978-83-7747-320-7

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.

[virtualo.eu](http://virtualo.eu)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

## Andrew Lane



(ur. 1963) – brytyjski pisarz, scenarzysta, dziennikarz, fan Sherlocka Holmesa.

Jest autorem około dwudziestu powieści (opartych m.in. na serialu *Doktor Who*) oraz książek poświęconych postaciom takim jak James Bond czy Wallace i Gromit. Jego cykl o młodym Holmesie ukazuje się za oficjalnym przyzwoleniem spadkobierców Conan Doyle'a.

# Spis treści

[Dedykacja](#)

[PROLOG](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

UWAGA NA TEMAT PIENIĘDZY

PODZIĘKOWANIA

POSŁOWIE

Przypisy.



# Dedykacja

*Dedykuję pamięci autorów książek dla młodzieży, których powieści pochłaniałem w młodości: kpt. W.E. Johnsa, Hugh Waltersa, Andre Nortona, Malcolma Saville'a, Alana E. Norse'a i Johna Christophera, dziękując także za przyjaźń i wsparcie tym przedstawicielom najmłodszego pokolenia, których miałem szczęście poznać:*

*Benowi Jeapesowi, Stephenowi Cole'owi, Justinowi Richardsowi, Gusowi Smithowi oraz niezrównanemu Charliemu Higsonowi.*

*Wyrazy wdzięczności zechcą przyjąć również: Rebecca McNally i Robert Kirby za wiarę we mnie, Jon Lellenberg i Charles Foley za udzielenie zgody, Gareth Pugh za wszystko, czego dowiedziałem się o pszczołach, oraz Nigel McCreary, dzięki któremu nie zwariowałem podczas tej pracy.*

# PROLOG

Kiedy Matthew Arnatt po raz pierwszy zobaczył chmurę śmierci, unosiła się ona na wysokości okna na pierwszym piętrze domu stojącego w pobliżu miejsca, w którym mieszkał.

Kręcił się właśnie po High Street w handlowym Farnham, szukając owoców lub kawałków chleba, które upuścili nieuważni przechodnie. Powinien był przepatrywać ziemię pod nogami, ale wciąż spoglądał w górę na domy, sklepy i tłoczących się wokół niego ludzi. Miał zaledwie czternaście lat i, o ile pamiętał, nigdy wcześniej nie był w tak dużym mieście. W tej zamożnej dzielnicy Farnham starsze domostwa z drewnianym belkowaniem pochylały się ku sobie, a ich górne piętra wisiały nad przechodzącymi poniżej niczym ciemne obłoki.

Ulica była częściowo brukowana kocimi łbami, ale w pewnej odległości bruk ustępował miejsca klepisku, z którego końskie kopyta i koła przejeżdżających z łoskotem wozów wzbijały kłęby pyłu. Co kilka jardów<sup>1</sup> przy drodze leżał kopiec końskiego nawozu, czasem jeszcze parującego, z unoszącą się nad nim chmarą much, a czasem starego

i wyschniętego, który wyglądał jak zbity kłęb trawy czy siana.

Matthew czuł ostrą woń ciepłego nawozu, ale dolatywał go też zapach świeżego chleba oraz chyba wieprzowiny pieczonej na ruszcie nad dużym ogniem. Oczami wyobraźni ujrzał tłuszcz kapiący i skwierczący w płomieniach. Żołądek ścisnął mu się z głodu tak mocno, że chłopiec niemal zgiął się wpół od nagłego bólu. Już od kilku dni nie miał w ustach porządnej strawy. Nie był pewien, jak długo jeszcze wytrzyma.

Jeden z przechodniów, baryłkowaty jegomość w brązowym meloniku i ciemnym, znoszonym ubraniu, przystanął i wyciągnął do niego rękę, jakby chciał mu pomóc. Matthew cofnął się. Nie chciał żadnej dobroczynności. Dobroczynność oznaczała przytułek, gdzie trzeba pracować, albo sierociniec, a on nie chciał wchodzić na ścieżkę prowadzącą do żadnego z tych miejsc. Da sobie radę sam. Musi tylko znaleźć coś do jedzenia. Kiedy coś zje, wszystko będzie dobrze.

Zanim jegomość zdążył położyć mu rękę na ramieniu, Matthew umknął przed jego dłonią, a potem zawrócił i skręcił w boczną uliczkę, tak wąską, że górne piętra domów niemal się nad nią stykały. Gdyby ktoś miał ochotę, mógłby przejść ze swojej sypialni wprost do mieszkania sąsiada.

I właśnie w tej chwili ujrzał zabójczą chmurę. Wtedy jeszcze nie wiedział, co to takiego, o tym miał się przekonać później. Dostrzegł tylko ciemną plamę wielkości dużego

psa, która wylewała się z otwartego okna jak dym, ale dym obdarzony własną wolą. Chmura zatrzymała się na chwilę, po czym skierowała w bok ku rynnie, gdzie skręciła i zaczęła wspinać się w stronę dachu. Zapomniawszy o głodzie, Matthew patrzył z otwartymi ustami, jak obłok przelewa się przez ostrą kalenicę i znika mu z pola widzenia.

Ciszę przerwał krzyk - płynący z otwartego okna - a wtedy chłopak odwrócił się i pognął ulicą tak szybko, jak tylko pozwalały mu patykowate nogi. Nikt nie krzyczałby tak z zaskoczenia. A nawet ze wzburzenia. Nie, z tego co wiedział Matthew, tak można krzyczeć tylko w śmiertelnym strachu o własne życie, a z tym, co wzbudziło ów strach, za nic nie chciałby stanąć oko w oko.



- Ty tam! Podejdź tu!

Sherlock Holmes odwrócił się, by zobaczyć, kto woła i kogo. Tego słonecznego ranka przed szkołą dla chłopców w Deepdene stały setki uczniów, każdy w nieskazitelnym szkolnym mundurku i z opasanym rzemieniem kuferkiem albo górą bagażu leżącą obok niczym przekarmiony, wierny pies. Wołanie mogło dotyczyć któregokolwiek z nich. Nauczyciele z Deepdene nigdy nie zwracali się do uczniów po imieniu - zawsze mówili tylko: „Ty!”, „Chłopcze!” albo „Dziecko!”. Utrudniało to życie i wymagało ciągłej czujności, co zapewne było celem nauczycieli. A może po prostu pedagodzy już dawno temu zrezygnowali z zapamiętywania nazwisk uczniów. Sherlock nie miał pewności, które wytłumaczenie jest bardziej prawdopodobne. Może oba.

Poza nim żaden z chłopców nie zwrócił uwagi na wołanie. Albo gawędzili z krewnymi, którzy po nich przyjechali, albo też z niecierpliwością wpatrywali się w bramę szkoły, czekając na powóz, który miał ich zabrać do domu.

Sherlock niechętnie obrócił się na pięcie, by przekonać się, czy złośliwy palec losu wskazuje na niego.

Tak było. Rzeczony palec należał w tym przypadku do pana Tulleya, łacinnika. Podszedł on właśnie do narożnika budynku, gdzie nieco z dala od pozostałych chłopców stał Sherlock. Surdut nauczyciela, zwykle pobrudzony kredowym pyłem, został specjalnie oczyszczony na okazję zakończenia semestru i nieuchronnych spotkań z ojcami, którzy płacili za naukę swych synów, a biret tkwił na jego głowie tak prosto, jakby przytwierdził go tam osobiście sam dyrektor.

- Ja, panie profesorze?

- Tak, ty! - warknął pedagog. - Ruszaj do gabinetu dyrektora *quam celerrime*. Czy zostało ci w głowie dość łaciny, by zrozumieć, co to znaczy?

- To znaczy „natychmiast”, panie profesorze.

- Zatem pospiesz się.

Sherlock zerknął ku bramie szkoły.

- Ale panie profesorze, czekam na ojca, który ma mnie odebrać.

- Z pewnością nie odjedzie bez ciebie, chłopcze.

Sherlock podjął jeszcze jedną bezczelną próbę.

- Mój bagaż...

Pan Tulley zerknął pogardliwie na zniszczony drewniany kufer Sherlocka - pamiątkę po wojskowych podróżach ojca - pełen zastarzałych plam i nadgryziony zębem czasu.

- Nie sądzę, by ktokolwiek chciał go ukraść - powiedział - chyba że ze względu na wartość zabytkową. Poproszę

woźnego, by go dopilnował. A teraz ruszaj.

Sherlock z wahaniem zostawił swój dobytek - zapasowe koszule i bieliznę, tomiki poezji i kajety, w których zwykł notować swoje pomysły, przemyślenia, rozważania i melodie, jakie czasem przychodziły mu do głowy - po czym poszedł ku otoczonemu kolumnami wejściu do budynku szkoły. Przepychając się przez tłum uczniów, ich rodziców i rodzeństwa, zarazem nieustannie zerkał ku bramie, gdzie tłoczyły się konne powozy próbujące przejechać przez nią wszystkie naraz.

Główny hall wejściowy zdobiła dębowa boazeria i ustawione półkolem marmurowe popiersia poprzednich dyrektorów i patronów, każde na osobnym postumencie. Snopy światła padały ukośnie z wysokich okien na czarno-białe płytki podłogi, rozświetlając wirujące drobinki kredowego pyłu. Ścisk panujący w hallu rodził niebezpieczeństwo, że lada chwila jakieś popiersie zostanie strącone z postumentu. Na niektórych widniały duże pęknięcia szpecące gładki marmur, co nasuwało wniosek, że przy każdym zakończeniu semestru co najmniej jedno z nich rozbijało się o podłogę i trzeba je było sklejać.

Sherlock przemykał się między ludźmi, którzy nie zwracali na niego uwagi, aż w końcu udało mu się wydostać z tłumu i wejść w korytarz wychodzący z hallu. Gabinet dyrektora mieścił się kilka jardów dalej. Zatrzymawszy się na progu, Sherlock wziął głęboki oddech, otrzepał klapy mundurka i zapukał.

- Wejść! - zahuczał głos niczym w teatrze.

Sherlock przekręcił gałkę i otworzył drzwi, starając się opanować nerwowy skurcz, którzy przeszył jego ciało niby błyskawica. W gabinecie dyrektora był dotąd tylko dwa razy: raz z ojcem, kiedy przyjechał do Deepdene, oraz rok później, kiedy wraz z grupą uczniów oskarżono go o ściąganie na egzaminie. Trzech prowodyrów poddano chłości i usunięto ze szkoły, czterech czy pięciu pozostałych wychłostano aż do krwi i pozwolono im zostać. Sherlock - którego wypracowania spisywali koledzy - uniknął kary, ponieważ twierdził, że nic nie wiedział o całym procederze. W rzeczywistości wiedział o wszystkim, ale w szkole był zawsze nieco na uboczu, a skoro dzięki spisywaniu miał być tolerowany, czy wręcz lubiany, nie czuł żadnych skrupułów. Lecz nie zamierzał też donosić na spisujących - wtedy by go pobili albo być może przytrzymali przed buzującym kominkiem w jednym w dormitorium, aż ubranie zaczęłoby mu dymić, a skóra pokryła się bąblami. Tak właśnie wyglądało szkolne życie - nieustanne balansowanie między nauczycielami a innymi uczniami. Nienawidził tego.

Gabinet dyrektora wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętał: ogromny, ponury, pachnący skórą i tytoniem do fajki. Pan Tomblinson siedział za biurkiem tak wielkim, że można by na nim grać w kręgle. Był zażywnym jegomościem w nieco za ciasnym ubraniu, które zapewne pomagało mu ukrywać przed samym sobą ewidentną obfitość kształtów.

- A, Holmes? Wejdz, chłopcze. Zamknij za sobą drzwi.



Sherlock zrobił, jak mu kazano, ale zamykając drzwi, spostrzegł, że w pokoju jest ktoś jeszcze: mężczyzna stojący przy oknie z kieliszkiem sherry w dłoni. Światło odbite od rżniętego szkła rzucało tęczowe refleksy.

- Mycroft? - powiedział zdumiony Sherlock.

Starszy brat odwrócił się ku niemu, a uśmiech przemknął przez jego twarz tak szybko, że gdyby Sherlock akurat mrugnął, mógłby go nie zauważyć.

- Sherlock. Urosłeś.

- Ty też - odparł. Brat rzeczywiście przybrał na wadze. Był niemal równie pulchny jak dyrektor, ale jego ubranie skrojono tak, by raczej to ukrywać, niż podkreślać.

- Przyjechałeś powozem ojca.

Mycroft uniósł brew.

- Jak, u diabła, domyśliłeś się tego, młody człowieku?

Sherlock wzruszył ramionami.

- Zauważyłem równoległe zagniecenia na twoich spodniach, tam gdzie odgniotła się na nich tapicerka, a pamiętam, że w powozie ojca na siedzeniu jest rozdarcie, które zaszyto dość niestarannie kilka lat temu. Szew odcisnął się na twoich spodniach, obok zagnieceń. - Urwał.

- Mycroftcie, gdzie jest ojciec?

Dyrektor chrząknął, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Twój ojciec...

- Ojciec nie przyjedzie - przerwał mu łagodnie Mycroft. - Jego regiment został wysłany do Indii, by wzmocnić stacjonujące tam oddziały. Na granicy północno-zachodniej zrobiło się niespokojnie. Wiesz, gdzie to jest?

- Tak. Uczyliśmy się o Indiach na geografii i historii.

- Mądry chłopak.

- Nie wiedziałem, że tubylcy znów się burzą - zadudnił dyrektor. - W „Timesie” z pewnością nie było o tym wzmianki.

- To nie Hindusi - zdradził mu Mycroft. - Kiedy przejęliśmy kraj od Kompanii Wschodnioindyjskiej, żołnierze będący pod jej rozkazami przeszli na powrót pod rozkazy armii. Niektórym nowa dyscyplina wydała się znacznie... surowsza niż ta, do której przywykli. Nastroje były tak fatalne, że rząd postanowił radykalnie zwiększyć liczebność wojska w Indiach, by pokazać im, jak wyglądają prawdziwi żołnierze. Już sam bunt Hindusów to poważny problem, bunt w Armii Brytyjskiej byłby czymś nie do pomyślenia.

- A czy istotnie dojdzie do buntu? - zapytał Sherlock, czując, jak serce zaczyna ciążyć mu niczym kamień. - Czy ojciec będzie bezpieczny?

Mycroft wzruszył potężnymi ramionami.

- Nie wiem - powiedział. Między innymi za to Sherlock szanował swojego brata. Zawsze odpowiadał wprost na zadane wprost pytanie. Żadnego owijania w bawełnę. - Niestety, nie o wszystkim mi wiadomo. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Pracujesz przecież dla rządu? - naciskał Sherlock. - Musisz choć trochę wiedzieć, co może się stać. Nie możesz wysłać innego oddziału? Zatrzymać ojca w Anglii?

- Pracuję w Ministerstwie Spraw Zagranicznych dopiero od kilku tygodni - odparł Mycroft - i choć pochlebiasz mi, przypisując wpływ na tak poważne sprawy, niestety, nie mogę nic zrobić. Jestem tylko doradcą. W istocie jedynie urzędnikiem.

- Na jak długo ojciec wyjeżdża? - zapytał Sherlock, przypominając sobie potężną postać mężczyzny w szkarłatnej serżowej kurtce z białymi pasami krzyżującymi się na piersi, którego łatwo było rozbawić, trudno za to wytrącić z równowagi. Sherlock czuł ucisk w klatce, ale trzymał emocje na wodzy. Jeśli cokolwiek wyniósł z nauki w szkole Deepdene, to przede wszystkim zasadę, by nigdy ich nie okazywać, bo z pewnością ktoś wykorzysta je przeciwko tobie.

- Sześć tygodni rejsu, sześć miesięcy, jak sądzę, na miejscu, po czym kolejne sześć tygodni na powrót. Razem dziewięć miesięcy.

- Niemal rok. - Sherlock pochylił głowę, starając się zapanować nad sobą. - Możemy już jechać do domu?

- Nie jedziesz do domu - odparł Mycroft.

Sherlock stał nieruchomo, czekając w milczeniu, aż dotrze do niego sens tych słów.

- Chłopak nie może tu zostać - mruknął dyrektor. - Szkoła będzie sprządana.

Mycroft przeniósł swoje niewzruszone spojrzenie z Sherlocka na dyrektora.

- Matka... źle się czuje - powiedział. - Jest nader delikatnego zdrowia, a sprawa z ojcem jeszcze je

nadwąтлиła. Potrzeba jej ciszy i spokoju, Sherlockowi zaś kogoś starszego, kto by się nim zajął.

- Ale przecież jesteś ty! - zaprotestował Sherlock.

Mycroft ze smutkiem potrząsnął dużą głową.

- Mieszkam teraz w Londynie, a moje stanowisko wymaga pracy przez wiele godzin dziennie. Obawiam się, że nie byłbym dobrym opiekunem dla chłopca, zwłaszcza tak ciekawskiego jak ty. - Odwrócił się w stronę dyrektora, tak jakby łatwiej mu było przekazać kolejną wiadomość jemu zamiast Sherlockowi. - Chociaż nasza rodzina mieszka w Horsham, mamy krewnych w Farnham, całkiem niedaleko stąd. Stryja i stryjenkę. Sherlock zatrzyma się u nich na czas wakacji.

- Nie! - wybuchnął Sherlock.

- Tak - odparł łagodnie Mycroft. - Wszystko już ustalone. Stryj Sherrinford i stryjenka Anna zgodzili się przyjąć cię na lato.

- Ale ja ich nawet nie znam!

- Niemniej to twoi krewni.

Mycroft pożegnał się z dyrektorem, podczas gdy osłupiały Sherlock próbował pojąć okropność tego, co się właśnie stało. Nie jedzie do domu. Nie zobaczy się z ojcem ani z matką. Nie będzie wędrował po polach i lasach otaczających posiadłość, która była mu domem przez czternaście lat. Nie zaśnie w starym łóżku w pokoju na poddaszu, gdzie trzymał wszystkie swoje książki. Nie będzie wślizgiwał się do kuchni, gdzie kucharka, jeśli tylko się do niej uśmiechnął, dawała mu kromkę chleba

z dżemem. Zamiast tego zupełnie sam spędzi kilka tygodni z ludźmi, których nie zna, będzie musiał zachowywać się nienagannie. Na dodatek zaś wszystko to w mieście, a nawet hrabstwie, o którym nic nie wie. A potem wróci do szkoły.

Jak on to wytrzyma?

Sherlock wyszedł za Mycroftem z gabinetu dyrektora i ruszyli korytarzem do hallu. Przed drzwiami szkoły stał jednokonny, kryty powóz. Po podróży Mycrofta do Deepdene miał zabłocone koła, a boki zakurzone. Na drzwiczkach widniał herb Holmesów. Kufer młodszego z braci już załadowano na tył pojazdu. Chuderławy woźnica, którego Sherlock nie znał, siedział na koźle, luźno trzymając lejce.

- Skąd wiedział, który to mój kufer?

Mycroft machnął lekceważąco dłonią.

- Widziałem go z okna gabinetu dyrektora. To był jedyny bagaż, którego nikt nie pilnował. A poza tym tego kufra używał kiedyś ojciec. Dyrektor był tak uprzejmy, że posłał jednego z chłopców, by powiedział woźnicy, że ma go załadować na powóz.

Otworzył drzwiczki powozu i skinął na Sherlocka, by wsiadał. Chłopiec jednak obrzucił jeszcze spojrzeniem szkołę i kolegów.

- Patrzysz tak, jakbyś miał ich nigdy więcej nie zobaczyć - powiedział Mycroft.

- Nie o to chodzi - odparł Sherlock. - Myślałem tylko, że wakacje spędzę w miejscu lepszym niż to. Teraz wiem, że

raczej w gorszym. Tu jest strasznie, ale może być jeszcze gorzej.

- Nie będzie tak źle. Stryj Sherrinford i stryjenka Anna to mili ludzie.

- Dlaczego więc nigdy o nich nie słyszałem? - zapytał Sherlock. - Dlaczego ojciec nigdy nie wspominał, że ma brata?

Przez twarz Mycrofta przebiegł niemal niezauważalny grymas.

- Myślę, że w rodzinie nastąpił niegdyś rozłam. Przez pewien czas stosunki były napięte. Matka odnowiła kontakty kilka miesięcy temu, pisząc do stryjostwa list. Nie mam nawet pewności, czy ojciec o tym wie.

- I właśnie tam mnie wysyłasz?

Mycroft poklepał Sherlocka po ramieniu.

- Gdyby było jakieś inne wyjście, nie robiłbym tego, wierz mi. Czy chcesz się pożegnać z przyjaciółmi?

Sherlock rozejrzał się. Widział znajomych chłopców, ale czy któregoś z nich mógłby nazwać przyjacielem?

- Nie - odrzekł. - Jedźmy już.

Podróż do Farnham zabrała im kilka godzin. Kiedy wyjechali za Dorking, miasteczko położone najbliżej szkoły Deepdene, powóz ruszył z turkotem wiejskimi drogami w tunelach drzew, mijając od czasu do czasu kryte strzechą chaty albo jakiś większy dom oraz pola pełne dojrzałego jęczmienia. Słońce prażyło z bezchmurnego nieba, zmieniając pojazd w piekarnik mimo powiewów wiatru, jakie wpadały do środka. Przy szybach leniwie brzęczały

owady. Sherlock patrzył przez jakiś czas na świat przesuwany się za oknami. Zatrzymali się na lunch w gospodzie, gdzie Mycroft kupił trochę szynki i sera oraz pół bochenka chleba. W pewnym momencie Sherlock zasnął.

Kiedy się obudził, nie wiedział, czy minęło kilka minut, czy godzin, a powóz wciąż jechał przez taki sam krajobraz. Gawędzili z Mycroftem o tym, co ostatnio działo się w domu, o ich siostrze, o wątłym zdrowiu matki. Mycroft pytał, jak mu idzie nauka, Sherlock zaś opowiadał trochę o rozmaitych lekcjach, na których musiał wysiedzieć, i nieco więcej o nauczycielach. Naśladował ich głosy i nawyki, tak że starszy brat nie mógł pohamować śmiechu, rozbawiony zjadliwym humorem jego parodii.

Po jakimś czasie przy drodze pojawiło się więcej domów. Wreszcie wjechali do większego miasta, a końskie kopyta zagrzechotały na bruku. Wychyliwszy się z okna powozu, Sherlock zobaczył coś, co wyglądało na ratusz – trzypiętrowy budynek z ciemnymi belkami na tle białego tynku i wielkim zegarem zwisającym ze wspornika nad dwuskrzydłowymi drzwiami.

- Czy to Farnham? - zapytał.

- Guildford - odparł Mycroft. - Farnham jest niedaleko.

Droga z Guildford wiodła grzbietem, po którego obu stronach opadały pola porośnięte żółtymi kwiatami, z rozrzuconymi gdzieś kępami drzew.

- Ten grzbiet nazywają Hog's Back - powiedział Mycroft.

- Niedaleko stąd jest stacja telegrafu semaforowego na

Pewley Hill. To część linii, która ciągnie się od budynku Admiralicji w Londynie aż do nabrzeża w Portsmouth. Uczyli was w szkole o telegrafie semaforowym?

Sherlock potrząsnął głową.

- Typowe - mruknął Mycroft. - Tyle łaciny, ile tylko zmieści się w łepetynach, ale nic, z czego byłby pożytek. - Westchnął ciężko. - Telegraf semaforowy pozwala przekazywać wiadomości szybko i na duże odległości. Pocztę konnej zabrałoby to wiele dni. Stacje telegrafu mają na dachu widoczne z daleka tablice z sześcioma dużymi otworami, które można przesłaniać lub odsłaniać. W zależności od tego, które otwory są odsłonięte, tablica pokazuje różne litery. Strażnik stacji obserwuje zarówno poprzednią, jak i następną stację linii za pomocą teleskopu. Jeśli dostrzeże literowaną wiadomość, zapisuje ją, a potem powtarza za pomocą swojej tablicy. W ten sposób wiadomość wędruje od stacji do stacji. Ta akurat linia zaczyna się w Admiralicji, ciągnie przez Chelsea i Kingston nad Tamizą aż tutaj, a potem dalej, do doków w Portsmouth. Jest jeszcze druga linia, prowadząca do doków Chatham, i inne, do Deal, Sheerness, Great Yarmouth i Plymouth. Zbudowano je po to, by Admiralicja mogła szybko przekazać wiadomości marynarce wojennej na wypadek ataku ze strony Francji. A teraz powiedz mi, skoro mamy sześć otworów, a każdy z nich może być otwarty lub zamknięty, ile jest różnych kombinacji, które oznaczają litery, cyfry albo inne symbole?



Choć Sherlock miał wielką ochotę odpowiedzieć bratu, że rok szkolny właśnie się skończył, zamknął oczy i liczył przez chwilę w myślach. Jeden otwór to dwa stany: otwarty i zamknięty. Dwa otwory to już cztery stany: otwarty-otwarty, otwarty-zamknięty, zamknięty-otwarty, zamknięty-zamknięty. Trzy otwory... Szybko dokonał obliczeń i wtedy zrozumiał regułę.

- Sześćdziesiąt cztery - odparł w końcu.

- Bardzo dobrze - przytaknął Mycroft. - Cieszę się, że przynajmniej z matematyką jesteś na bieżąco. - Zerknął w okno po prawej. - Ach, Aldershot. Ciekawe miejsce. Czternaście lat temu królowa Wiktorja nazwała je domem Armii Brytyjskiej. Przedtem była to mała wioska z niecałym tysiącem mieszkańców. Teraz ma ich szesnaście tysięcy i wciąż się rozwija.

Sherlock wyciągnął szyję, by zza ramienia brata wyjrzeć przez drugie okno, ale patrząc pod takim kątem, dostrzegł jedynie rozrzucone budynki, być może stojące przy linii kolejowej, która biegła równoległe do drogi u stóp zbocza. Usiadł więc z powrotem i zamknął oczy, starając się nie myśleć o tym, co go czekało.

Po jakimś czasie poczuł, że powóz zjeżdża w dół. Zaraz potem skręcili kilkakrotnie i odgłos końskich kopyt się zmienił: teraz jechali nie po bruku, ale po ubitej ziemi. Zacisnął mocniej powieki, chcąc odwlec chwilę, kiedy będzie musiał pogodzić się z nieuchronnym.

Powóz zatrzymał się na zwirowanym podejździe. Z zewnątrz słychać było śpiew ptaków i szelest wiatru

w gałęziach. Sherlock usłyszał czyjeś zbliżające się kroki na żwirze.

- Sherlocku - powiedział łagodnie Mycroft - czas zmierzyć się z rzeczywistością.

Otworzył oczy.

Powóz stał przed wejściem do dużego domu. Budynek z czerwonej cegły wydawał się bardzo wysoki: parter i dwa piętra, a na dodatek jakby ciąg pokoiów na poddaszu, sądząc po niewielkich okienkach w dachu krytym szarymi dachówkami. Lokaj właśnie otwierał drzwiczki od strony Mycrofta. Sherlock wysunął się z powozu w ślad za bratem.

W głębokim cieniu u szczytu trzech szerokich stopni, które wiodły na ganek głównego wejścia, stała kobieta, ubrana cała na czarno. Twarz miała chudą i ściągniętą, wargi zaciśnięte, a oczy zmrużone, jakby zamiast porannej herbaty łyknęła z filiżanki octu.

- Witajcie w majątku państwa Holmesów. Nazywam się Eglantine - powiedziała głosem szeleszczącym jak papier. - Jestem tu ochmistrzynią. - Zerknęła na Mycrofta. - Pan Holmes oczekuje pana w bibliotece, gdy tylko będzie pan gotów. - Przeniosła wzrok na Sherlocka. - A lokaj przeniesie... bagaż do pokoju panicza, paniczu Holmes. Popołudniowa herbata zostanie podana o trzeciej. Zechce panicz do tego czasu pozostać w swoim pokoju.

- Nie zostanę na herbatę - odrzekł bez zająknięcia Mycroft. - Niestety, muszę wracać do Londynu. - Odwrócił się do Sherlocka, a w jego spojrzeniu było zarazem współczucie, braterska miłość i przestroga. - Trzymaj się,

Sherlocku - powiedział. - Na pewno przyjadę tu, by odwiedzić cię do szkoły pod koniec wakacji, a jeśli będę mógł, wcześniej cię odwiedzę. Zachowuj się odpowiednio i wykorzystaj sposobność poznania okolicy. Jestem pewien, że stryj Sherrinford ma wyjątkową bibliotekę. Zapytaj, czy mógłbyś zaczerpnąć ze zgromadzonej tam wiedzy. Zostawię swój adres pani Eglantine - jeśli tylko będziesz mnie potrzebował, wyślij telegram albo napisz list. - Uspokajającym gestem dotknął ramienia Sherlocka. - To dobrzy ludzie - rzekł cicho, by nie słyszała go pani Eglantine - ale, jak cała nasza rodzina, mają swoje dziwactwa. Bądź ostrożny i staraj się ich nie rozzłościć. Pisz do mnie, kiedy będziesz mógł. I pamiętaj - nie zostajesz tu na resztę życia. To tylko kilka miesięcy. Bądź dzielny. - Ścisnął ramię brata.

Sherlock poczuł w gardle gulę wściekłości i frustracji. Zmusił się, by ją przełknąć. Nie chciał, by Mycroft dostrzegł jego uczucia, nie chciał też źle zacząć swego pobytu w majątku Holmesów. Od następnych chwil miało zależeć, jaki będzie cały jego pobyt tutaj.

Wyciągnął dłoń, a Mycroft, zdjawszy rękę z ramienia brata, uścisnął ją, uśmiechając się serdecznie.

- Do widzenia - powiedział Sherlock głosem tak opanowanym, na jaki tylko mógł się zdobyć. - Pozdrów ode mnie matkę i Charlotte. A jeśli będziesz miał jakieś wieści o ojcu, daj mi znać.

Mycroft wszedł po schodach prowadzących do wejścia. Pani Eglantine przez chwilę patrzyła na Sherlocka

z nieprzeniknioną miną, po czym odwróciła się i poprowadziła Mycrofta w głąb domu.

Sherlock obejrzał się i zobaczył, jak lokaj z trudem bierze kufer na ramiona. Kiedy już trzymał go bezpiecznie, chwiejnie wszedł po schodach, mijając Sherlocka, który niepokieszony ruszył za nim.

Posadzka w hallu była czarno-biała, obrzeżona mahoniem, a bogato zdobione schody spływały z górnych pięter niczym zamarznięty wodospad. Na ścianach widniały malowidła przedstawiające sceny religijne, pejzaże i zwierzęta. Mycroft wszedł drzwiami po lewej stronie schodów do pokoju, który, jak zdążył zauważyć Sherlock, pełen był książek oprawnych w zieloną skórę. Z fotela obitego skórą barwy identycznej jak oprawy tomów podniósł się szczupły, starszy mężczyzna w staroświeckim, czarnym surducie. Jego brodata twarz była pobrużdżona i blada, czaszkę znaczyły starcze plamy.

Drzwi zamknęły się, gdy obaj panowie ściskali sobie dłonie. Lokaj ruszył po marmurowej podłodze ku schodom, wciąż dźwigając na ramionach kufer. Sherlock poszedł za nim.

Pani Eglantine stała u stóp schodów, przed biblioteką. Patrzyła ponad głowę Sherlocka, ku drzwiom.

- Chłopcze, wiedz, że nie jesteś tu mile widziany - syknęła, gdy ją mijał.



Na skraju lasu za Farnham Sherlock spoglądał na zbocze opadające od miejsca, gdzie siedział, do gruntowej drogi, która wiła się wśród zarośli jak wyschnięte koryto rzeki, aż znikwała z pola widzenia. Po drugiej stronie miasta, na zboczu wzgórza, usadowił się wśród drzew niewielki zamek. Sherlock siedział tu sam, tak nieruchomo i tak długo, że zwierzęta przyzwyczały się do niego. Co jakiś czas w wysokiej trawie dało się słyszeć szelest przemykającej myszy albo nornika, a jastrzębie krążyły leniwie po błękitnym niebie, czekając na małe zwierzątka, które będą na tyle głupie, by wyjść na otwartą przestrzeń.

Wiatr szumiał w gałęziach drzew za jego plecami. Sherlock pozwolił myślom błądzić, starając się nie zastanawiać się ani nad przeszłością, ani nad przyszłością, pragnąc tak długo, jak to możliwe, skupić się na bieżącej chwili. Przeszłość bolała niczym siniak na kolanie, a do najbliższej przyszłości wcale mu się nie spieszyło. Jedyne, co mógł zrobić, to się nad nią nie zastanawiać, tylko

pozwolić, by owiewał go wiatr, a zwierzęta chodziły sobie tuż obok niego.

Mieszkał w dworze Holmesów już od trzech dni, a nic nie zmieniło się na lepsze. Najgorsza była pani Eglantine. Ochmistrzyni przypominała stale obecne widmo, czające się w mrocznych zakamarkach domu. Gdziekolwiek się obrócił, ona tam była, stojąc w cieniu i obserwując go spod zmrużonych powiek. Od jego przybycia zamieniła z nim może trzy zdania. O ile zdążył się zorientować, oczekiwano, by zjawiał się na śniadanie, lunch, popołudniową herbatę oraz kolację, by się nie odzywał, jadł cicho jak myszka, po czym znikał aż do następnego posiłku; tak oto miało wyglądać jego życie aż do końca wakacji, kiedy przyjedzie Mycroft i uwolni go z tego więzienia.

Sherrinford i Anna Holmesowie – jego stryjostwo – zwykle pojawiali się na śniadaniu i obiedzie. Sherrinford był dominującą postacią: równie wysoki jak brat, ale dużo szczuplejszy, z wyraźnymi kośćmi policzkowymi, wypukłym czołem i wklęsłymi skroniami. Krzaczasta siwa broda opadała mu na pierś, ale włosy na głowie miał tak rzadkie, że dla Sherlocka wyglądało to, jakby na czaszce namalowano każdy kosmyk z osobna, po czym całość pokryto werniksem. Między posiłkami stryj zaszywał się w swoim gabinecie albo bibliotece, gdzie, jak wnioskował chłopiec ze strzędów konwersacji, pisał religijne broszury i kazania dla proboszczów w całym kraju. W ciągu tych trzech dni odezwał się do Sherlocka tylko raz podczas

lunchu, gdy, utkwivszy w nim złowieszcze spojrzenie, zapytał:

- W jakim stanie jest twoja dusza, chłopcze?

Sherlock zamrugał, zastygając z widelcem w połowie drogi do ust. Przypomniawszy sobie pana Tulleya, nauczyciela łaciny w Deepdene, rzekł:

- *Extra ecclesiam nulla salus* - co, jak był pewien, znaczyło: „Nie ma zbawienia poza Kościołem”. Chyba podziałało: Sherrinford Holmes skinął głową, mruknął:

- Ach, święty Cyprian z Kartaginy, oczywiście. - Po czym znów skupił wzrok na talerzu.

Pani Holmesowa - czyli stryjenka Anna - była niewysoką, drobną jak ptaszek kobietą, pozostającą, zdawałoby się, w nieprzerwanym ruchu. Nawet kiedy siedziała, jej dłonie nieustannie trzepotały, zatrzymując się tylko na moment. Mówiła cały czas, ale - jak zorientował się Sherlock - w istocie do nikogo konkretnego. Ten bezustanny potok mowy sprawiał jej widoczną przyjemność i nie oczekiwała, by ktokolwiek się weń włączył albo odpowiadał na jej zasadniczo retoryczne pytania.

Przynajmniej jedzenie było znośne - lepsze niż w szkole w Deepdene. Podawano głównie warzywa: marchewkę, ziemniaki i kalafior, pochodzące, jak przypuszczał Sherlock, z warzywników dworu, ale do każdego posiłku było jakieś mięso, i to w przeciwieństwie do szarej, żylastej i zazwyczaj nierozpoznawalnej masy, do jakiej przywykł w szkole, doprawione i smaczne: golonki, udka kurczęcia, filety z ryby - jak mu wyjaśniono, łososia - oraz, jednego

razu, wielkie płyty smakowitej jagnięcej łopatki, którą postawiono pośrodku stołu. Gdyby się nie pilnował, przybrałby na wadze tak bardzo, że zacząłby wyglądać jak Mycroft.

Dano mu pokój na poddaszu, nie obok kwater służących, ale też nie na parterze, w pobliżu pokojów państwa. Sufit opadał od drzwi w stronę okna, co odpowiadało spadkowi dachu, tak że Sherlock musiał chodzić po pokoju przygarbiony. Podłogę ze zwykłych desek przykrywał dywanik wątpliwego pochodzenia. Łóżko było równie twarde jak to w dormitorium. Przez pierwsze dwie noce panująca wokół cisza sprawiała, że godzinami nie mógł zasnąć. Tak bardzo przywykł do odgłosów wydawanych przez pozostałych trzydziestu chłopców: chrapania, mówienia przez sen albo stłumionego szlochu, że ta nagła cisza była wręcz irytująca. Potem otworzył jednak okno, by wpuścić nieco świeżego powietrza, i odkrył, że na zewnątrz wcale nie jest cicho, że noc ma własne, bardziej subtelne odgłosy. Od tej pory zasypiał kołysany pohukiwaniem sów, wrzaskami lisów i nagłym trzepotem skrzydeł, gdy coś przestraszyło kury na tyłach domu.

Mimo braterskich rad nie mógł zdobyć się na to, by pójść do biblioteki i usiąść nad książką. Stale tkwił tam stryj Sherrinford, szukając materiałów do swych broszur i kazań, a Sherlock bał się mu przeszkadzać. Zamiast tego zaczął wędrować wokół dworu, obchodząc go coraz większymi kręgami, począwszy od terenów przed domem i za nim, otoczonego murem ogrodu, zagrody dla kur i warzywnika.



Potem przelazł przez kamienny mur wyznaczający granicę majątku i wyszedł na drogę, aż wreszcie dotarł do prastarych lasów, które rozciągały się z tyłu posiadłości. W domu rodzinnym dużo chodził po okolicy, wędrując po lasach samotnie albo z siostrą, ale las tutaj wydawał się starszy i bardziej tajemniczy niż te, do jakich przywykł.

- Te, mieszcuch, nie umiesz usiedzieć w miejscu?

- Ty chyba też nie - odparł Sherlock do kogoś, kto odezwał się za jego plecami. - Obserwujesz mnie już od pół godziny.

- Skąd wiesz? - Sherlock usłyszał przytłumiony odgłos, jakby ktoś właśnie zeskokczył z niższych gałęzi drzewa na rosnące poniżej paprocie.

- Ptaki siedzą na wszystkich drzewach wokół oprócz jednego - tego, na którym się schowałeś. Domyśliłem się, że się ciebie przestraszyły.

- Nie zrobię im nic złego. Tobie też nie.

Sherlock powoli odwrócił głowę. Głos należał do chłopca mniej więcej w jego wieku, tylko nieco niższego i bardziej krępego. Włosy sięgały mu do ramion.

- Chybabyś nie dał rady - powiedział tak spokojnie, jak tylko się dało w tych okolicznościach.

- Umiem się nieźle bić - odparł tamten. - I mam nóż.

- Tak, ale ja oglądam w szkole mecze bokserskie i mam długie ręce. - Sherlock obrzucił chłopca krytycznym spojrzeniem. Ubranie z grubego płótna miał zakurzone i połatanane, a twarz, ręce i paznokcie brudne.

- W szkole? - zapytał. - To w szkołach uczą boksu?

- W mojej szkole tak. Mówią, że to hartuje.

Chłopak usiadł obok Sherlocka.

- To życie hartuje - mruknął, po czym dodał: - Mam na imię Matty. Matty Arnatt.

- Matty to od Matthew?

- Chyba tak. Mieszkasz w tym dużym domu tam dalej, prawda?

Sherlock skinął głową.

- Przyjechałem tylko na lato do stryjostwa. Ja nazywam się Sherlock. Sherlock Holmes.

Matty spojrzał krytycznie na Sherlocka.

- To nie jest prawdziwe imię.

- Co, Sherlock? - Zastanowił się przez chwilę. - A co jest z nim nie tak?

- Znasz jakichś innych Sherlocków?

- Nie - wzruszył ramionami Sherlock.

- A jak ma na imię twój ojciec?

Sherlock zmarszczył brwi.

- Siger.

- A twój stryj? Ten, u którego mieszkasz?

- Sherrinford.

- Masz braci?

- Tak, jednego.

- I jak ma na imię?

- Mycroft.

Matty zdumiony potrząsnął głową.

- Sherlock, Siger, Sherrinford i Mycroft! To dopiero kompania! Dlaczego nie ma u was żadnych zwyczajnych

imion, jak Matthew, Mark, Luke i John?

- To imiona rodowe - wyjaśnił Sherlock. - Taka tradycja. Wszyscy mężczyźni w rodzinie noszą takie imiona. - Urwał na chwilę. - Ojciec powiedział mi kiedyś, że jedna z gałęzi naszego rodu przybyła do Anglii ze Skandynawii i stamtąd właśnie pochodzą te wszystkie imiona. Albo coś w tym rodzaju. „Siger” jest chyba skandynawskie, ale inne przypominają raczej nazwy miast w staroangielskim. Ale skąd wzięło się „Sherlock”, to zupełna zagadka. Może gdzieś na jakimś kanale jest śluza Sher Lock albo Sheer Lock.

- Sporo wiesz - powiedział Matty - ale nie masz za dużego pojęcia o kanałach. Nigdy nie natrafiłem na żadne Sher Lock ani Sheer Lock. A twoje siostry? Też mają głupie imiona?

Sherlock skrzywił się i odwrócił wzrok.

- A więc mieszkasz tutaj?

Matty zerknął na niego, po czym najwidoczniej pogodził się z faktem, że Sherlock chce zmienić temat.

- Tak - odparł. - Przez jakiś czas. Podróżuję, można powiedzieć.

To od razu zaciekało Sherlocka.

- Podróżujesz? To znaczy jesteś Cyganem? A może należysz do cyrku?

Matty prychnął pogardliwie.

- Jeśli ktoś nazywa mnie Cyganem, zwykle dostaje kuksańca. I nie jestem z cyrku. Naprawdę.

Sherlock w przeblysku przypomniał sobie nagle to, co Matty powiedział chwilę wcześniej.

- Wspomniałeś, że nie natrafiłeś na żaden Sher Lock ani Sheer Lock. Mieszkasz na kanałach? Twoja rodzina ma barkę?

- Mam barkę, ale nie mam rodziny. Jestem tylko ja. Ja i Albert.

- To twój dziadek? - próbował zgadnąć Sherlock.

- Albert to koń - poprawił go Matthew. - Ciągnie barkę.

Sherlock czekał przez chwilę, aż jego nowy kolega powie coś jeszcze. Ponieważ ten się jednak nie odezwał, zapytał:

- A twoja rodzina? Co się z nimi stało?

- Zadajesz dużo pytań.

- W ten sposób można się czegoś dowiedzieć.

Matty wzruszył ramionami.

- Ojciec służył w marynarce. Wypłynął na okręcie i nigdy nie wrócił. Nie wiem, czy statek zatonął, czy ojciec został w jakimś porcie gdzieś na świecie, czy może wrócił do Anglii, ale nie chciało mu się przejść tych ostatnich kilku mil. Mama umarła kilka lat temu. Na suchoty.

- Przykro mi.

- Nie pozwolili mi jej zobaczyć - ciągnął Matthew, jakby go nie słysząc, wpatrzony w przestrzeń. - Była po prostu coraz słabsza. Coraz chudsza i bledsza, jakby umierała po troszeczkę. Każdej nocy kaszłała krwią. Wiedziałem, że kiedy umrze, przyjdą, żeby zabrać mnie do przytułku, więc uciekłem. Nie ma mowy, żebym trafił do Spike. Większość tych, co tam wylądowali, już stamtąd nie wyszła, a jeśli

wyszli, to chorzy albo na ciele, albo na umyśle. Postanowiłem płynąć kanałami, zamiast iść, bo w ten sposób można szybciej podróżować.

- A skąd wzięłeś łódź? - zapytał Sherlock. - Czy należała do twojej rodziny?

- Raczej nie - prychnął Matty. - Powiedzmy, że ją znalazłem, i na tym poprzestańmy.

- Więc z czego żyjesz? Co jesz?

Matty wzruszył ramionami.

- Latem pracuję w polu, zbieram owoce albo pomagam przy żniwach. Wszyscy szukają tanich robotników, nieważne, dorosły czy dzieciak. Zimą znajduję dorywcze zajęcia: tu popracuję w ogrodzie, tam naprawię dach kościoła. Radzę sobie. Mogę robić wszystko, oprócz czyszczenia kominów i pracy w kopalni. Tam można tylko zdechnąć.

- Masz rację - uznał Sherlock. - Od jak dawna jesteś w Farnham?

- Od kilku tygodni. To dobre miejsce - stwierdził Matty. - Ludzie są raczej mili i nie zawracają człowiekowi głowy. To solidne, szacowne miasto - zawahał się - tylko że...

- Tylko że co?

- Nic - potrząsnął głową. - Wiesz co, przyglądałem ci się od jakiegoś czasu. Nie masz tu żadnych przyjaciół i nie jesteś głupi. Masz łeb na karku. A ja widziałem w mieście coś, czego nie potrafię wyjaśnić. - Zarumienił się i spojrzał w bok. - Miałem nadzieję, że mi pomożesz.

Zaintrygowany Sherlock wzruszył ramionami.

- Mogę spróbować. Co to takiego?

- Najlepiej będzie, jak ci pokażę. - Matty wytarł ręce w spodnie. - Chcesz najpierw obejrzyć miasto? Powiem ci, gdzie można najlepiej zjeść i się napić, albo po prostu pogapić się na ludzi. I którymi zaułkami najlepiej dawać drapaką, a które ślepe uliczki omijać z daleka.

- A pokażesz mi swoją barękę?

Matty zerknął na Sherlocka.

- Kto wie. Jeśli uznam, że można ci zaufać.

Razem zeszli ze zbocza na drogę prowadzącą do miasta. Niebo nad nimi było błękitne. Sherlock czuł zapach dymu z ogniska, słyszał też, jak ktoś w oddali rąbie drewno z regularnością tykającego zegarka. W pewnym momencie, gdy przechodzili przez zagajnik, Matty wskazał ptaka unoszącego się wysoko nad nimi.

- Jastrząb gołębiarz - powiedział krótko. - Poluje na coś.

Do miasta było dobre parę mil i dotarcie tam zajęło im prawie godzinę. Sherlock czuł, jak rozciągają mu się mięśnie nóg i grzbietu. Jutro będzie sztywny i obolały, ale teraz ruch odpędzał od niego ponure przygnębienie, w jakie popadł od czasu przybycia do dworu Holmesów.

Kiedy zaczęli zbliżać się do miasta, a domy wzdłuż drogi stały coraz gęściej, Sherlock poczuł stęchlą, nieprzyjemną woń unoszącą się w powietrzu.

- Co to za zapach? - zapytał.

Matty wciągnął powietrze.

- Jaki zapach?

- No ten. Chyba go czujesz? Pachnie jak zmoknięty dywan, który dobrze nie wysechł.

- To browary. Nad rzeką jest ich kilka. Największy to browar Barratta. Rozrasta się dzięki temu, że w Aldershot od niedawna stacjonuje wojsko. Tak pachnie mokry jęczmień. To właśnie piwo zniszczyło mojego ojca. Wstąpił do marynarki, żeby od niego uciec, ale tam z kolei dopadł go rum.

Dotarli już na przedmieścia, gdzie kamienic i chat było coraz więcej. Wiele spośród tutejszych zabudowań postawiono z czerwonej cegły. Dachy miały kryte trzcinową strzechą, której obwisłe krawędzie przypominały bochny chleba, albo ciemnoczerwoną dachówką. Za domami wzgórze wspinało się ku zamkowi z szarego kamienia, górującemu nad miastem, a potem wznosiło dalej, aż ku odległej grani. Sherlock zastanawiał się, jaki był pożytek z tak położonego zamku, skoro każdy napastnik mógł się dostać wyżej i zasypywać go gradem strzał, kamieni i ognia, tak długo, jak tylko by zechciał.

- Co dzień mają tu targ - wyjaśnił Matty niepytany. - Na rynku miejskim. Sprzedają owce, krowy, paszteciki i co tylko dusza zapagnie. Warto tam zajrzeć, kiedy sprzątają pod koniec dnia. Zawsze się spieszą, żeby zdążyć przed zachodem słońca, i wtedy różne rzeczy same spadają ze straganów albo handlarze wyrzucają je na śmietnik, bo są trochę nadgniłe lub robaczywe. Można się nieźle najeść tym, co zostaje.

- Cudownie - powiedział Sherlock sucho. Przynajmniej posiłki w dworze Holmesów były przyjemne, chociaż atmosfera podczas lunchu i kolacji już nie.

Znajdowali się teraz w środku miasta, a na ulicach panował taki tłok, że obaj wciąż musieli schodzić z trotuaru na poślubioną koleinami drogę, by uniknąć zderzenia. Sherlock głównie wypatrywał stosów końskiego nawozu, żeby w żaden nie wdepnąć. Ludzie dookoła byli teraz lepiej ubrani, przyzwoite marynarki i fulary oraz damskie suknie przeważały nad bryczesami, kamizelkami i bluzkami, jakie nosili ludzie mijani po drodze na wsi. Psy kręciły się wszędzie, albo zadbane i na smyczach, albo brudne, bezdomne kundły szukające jedzenia. Koty trzymały się w cieniu, chude i wielkookie. Na ulicy konie ciągnęły w obu kierunkach bryczki i wozy, wbijając nawóz coraz głębiej w zrytą ziemię.

Matty przystanął przy jednej z bocznych uliczek.

- Co się stało? - zapytał Sherlock.

Chłopak zawahał się.

- To coś, co widziałem. - Wzdrygnął się. - To było właśnie tutaj, kilka dni temu. Coś, czego nie rozumiem.

- Pokażesz mi?

Zamiast odpowiedzieć, Matty pobiegł uliczką. Sherlock ruszył za nim, próbując dotrzymać mu kroku.

Uliczka skręcała w zaułek tak wąski, że Sherlock mógł dotknąć budynków po obu stronach. Ludzie wychylali się z okien i rozmawiali z sąsiadami z naprzeciwka, tak jakby dzielił ich mur ogrodu. Matty wpatrywał się w jedno



z okien. Było puste, a drzwi poniżej zamknięte. Dom wydawał się opuszczony.

- To było tutaj - powiedział. - Widziałem dym, ale ten dym się ruszał. Wyfrunął z okna, wspiął się po ścianie i zniknął za kalenicą.

- Dym się tak nie zachowuje - zauważył Sherlock.

- Ale ten dym tak robił - potwierdził stanowczo Matty.

- Może wiał wiatr.

- Może - Matty nie wydawał się przekonany. Marszcząc brwi, opowiadał, co się wydarzyło: - Usłyszałem, jak ktoś w środku krzyczy. Odbiegłem, bo się przestraszyłem, ale wróciłem wkrótce. Przed domem stał wóz i ładowali na niego zwłoki. Ciało przykryli prześcieradłem, ale zahaczyło o drzwi i zobaczyłem trupa. Widziałem jego twarz. - Odwrócił się do Sherlocka, z miną przerażoną i niepewną. - Ten człowiek był cały w pęcherzach, wielkich, czerwonych pęcherzach, na twarzy, szyi i ramionach - a twarz miał skurczoną, jakby umarł w męczarniach. Czy myślisz, że to była zaraza? Słyszałem, że w dawnych czasach szalała w kraju. Myślisz, że wróciła?

Sherlockowi dreszcz przebiegł po plecach.

- Sądzę, że to mógłby być początek zarazy, ale jedna śmierć to jeszcze nie epidemia. To mogła być szkarlatyna albo wiele innych rzeczy.

- A ten cień, który unosił się nad dachem - co to było? Czy to jego dusza? Albo coś, co po nią przyszło?

- To - odparł stanowczo Sherlock - było tylko złudzenie, wywołane kątem, pod jakim padało światło, i przepływającą

chmurą. - Pociągnął Mattyego za ramię. - Chodźmy stąd.

Poprowadził kolegę wąską uliczką. Po chwili znaleźli się znów na głównej ulicy Farnham. Matty był blady i milczący.

- Wszystko w porządku? - zapytał łagodnie Sherlock.

Matty przytaknął.

- Przepraszam - powiedział zawstydzony. - To po prostu... trochę straszne. Nie lubię chorób, od kiedy...

- Rozumiem. Posłuchaj, nie wiem, co widziałeś, ale pomyślę nad tym. Mój stryj ma bibliotekę - może tam znajdę odpowiedź. Albo w archiwum miejscowej gazety.

Przeszli przez mostek z powrotem do miasta. Wzdłuż ulicy ciągnęły się drewniane bramy osadzone w kamiennym murze. Jakieś zwierzę leżało nieruchomo pod jedną z nich ze sztywno wyciągniętymi łapami. Jego sierść była brudna i matowa. Przez chwilę Sherlock myślał, że to pies, ale kiedy podeszli, zobaczyli spiczasty pysk, krótkie łapy i biało-czarne paski - teraz raczej w różnych odcieniach szarości - na łebku zwierzęcia. To był borsuk. Sherlock zauważył, że jego brzuch jest niemal zupełnie rozplaszczony. Zwierzak został przejechany, być może przez koła wozu.

Matty zwolnił kroku.

- Uważaj, jak tędy przechodzisz - powiedział cicho, tak jakby on był zupełnie bezpieczny, a Sherlock musiał się martwić. - Nie wiem, co oni tu robią, ale w środku są strażnicy. Mają pałki i bosaki. To wielkie chłopiska.

Sherlock miał właśnie powiedzieć, że prawdopodobnie ci mężczyźni ochraniają wypłaty należne robotnikom, kiedy

brama otworzyła się na oścież. Na drogę wyszło dwóch ludzi. Twarze mieli zniszczone, poznaczone bliznami i ponure, ale odziani byli w nieskazitelny czarny aksamit. Spojrzeli w prawo i w lewo, natychmiast uznając chłopców za niegodnych uwagi, po czym dali znak komuś wewnątrz.

Z dziedzińca wyłonił się powóz zaprzęzony w czarnego konia. Woźnicą był potężny mężczyzna z rękami jak szpadle, którego łysą czaszkę pokrywały blizny. Tamci dwaj zamknęli bramę, po czym wskoczyli na tył powozu, a ten odjechał.

- Zobaczmy, może gość rzuci nam ćwierć pensa - szepnął Matty. Zanim Sherlock zdążył go powstrzymać, biegł już do powozu.

Zaskoczony koń spłoszył się, szarpiąc uprząż. Woźnica próbował odzyskać nad nim panowanie, bijąc go batem, ale tylko pogorszył sprawę. Powóz chwiało się na wszystkie strony, kiedy koń usiłował uskoczyć przed Mattym.

Wstrząśnięty Sherlock dostrzegł nagle w oknie powozu bladą, kościstą twarz otoczoną cienkimi, siwymi włosami, o wpatrzonym w niego nieruchomym spojrzeniu małych, różowych oczek, podobnych do ślepi białego szczura. Poczuł instynktowną odrazę, tak jakby sięgnął po liść sałaty na talerzu, a zamiast niego dotknął robaka. Chciał się poruszyć, uciec, ale to blade, złowrogie spojrzenie przygważdżało go w miejscu, tak że nie mógł się ruszyć. Wtedy krzepkiemu woźnicy udało się zapanować nad koniem i powóz minął obu chłopców, uwożąc swojego pasażera.

- Nie miałem szans - jęknął Matty, otrzepując się z kurzu.
- Myślałem, że ten typ zaraz przyłoży mi batem.
- Kim był człowiek w powozie? - zapytał Sherlock drżącym głosem.
- Matty potrząsnął głową.
- Nawet na niego nie spojrzałem. Wyglądał na bogatego?
- zapytał z nadzieją.
- Wyglądał, jakby od trzech dni nie żył - odparł Sherlock.



## ROZDZIAŁ

### -3-

Para buchająca z komina lokomotywy przedostała się przez deski pomostu, parząc ich w łydki. Sherlock i Matty odskoczyli w przeciwne strony, obaj roześmiani i mokrzy. Pociąg toczył się majestatycznie pod nimi, wjeżdżając na stację Farnham. Chłopcy wrócili na środek drewnianego pomostu łączącego perony i patrzyli, jak wagony stopniowo zatrzymują się przy akompaniamencie dzwonienia łańcuchów i kakofonii świstów, kiedy maszynista wypuszczał resztę pary.

Był ranek następnego dnia. Przed przyjazdem pociągu peron świecił pustkami, ale po chwili jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zapełnił się tłumem ludzi zmierzających do wyjścia. Dżentelmeni w czarnych surdutach i cylindrach, wyłoniwszy się z przedziałów pierwszej klasy niczym owady z kokonów, przepychali się ramię w ramię z brzuchatymi jegomościami w tweedowych marynarkach i czapkach z daszkiem oraz kobietami w skromnych sukniach – pasażerami drugiej klasy, a także różnymi muskularnymi, ogorzałymi robotnikami

ubranymi w wytarte koszule i połatane spodnie, którzy w ścisku jechali w klasie trzeciej. Umundurowani pracownicy kolei otworzyli rozsuwane drzwi jednego z wagonów i zaczęli wyładowywać drewniane skrzynki i worki, jak sądził Sherlock, z przesyłkami pocztowymi. Ze swoich kryjówek w zakamarkach dworca wyszli tragarze i zajęli się wywożeniem skrzynek i worków. Po kilku chwilach peron znów był niemal pusty, nie licząc gromadki mieszczan, który niespiesznie dzielili się najnowszymi plotkami. Służbisty dróżnik w granatowej kurtce i czapce podszedł, spojrział na przód i tył składu, podniósł gwizdek do ust, po czym dał krótki i ostry sygnał do odjazdu. Pociąg jakby się wzdrygnął i zaczął wytaczać się ze stacji, najpierw ociężale, a potem coraz szybciej. Wagony zagrzechotały, gdy łączniki między nimi napięły się jeden po drugim i ruszyły w ślad za lokomotywą.

- Czy to pociąg do Londynu czy z Londynu? - zapytał Sherlock.

Matty rozejrzał się.

- Do Londynu - powiedział w końcu. - Linia prowadzi stąd do Tongham, Ash, Ash Wharf, a potem do Brookwood i Guildford. Tam można wsiąść w pociąg prosto do Londynu.

Londyn. Sherlock powiódł wzrokiem wzdłuż toru, aż do miejsca, gdzie pociąg akurat zniknął za zakrętem. U celu swej podróży będzie zaledwie milę czy dwie od jego brata Mycrofta, który pewnie siedzi w swym gabinecie, zagłębiony w papierach albo pochylony nad mapą świata

z oznaczonymi na czerwono granicami Imperium Brytyjskiego. Przez chwilę Sherlocka ogarnęło przemożne pragnienie, by pobiec za pociągiem i wskoczyć na tylny pomost. Tęsknił za bratem. Tęsknił za ojcem, matką i siostrą. Tęsknił nawet za szkołą dla chłopców Deepdene, choć już nie tak bardzo.

- Co jest w Brookwood? - zapytał, głównie po to, żeby skupić uwagę na czymś innym.

Matty jakby się wzdrygnął.

- Nie pytaj.

- Chciałbym wiedzieć - teraz Sherlock był naprawdę ciekaw. - Czy warto się tam wybrać?

Matty potrząsnął głową.

- Nie ma tam nic, co chciałbyś zobaczyć w świetle dnia - odrzekł stanowczo - a tym bardziej w nocy, wierz mi.

- Myślałem, że moglibyśmy postarać się o jakieś rowery - naciskał Sherlock. - Pojechać tu i tam. Zobaczyć okoliczne wioski i miasta.

Matty zerknął na niego, marszcząc brwi.

- A po co mielibyśmy to robić?

- Z ciekawości? - odparł Sherlock. - Czy nigdy się nie zastanawiałeś, jak coś wygląda, zanim to zobaczyłeś?

- Miasta wyglądają jak miasta, wsie jak wsie - zapewnił go Matty - a ludzie są wszędzie tacy sami. Tak to już jest. Chodź, idziemy.

Przemierzywszy pomost, po żelaznych schodkach zeszli na peron, na który wcześniej wysiadali podróżni. Stąd wydostali się na ulicę.

Na poboczu stał wóz. Trzej mężczyźni ładowali na niego przywiezione pociągiem skrzynie z lodem otulonym słomą.

Jeden z nich, osobnik o łasicowatej twarzy i żółtych zębach, zmarszczył brwi na widok chłopców.

- Paniczu Sherlock - usłyszeli za plecami ostry głos. - Jestem rozczarowana, widząc, że zadajesz się z brudnymi ulicznikami. Pański brat byłby zdruzgotany.

Sherlock odwrócił się, czując, że się rumieni, choć jeszcze nie wiedział, kto do niego mówi. Okazało się, że kilka stóp od niego stoi pani Eglantine. Dwóch ludzi, których Sherlock pamiętał z dworu Holmesów, ładowało skrzynki z wiktuałami na wózek zaprzężony w potężnego i najwyraźniej bardzo spokojnego konia. Skrzynki niemal na pewno przyjechały pociągiem.

- Ulicznikami? - Sherlock rozejrzał się. Stał przy nim tylko Matty, który przyglądał się czujnie pani Eglantine, gotów rzucić się do ucieczki, gdyby sprawy przybrały zły obrót. - Jeśli sądzi pani, że on jest ulicznikiem, powinna pani więcej bywać w mieście, pani Eglantine - rzekł śmiało, zirytowany jej postawą.

Zacisnęła usta.

- Pan życzy sobie widzieć panicza, kiedy panicz wróci - powiedziała, podczas gdy mężczyźni za jej plecami załadowali na wóz ostatnią skrzynię. - Niech panicz będzie łaskaw i nie każe mu czekać. - Odwróciła się i wspięła na jedno z siedzeń z przodu. - Lunch zostanie podany, czy panicz będzie obecny, czy nie - dodała, podczas gdy jeden



z mężczyzną usiadł obok niej, a drugi wspiął się na tył wozu.  
- Pański przyjaciel nie jest zaproszony.

Koń podreptał naprzód, ciągnąc za sobą wóz. Pani Eglantine nie obejrzała się na Sherlocka, siedziała sztywno, zapatrzona przed siebie. Mężczyzna usadowiony na tyle wozu zerknął na chłopca i skinął mu życzliwie, dotykając daszka czapki. Był mocno szczerbaty, a na uchu miał nacięcie, jakby ślad po nożu, siekierze albo czymś podobnym.

- Kto to był? - zapytał Matty, stając obok Sherlocka.

- Pani Eglantine. Jest ochmistrzynią tam, gdzie mieszkam.

- Urwał. - Nie cierpi mnie.

- Myślę, że ona nie cierpi nikogo - stwierdził Matty.

- Lepiej już pójdę - powiedział Sherlock. - Droga powrotna zajmie mi pół godziny, jeśli się pośpieszę, a ona o posiłkach mówiła serio. Jeśli spóźnię się na lunch, będę chodził głodny aż do kolacji. - Spojrzał na Mattyego. - Zobaczymy się jutro?

Matty skinął głową.

- Tutaj, około dziesiątej?

Droga powrotna do dworu zajęła Sherlockowi prawie czterdzieści pięć minut. Dotarł na miejsce, akurat gdy rozbrzmiał gong wzywający na lunch. Otrzepał pobieżnie ubranie z kurzu i wszedł do jadalni. Inaczej niż zwykle Sherrinford Holmes zasiadał u szczytu stołu i czytał broszurę. Stryjenka Anna krzątała się, sprawdzając sztucce i mówiąc do siebie. Pani Eglantine stała za stryjem Sherrinfordem. Nie zareagowała na wejście Sherlocka, ale

sposób, w jaki omijała go wzrokiem, świadczył o tym, że go zauważyła.

- Dzień dobry, stryju Sherrinfordzie i stryjenko Anno - powiedział grzecznie Sherlock, siadając.

Sherrinford skinął głową, nie podnosząc wzroku znad broszury. Anna zdołała włączyć do swojego nieprzerwanego monologu coś, co brzmiało jak powitanie.

Weszła służąca z wazą zupy i zaczęła pod czujnym okiem pani Eglantine nalewać ją do talerzy. Sherlock przyglądał się temu obojętnie, aż do chwili, gdy stryj Sherrinford odłożył broszurę, nachylił się i rzekł:

- Młody człowieku, dziś po lunchu będę miał gościa i byłbym zobowiązany, gdybyś mi towarzyszył. Twój brat nalegał, bym zadbał o twoją edukację również podczas wakacji, zaznaczył też, że zależy mu, byś trzymał się z dala od kłopotów. W tym celu zaangażowałem guwernera. Będzie cię zabierał na trzy godziny dziennie, co dzień z wyjątkiem niedziel, kiedy, jak się spodziewam, udasz się do kościoła z resztą rodziny. Nazywa się Amyus Crowe. - Sapnął. - Pan Crowe, z tego, co mi wiadomo, zawitał do nas z kolonii, niemniej jednak dowiódł, że jest człowiekiem uczonym i przyzwoitym. Jego łacina i greka nie budzą najmniejszych zastrzeżeń. Oczekuję, że będziesz posłuszny jego poleceniom.

Sherlock poczuł, jak twarz pali go od nagłego gniewu. Kiedy przybył do dworu Holmesów, czuł, że dni będą mu się dłużyć, niezagospodarowane i puste, i zastanawiał się, co ma zrobić z czasem. Ale spotkanie z Mattym Arnatem

otworzyło przed nim zupełnie nowe możliwości. A teraz wyglądało na to, że te drzwi znów zatrzasnęły się na głucho.

- Dziękuję, stryju Sherrinfordzie - wymamrotał. Próbował udać zadowolenie, ale mięśnie twarzy nie chciały go słuchać. Pani Eglantine uśmiechnęła się pod nosem, nie patrząc na niego.

Po zupie pojawiła się mięsna zapiekanka w grubym cieście oraz sos, a po zapiekance pudding z owocami. Sherlock jadł, ale ledwo czuł smak potraw. Myślał tylko o tym, że jego wakacje zmieniają się w prywatne piekło, i nie mógł już się doczekać powrotu do niezmienności i przewidywalności szkoły.

Po lunchu poprosił, by pozwolono mu odejść od stołu.

- Nie oddalaj się - zalecił stryj Sherrinford. - Pamiętaj, że spodziewamy się gościa.

Sherlock pałętał się po hallu, podczas gdy pozostali członkowie rodziny poszli każde w swoją stronę - Sherrinford do biblioteki, stryjenka Anna zaś do oranżerii. On tymczasem przyglądał się obrazom, próbując zdecydować, który z nich jest największą amatorszczyzną. Po jakimś czasie podeszła do niego pokojówka. Trzymała w ręku srebrną tackę, na której spoczywała koperta.

- Paniczu Holmes, ten list przyszedł do pana dziś rano.

Sherlock natychmiast porwał list z tacki.

- Do mnie? Dziękuję.

Uśmiechnęła się i odeszła. Sherlock rozejrzał się, jakby oczekując, że zaraz zjawi się pani Eglantine i wyrwie mu

list z ręki, ale był w hallu sam. Koperta istotnie była zaadresowana do „panicza Sherlocka Holmesa, dwór Holmesów, Farnham” Nosiła pieczęć z Whitehall. Mycroft! Gorączkowo podważył paznokciem woskową pieczęć i otworzył list.

W środku była jedna kartka. U góry widniał adres mieszkania Mycrofta w Londynie, a poniżej osobiście schludne pismo jego starszego brata układało się w następującą wiadomość:

*Drogi Sherlocku,*

*ufam, że ten list znajduje Cię w dobrym zdrowiu. Bez wątpienia zdążyłeś poczuć się opuszczony i samotny, co z pewnością Cię irytuje. Zrozum, proszę, że zważam na Twoje uczucia i bardzo chciałbym znaleźć sposób, by Ci pomóc.*

Jest taki sposób! – pomyślał Sherlock. Mógłbyś pozwolić, bym przyjechał i zamieszkał z tobą podczas wakacji! Odrzucił tę myśl równie szybko, jak się pojawiła. Mycroft miał dość zmartwień: wymagającą pracę, a teraz, pod nieobecność ojca, przejął właściwie rolę głowy rodziny, troskę o matkę, której równowaga psychiczna była krucha, oraz siostrę, która miała swe własne kłopoty. Nie, Mycroft uczynił to, co można było uczynić najlepszego dla nich obu. Bywa i tak, myślał sobie Sherlock, że wszystkie dostępne możliwości są złe i trzeba tylko wybrać z nich najmniejsze zło. Czuł, że to bardzo dojrzała myśl, ale nie podobał mu się

płynący z niej wniosek, że tak właśnie wygląda życie, kiedy jest się dorosłym.

*Każdy list, jaki wyślesz na powyższy adres, dotrze do mnie w ciągu jednego dnia i obiecuję, że odpowiem natychmiast na każdą Twoją prośbę - prócz oczywiście tej, byś przyjechał i zamieszkał ze mną w Londynie.*

Jak zwykle mnie uprzedził - pomyślał Sherlock. Jego brat zawsze przejawiał niesamowitą zdolność przewidywania tego, co Sherlock miał właśnie zamiar powiedzieć. Czytał dalej:

*Zaproponowałem, by stryj Sherrinford zatrudnił guwernera, który pomoże ci w dalszej nauce. Słyszałem wiele dobrego o człowieku zwanym Amyus Crowe i wspomniałem o nim Sherrinfordowi.*

*Sądzę, że możesz zaufać panu Crowe'owi. Wiadomo mi także, że ma córkę. Dzięki niej być może nawiądziesz jakieś znajomości w okolicy.*

To dowodzi, jak mało wiesz - pomyślał Sherlock. Już zacząłem nawiązywać znajomości na własną rękę.

*Podsumowując, proszę, byś pamiętał, że to jedynie tymczasowa sytuacja. Wszystko przemija, jak zawsze. Staraj się wykorzystać swoje obecne położenie. Jak pisał perski poeta Omar Chajjam:*

*Kiedy mam dzbanek wina, świeży bochen chleba, i siedzę, wiersz czytając, pod osłoną nieba, a ty śpiewasz, pustkowio to Rajem się staje i już innego Raju wcale mi nie trzeba<sup>2</sup>.*

Czytając te słowa, Sherlock próbował dojść ich sensu. Dość dobrze znał *Rubajaty* Omara Chajjama dzięki egzemplarzowi, które ich tłumacz, Richard Burton, ofiarował bibliotece Deepdene. Generalne przesłanie rozmaitych czterowierszy wydawało się takie, że obrotów fortuny nikt nie powstrzyma, chociaż ludzkość może po drodze użyć nieco przyjemności. Ten akurat czterowiersz, który zacytował Mycroft, sugerował, że Sherlock powinien poszukać własnego „bochna chleba” - czegoś prostego, co pomoże mu jakoś przetrwać. Czy Mycroft miał na myśli coś konkretnego, czy była to tylko ogólna rada? Sherlocka kusiło, by natychmiast odpisać bratu i poprosić o wyjaśnienie, ale znał go wystarczająco, by wiedzieć, że gdy raz już coś powie, trudno wydobyć od niego więcej szczegółów.

Skupił się więc na ostatnich liniijkach listu:

*Ostatnia rada - uważaj na panią Eglantine. Choć cieszy się zaufaniem, nie jest przyjaciółką rodziny Holmesów. Wiem, że nie porzucisz tego listu niedbale, lecz ukryjesz go w bezpiecznym miejscu.*

*Twój kochający brat Mycroft*

Sherlock poczuł dreszcz, czytając te ostatnie słowa. To było zupełnie nie w stylu Mycrofta, tak wprost ostrzegać go przed panią Eglantine, i rodziło pytanie, dlaczego wyraził się tak bezpośrednio? Czy chciał, by Sherlock nie miał wątpliwości co do jego opinii na temat ochmistrzyni? I ostatnia sugestia, nie, polecenie - by nie zostawiać listu

na wierzchu, znaczyło w istocie: zniszcz go. To już bardziej do niego pasowało.

Wsunął list z powrotem do koperty, ale było w niej coś jeszcze – kolejny kawałek papieru. Sherlock wyciągnął go i wpatrzył się w przekaz pocztowy na pięć szylingów. Pięć szylingów! Obawiał się poruszyć temat kieszonkowego ze stryjem i stryjenką, ale wyglądało na to, że Mycroft zapewni mu fundusze.

Sherlock miał mieszane uczucia po lekturze listu. Wiadomość od brata z jednej strony ucieszyła go i dodała mu otuchy, tym bardziej że Mycroft wyrażał się pochlebnie o Amyusie Crowie, ale z drugiej strony coś, co przedtem było tylko drobną przykrością, zaczęło go naprawdę martwić: pani Eglantine i jej wyraźna niechęć do niego.

– Ciekawy list?

Głos był niski i ciepły, z akcentem, którego Sherlock nie potrafił przypisać do żadnego miejsca. Obrócił się, składając list i wsuwając go do kieszeni.

Tuż przed otwartymi frontowymi drzwiami stał wysoki mężczyzna o szerokiej piersi. Jego niesforna czupryna była zupełnie siwa, a skóra na szyi obwisła, lecz postawa przeczyła wiekowi. Skórę miał ogorzałą, jakby wiele czasu spędził na dworze, pod słońcem gorętszym niż angielskie. Nosił beżowe ubranie o kroju, którego Sherlock wcześniej nie spotkał, a w dłoni trzymał kapelusz z szerokim rondem.

– Od mojego brata Mycrofta – odparł Sherlock, niepewny, jak się zachować. Czy powinien zawołać służącą, czy też zaprosić tego człowieka do środka?

- Ach, Mycroft Holmes - powiedział tamten. - Jak rozumiem, mamy wspólnych znajomych. A ponieważ raczej nie możesz być panem Sherrinfordem Holmesem, sądzę, że mam przed sobą młodego Sherlocka Holmesa.

- Sherlock Scott Holmes, do usług - przedstawił się Sherlock, prostując się. Rozejrzał się. - Czy zechciałby pan wejść, panie?...

- Jestem Amyus Crowe - odparł mężczyzna. - Dawniej z Albuquerque w stanie Nowy Meksyk, należącym do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Jesteś bardzo uprzejmy. - Wszedł do środka. - Ale pewnie domyśliłeś się wcześniej, kim jestem. Przybyłem tu z polecenia twego brata, a on z pewnością nie omieszkiał wspomnieć o tym w swoim liście, prawda?

- Może zawołam służącą albo...

Nim dokończył zdanie, pani Eglantine wyłoniła się z cienia za głównymi schodami. Od jak dawna tam stała? Czy widziała, jak Sherlock czyta list?

- Pan Crowe? - zapytała. - Pan Holmes oczekuje pana. Proszę tędy - wskazała mu drzwi gabinetu.

Sherlock wzdrygnął się mimowolnie. Nie mogła wiedzieć, co zawiera ten krótki list - musiałyby go otworzyć, a potem na powrót zapieczętować. Nie chciało mu się wierzyć, by mogła być do tego zdolna. Niemniej czuł się, jakby przyłapano go na czymś niewłaściwym.

Wkroczywszy do hallu, Amyus Crowe zostawił kapelusz i laskę na wieszaku. Podeszedł do Sherlocka.



- Porozmawiamy później - powiedział, kładąc mu rękę na ramieniu. Sherlock był wysoki jak na swój wiek, ale Amyus Crowe górował nad nim, tak że poczuł się jak dziesięcioletek. - Bądź w pobliżu, chłopcze. - Rozejrzał się po hallu. - Tymczasem spróbuj domyślić się, które z tych obrazów to fałszywki.

Pani Eglantine zeszywniała.

- Żaden z tych obrazów nie jest falsyfikatem! - wyszczała.  
- Pan nigdy by do tego nie dopuścił!

- „Żaden” to w istocie dopuszczalna odpowiedź - powiedział Crowe, mrugając do Sherlocka. Wręczył pani Eglantine swoją kartę wizytową. - Byłbym wdzięczny, gdyby zechciała pani zapowiedzieć moje przybycie.

Pani Eglantine zaprowadziła Amyusa Crowe'a do biblioteki. Chwilę później wyszła stamtąd, nie zaszczycając Sherlocka spojrzeniem. Odprowadził ją wzrokiem, aż zniknęła w cieniu pod schodami, i zastanawiał się, czy przystanąła tam, odwróciła się i go obserwuje.

Sherlock słyszał głosy dochodzące z biblioteki, ale nie potrafił rozróżnić słów. Chodził pod ścianami wyłożonymi dębową boazerią, analizując każdy obraz po kolei.

Żaden z nich nie miał tabliczki z podpisem. Delektowanie się dziełami sztuki nie należało do programu szkoły Deepdene. Chłopiec stwierdził, że nie bardzo go interesują te wszystkie pejzaże, morskie wybrzeża i sceny z polowań. Wydawały mu się fałszywe, z idealnymi drzewami, wzburzonym morzem i końmi o patykowatych nogach.

Albuquerque. Ameryka. To wszystko brzmiało tak romantycznie. Sherlock niewiele wiedział o tym kraju, oprócz tego, że został zasiedlony przez Anglików przed ponad dwustu laty, że sto lat później zbuntował się przeciwko angielskim rządóm i że jego mieszkańcy byli niezależni i śmiali. Och, a kilka lat temu wybuchła tam wojna domowa, która miała coś wspólnego z niewolnictwem. Ale od razu polubił Amyusa Crowe'a, a jeśli tak właśnie wyglądał typowy Amerykanin, Sherlock był gotów w tej chwili jechać do Ameryki.

Jakieś pół godziny później drzwi do gabinetu otworzyły się i wyszedł przez nie Amyus Crowe. Uśmiechał się i potrząsał dłonią Sherrinforda Holmesa. Za ich plecami rzędy oprawionych na zielono ksiązek zlewały się w jeden trawiasty krajobraz.

- Ach, Sherlock - powiedział Sherrinford. - Panie Crowe, pozwól pan, że przedstawię panu mego bratanka, Sherlocka.

- Już się poznaliśmy - odparł pan Crowe, skinąwszy głową ku Sherlockowi.

- Znakomicie. Dziękuję, że zechciał pan przybyć. Poproszę służącą, by pana oprowadziła.

- Proszę się nie trudzić, panie Holmes - jeśli wolno, przejdę się po posiadłości z paniczem Sherlockiem.

- Oczywiście, oczywiście. - Sherrinford na powrót wycofał się do gabinetu niczym żółw do skorupy.

Crowe długimi krokami podszedł do Sherlocka.

- I cóż, który to? - zapytał. - Jeśli w ogóle któryś?

Sherlock przyjrzał się obrazom jeszcze raz. Choć oglądał je uważnie, nie był pewien. Wskazał na szczególnie nieporadne malowidło, przedstawiające jeźdźca, którego wierzchowiec miał nogi tak cienkie, że załamałyby się pod jego ciężarem.

- Ten nie jest zbyt dobrze namalowany - zaryzykował. - Perspektywa jest wypaczona, a anatomia błędna. Czy to falsyfikat?

- Z fałszerzami jest tak - powiedział Crowe, przyglądając się obrazowi - że ci mniej utalentowani dość szybko zostają przyłapani. Fałszywki są często bardziej przekonujące niż autentyki. Masz rację, że ten obraz to marne rzemiosło, ale to autentyk. - Przeszedł do pełnego dramatyzmu pejzażu nadmorskiego, z falami rozbijającymi się o brzeg i statkiem walczącym ze sztormem na drugim planie. - Za to ten jest fałszywy.

Sherlock przyjrzał się malowidłu.

- Skąd pan wie?

- Podobnie jak wiele innych obrazów należących do twego stryja przypisywany jest Claudeowi Josephowi Vernetowi. Twój stryj ma też kilka obrazów syna Verneta, Horacego. Starszy Vernet słynął ze swych nadmorskich pejzaży. Ten obraz przedstawia wybrzeże Dover, ale Vernet nigdy nie był w Anglii. Detale są zbyt realistyczne: wyraźnie malowano go z natury, a zatem z definicji nie mógł namalować go Vernet. To podróbka jego stylu.

- Nie mogłem o tym wiedzieć - zaprotestował Sherlock. - Nigdy nie uczyłem się o Vernecie ani o żadnym malarzu.

- I jaki stąd wniosek? - zapytał Crowe. Patrzył z góry na Sherlocka, jego niebieskie jak porcelana oczy niemal skrywały się wśród zmarszczek.

Sherlock zastanowił się przez chwilę.

- Nie wiem.

- Że można wydedukować, co się tylko chce, ale nie ma to sensu bez wiedzy. Twój umysł jest jak kołowrotek obracający się bez końca i bez celu, dopóki nie nałoży się kądzieli - wtedy zaczyna wytwarzać przędzę. Wiadomości to podstawa wszelkiej rozumnej myśli. Szukaj ich. Gromadź bez wytchnienia. Napakuj rupieciarnię swego umysłu tyloma faktami, ile tylko zdołasz w niej zmieścić. Nie próbuj rozróżniać między tym, co istotne, a tym, co zbędne - wszystkie informacje są potencjalnie ważne.

Sherlock zastanowił się przez chwilę. Spodziewał się, że poczuje się zakłopotany i urażony, ale w głosie Crowe'a nie było ani śladu krytyki i mówił rozsądnie.

- Rozumiem - przytaknął.

- Myślę, że naprawdę rozumiesz - odparł Crowe. - Przejdźmy się i zobaczmy, co tu znajdziemy.

Crowe wziął z wieszaka swój kapelusz i laskę, po czym obaj wyszli w światło letniego dnia. Amerykanin ruszył przez frontowy trawnik pomiędzy drzewa, opowiadając o różnych kształtach chmur i o tym, jaki mają związek z pogodą.

- Czy zastanawiałeś się kiedyś nad lisami i królikami? - zapytał po chwili.

- Raczej nie - odparł Sherlock, ciekaw, dokąd zaprowadzi ich ta zmiana tematu.

- Powiedzmy, że w lesie jest sto lisów i sto królików, a las otacza płot, tak że nie mogą uciec. Co się stanie?

Sherlock namyślał się przez chwilę.

- Króliki będą miały młode, lisy będą miały młode i lisy zjedzą króliki.

- Wszystkie?

- Większość. Potem pozostałe króliki pewnie zaczną się chować i trudno będzie je znaleźć.

- I co się wtedy stanie?

Sherlock wzruszył ramionami, niepewny, dokąd zmierza jego nauczyciel.

- Lisy zaczną umierać z głodu.

- A króliki?

- Będą siedzieć w ukryciu, paść się trawą i mnożyć, więc ich liczba zacznie się zwiększać. - Błysk nagłego zrozumienia jakby eksplodował w jego głowie. - A wtedy lisów też będzie coraz więcej, ponieważ będą łapać więcej królików, lepiej się odżywiać, a więc zaczną się mnożyć. A w końcu lisów zrobi się tyle, że zaczną zjadać coraz więcej królików, a ich liczba znów zacznie spadać.

- I ten proces będzie się wciąż powtarzał, jak dwie opadające i wznoszące się fale, jedna za drugą. W tle tego wszystkiego jest dziedzina matematyki zwana rachunkiem różniczkowym, którą powinieneś się zainteresować. Jest osobliwie użyteczna. Te same równania można zastosować na przykład do przestępców i policjantów w mieście. -

Roześmiał się nagle. - Policjanci zwykle nie zjadają przestępców, ale zasady są takie same. Izaak Newton i Gottfried Leibniz wymyślili ten rachunek niezależnie od siebie, a ostatnio rozwinęli go jeszcze Augustin Cauchy i Bernhard Riemann. Riemann zmarł kilka miesięcy temu - moim zdaniem świat poniósł w ten sposób wielką stratę, choć nie wiem, czy jest już tego świadomy.

Sherlock skrycie wątpił, czy matematyka mogłaby kiedykolwiek stać się istotna. Odsunął tę myśl na bok. Był gotów z radością „napakować rupieciarnię swego umysłu” wiadomościami na temat sztuki i muzyki, które go interesowały, ale chyba mógłby się obejść bez równań.

Po chwili dotarli do ułożonego z kamieni muru wyznaczającego granicę posiadłości Holmesów. Crowe wskazał w prawo.

- Pójdź w tamtą stronę. Zbierz tyle grzybów, ile zdołasz unieść. Ja pójdę w drugą stronę. Spotkajmy się tutaj za pół godziny, a wtedy pokażę ci, jak odróżnić trujące od jadalnych. Pamiętaj, żebyś nie próbował żadnego grzyba, dopóki ci nie powiem. Jest to skuteczna technika analityczna, ale bywa też zabójcza.

Crowe powędrował w lewo, odsuwając laską krzaki i kępy trawy, żeby pod nie zajrzeć. Sherlock ruszył w przeciwnym kierunku, przepatrując ziemię w poszukiwaniu charakterystycznych białych, miękkich paluchów grzybów przebijających się wśród paproci.

Po kilku chwilach Amyus Crowe zniknął mu z oczu. Sherlock szedł dalej, lecz oprócz kilku brązowych,

podobnych do talerzy narośli na jednym z drzew, co do których nie był pewien, czy ma je zrywać czy nie, nie znalazł niczego.

Nagle jego uwagę przyciągnął błysk koloru pomiędzy drzewami: czerwone plamy na białym tle. Podeszedł bliżej, sądząc, że to kępa muchomorów przebijająca się przez poszycie, ale coś w jej kształcie go zaniepokoiło. Wyglądała jak...

Chmura dymu zaczęła unosić się znad tego kształtu właśnie w chwili, gdy Sherlock rozpoznał, co to takiego: leżące na ziemi skrzycone ciało mężczyzny. Dym odpłynął, popychany wiatrem, ale nigdzie nie widać było śladu ognia. Przez chwilę Sherlock myślał, że mężczyzna leży, paląc fajkę, z twarzą przykrytą z jakiegoś powodu białą chustką w czerwone kropki, lecz gdy podeszedł bliżej, okazało się, że czerwone ślady to nie kropki na chusteczce.

Były to krwawe pęcherze na twarzy trupa.



Amyus Crowe wyciągnął z kieszeni chustkę i wręczył ją Sherlockowi. Z drugiej kieszeni wydobył metalową pierśówkę ze skórzaną opaską. Odkręcił ją i nalał nieco brązowego płynu na chusteczkę, którą trzymał Sherlock. Z tkaniny uniósł się wierzący w nosie, wyciskający łzy z oczu zapach.

- Brandy - rzekł Crowe w odpowiedzi na pytającą minę chłopca. - Na wypadek, gdyby coś, co zabiło tego człowieka, było zaraźliwe. Nie chcielibyśmy zarazić się tym, przez co zszedł z tego świata.

Z innej kieszeni wyciągnął jeszcze jedną chustkę i zrobił z nią to samo, co z poprzednią.

- Coś, co go zabiło? - zapytał zaskoczony Sherlock. - To przecież na pewno była jakaś choroba. Niech pan spojrzy na jego twarz!

Crowe skierował na niego spojrzenie swych niebieskich oczu. Przez dłuższą chwilę patrzył na chłopca z ciekawością, wciąż trzymając chustkę przy twarzy.

- Wierysz, że choroba to coś, co się po prostu zdarza - że bez żadnej pomocy rozwija się w ciele?



- Chyba tak - przyznał Sherlock. - Nigdy tak naprawdę się nad tym nie zastanawiałem.

- Ale wiesz, że choroby mogą przenosić się z człowieka na człowieka, jeśli ktoś dotknie chorego albo jest w jego pobliżu?

- Tak... - odparł ostrożnie Sherlock, zastanawiając się, do czego zmierza jego towarzysz.

- Więc chyba można powiedzieć, że coś przenosi się z chorego na zdrowego i z kolei u niego powoduje chorobę?

Sherlock nie odezwał się. Wiedział, że cokolwiek powie, i tak czeka go kolejna lekcja.

- Kilka lat temu byłem w Wiedniu - ciągnął Crowe. - Poznałem tam człowieka o nazwisku Ignaz Semmelweis. Był Węgrem, pracował z brzemennymi kobietami bliskimi rozwiązania. Zauważył, że kobiety, którymi zajmowali się lekarze albo studenci medycyny, częściej umierały z powodu gorączki popołożowej niż te, którymi opiekowały się położne. Bystry człowiek z tego Semmelweisa. Wielu ludzi nie zastanawiałoby się dalej nad tą sprawą, ale on uprzytomnił sobie, że wielu z tych lekarzy przychodziło odbierać porody wprost z sekcji zwłok. Kazał im myć ręce wodą i wapnem przed badaniem kobiet ciężarnych, a wtedy liczba zgonów z powodu gorączki popołożowej gwałtownie spadła. Najwyraźniej wapno zabijało lub niszczyło coś, co inaczej na dłoniach lekarzy przeniosłoby się ze zwłok na kobiety. - Uniósł chustkę. - Dlatego właśnie użyłem brandy. Daje podobny efekt.

- Co to za „coś”? - zapytał Sherlock.

Crowe uśmiechnął się.

- Już rzymski pisarz Marek Terencjusz Warrus pisał: „Lęgną się pewne maleńkie stworzonka, niewidoczne dla oczu, które unoszą się w powietrzu i dostają do organizmu przez usta i nos, powodując rozmaite choroby”. Tego klasyka pewnie nie czytaliście w szkole. O owych maleńkich stworzeniach mówi się od wieków, ale medycyna po prostu nie traktowała ich poważnie.

- Ale czy nie moglibyśmy po prostu zostawić tu ciała i kogoś zawiadomić? - zapytał Sherlock. - Czy tak nie byłoby dla nas bezpieczniej?

Crowe obrzucił spojrzeniem krzewy i drzewa dookoła.

- Może się zdarzyć, że przyjdzie lis albo borsuk i zrobi sobie ucztę. Nie znałem tego człowieka, ale nie życzyłbym takiego losu nikomu, żywemu czy martwemu. Nie, i tak trzeba będzie go stąd przenieść i pogrzebać, więc ten moment jest równie dobry jak każdy inny. Nic nam się nie stanie, dopóki go nie dotkniemy i będziemy mieli na twarzach maski.

Crowe starannie obwiązał chustkę wokół twarzy. Oczy zasły mu łzami od oparów brandy. Roześmiał się, a wtedy głębokie zmarszczki wokół oczu załamały się jak zgniecione płótno.

- Nie mówiłem, że to dobra brandy - powiedział. - Uważaj, żebyś w niej nie zasmakował. A teraz biegnij i weź z ogrodu taczkę. Przyrowadź ją tutaj, tylko migiem.

Zostawiwszy Crowe'a pochylonego nad ciałem i upchnąwszy chustkę w kieszeni, Sherlock szybko ruszył po

własnych śladach z powrotem w kierunku domu. Odnajdywał drogę dzięki różnym drzewom, krzewom i grzybom, które Amyus Crowe wskazywał mu, gdy szli przez las. Biegł przez zarośla, a trawy chłostały go po kostkach. W nozdrzach czuł zmieszany zapach paproci i lawendy. Pot spływał mu z czoła i pomiędzy łopatkami, ciekąc po policzkach i wzdłuż kręgosłupa.

Kiedy wypadł na otwartą przestrzeń między lasem a domem, przystanął na moment, żeby złapać oddech i ochłonać. Popołudniowe słońce oślepiło go na chwilę niczym uderzenie w głowę. Pochylił się, opierając dłonie na kolanach, i łapczywie łykał hausty ciepłego powietrza. Dźwięki przytłumione przez drzewa – rąbanie drewna, odległe chrupkanie świń, czyjś śpiew – nagle stały się natrętne.

Gdy się wyprostował, dostrzegł w oddali postać jeźdźca, tuż przed bramą wiodącą na drogę, po drugiej stronie muru posiadłości. Koń stał nieruchomo i Sherlock odniósł wrażenie, że ten ktoś na niego patrzy. Zmrużył oczy i uniósł rękę, by osłonić je przed słońcem, ale w chwili, gdy dłoń przesłoniła mu widok, koń ruszył naprzód i postać zniknęła.

Nie zaprzatając sobie głowy jeźdźcem, Sherlock znalazł taczkę w pobliżu kurnika i szybko przyprowadził ją przez las z powrotem na miejsce, gdzie leżał trup. Pan Crowe właśnie przeszukiwał jego kieszenie.

- Nic, co pozwalałoby zgadnąć, kim jest - powiedział, nie podnosząc wzroku. Jego głos tłumiała chustka. - Czy ty go poznajesz?

Sherlock popatrzył na opuchniętą twarz trupa, czując, jak mu się przewraca w żołądku. Próbował, nie zwracając uwagi na pęcherze i zaczerwienienie, przyjrzeć się jej rysom.

- Nie sądzę - odrzekł w końcu. - Ale trudno powiedzieć.

- Spójrz na uszy - doradził Crowe. - Ludzkie uszy są dość charakterystyczne. Czasem nie mają koniuszków, czasem są pomarszczone albo wyglądają jak idealne muszle. Łatwo odróżnić ludzi po uszach, zwłaszcza jeśli próbują się zamaskować.

Sherlock zatrzymał dla siebie ripostę, że leżący przed nimi nieboszczyk raczej nie mógłby ukrywać swojej tożsamości, i zamiast tego skupił się na jego odsłoniętym lewym uchu. Zauważył na nim wyraźne nacięcie, mniej więcej w połowie, tak jakby ktoś zadrasnął je nożem w bójce albo siekierą podczas rąbania drzewa. I wtedy przypomniał sobie: rzeczywiście widział już tego człowieka. Tylko gdzie?

- Myślę, że był pracownikiem mego stryja - powiedział w końcu. - Widziałem, jak powoził wozem.

- Kiedy to było? - zapytał Crowe.

- Dzisiaj przed południem. - Sherlock zmarszczył brwi. - Ale on wygląda, jakby chorował od dawna. Kiedy go widziałem, wyglądał na zdrowego.

- To wiele mówi - mruknął Crowe. - Znakomicie, wsadźmy go więc na taczkę i zawieźmy do domu. Wasza skwaszona ochmistrzyni może posłać po miejscowego rzeźnika.

- Rzeźnika?

- Chirurga - roześmiał się Crowe. - Nigdy wcześniej nie słyszałeś tego określenia?

Sherlock potrząsnął głową.

- Tak się o nich mówi, ponieważ jeszcze nie tak dawno głównie tym się zajmowali: amputowali palce, ręce, stopy albo całe kończyny, jeśli ktoś miał wypadek - prychnął Crowe. - Na szczęście cywilizacja dokonała od tego czasu pewnego postępu. - Pochylił się nad ciałem, po czym znów się wyprostował i zerknął na Sherlocka. - Pamiętaj, nie dotykaj jego skóry - przestrzegł. - Tylko ubrania. Lepiej nie ryzykować.

Przeprawa przez las zajęła im niemal pół godziny. Amyus Crowe pchał taczkę z dziwacznie ułożonym na niej trupem. Sherlock biegł przed taczką, usuwając kamienie i gałęzie, które mogłyby zahaczyć o taczkę albo na których Crowe mógłby się potknąć. Ręce martwego mężczyzny podrygiwały, kiedy taczka podskakiwała na jakimś wyboju, co sprawiało wrażenie, jakby próbował się podnieść do pozycji siedzącej. Sherlock starał się na niego nie patrzeć.

Zanim zobaczyli dwór, Sherlock ledwo dyszał i czuł, jak mięśnie pieką go z wysiłku. Ktoś musiał ich dostrzec, ponieważ pani Eglantine szła już szybko w ich kierunku.

Dotarła do nich, akurat gdy wyszli z lasu.

- Nie ośmieli się pan zawieźć tego czegoś w pobliże domu - powiedziała zimno.

- To „coś” - sprostował spokojnie Crowe - to jeden z państwa robotników. Wiem, że nie żyje, ale sądzę, że

należy mu się nieco szacunku.

Pani Eglantine skrzyżowała ręce na piersiach.

- Pracownik czy nie - rzekła - nie może się znaleźć w pobliżu domu. Proszę tylko na niego spojrzeć. Nie wiem, czy to ospa, czy dżuma, ale zwłoki trzeba spalić.

- Zgadzą się - powiedział Crowe - lecz chciałbym, by najpierw obejrzał je lekarz. I oczywiście należy powiadomić rodzinę. Czy byłaby pani tak uprzejma i wezwała lekarza z miasta? A tymczasem gdzie moglibyśmy złożyć ciało?

Pani Eglantine prychnęła.

- Tam jest nieużywana szopa, przy której gromadzi się nawóz. Niech tam go pan położy - urwała. - Możemy ją potem spalić - dodała, po czym odwróciła się i ruszyła do domu.

- Uroczą damą - mruknął Crowe.

Sherlock zaprowadził go na tyły domu, gdzie składano nawóz koński, żeby później rozsypać go na grządkach i w sadzie. Ciepły, ostry zapach wiercił mu w nosie mimo nasączonej brandy chusteczki i osiadał w gardle posmakiem żółci.

Szopa była zrujnowana, a Sherlock i Crowe musieli usunąć stosy połamanych desek i zardzewiałych narzędzi gospodarczych, zanim udało im się wprowadzić do środka taczkę ze zwłokami. Promienie słońca wpadające przez dziury w dachu i ścianach kładły się na nich smugami wielkości dłoni, resztę skrywając litościwie w mroku. Trup, którego nogi i ręce zwieszały się przez krawędzie taczki,

wyglądał niczym groteskowa lalka naturalnej wielkości, niedbale rzucona w kąt.

- Nie ma sensu, żebyśmy obaj tu zostali - powiedział Crowe, wychodząc na zewnątrz i zdejmując chustkę z twarzy. - Wracaj do domu. Poproś pokojówkę, by przygotowała ci kąpiel, tylko gorącą. Wyszoruj się porządnie mydłem karbolowym. Przebierz się, a to ubranie oddaj służbie, żeby je spaliła, jeśli masz dość ubrań na zmianę. Jeśli nie, niech pokojówka zabierze je do prania.

Po kąpieli, ze skórą zaróżowioną od ukropu i ciemnoczerwonego mydła karbolowego, Sherlock przebrał się w zapasowe ubranie i wyszedł z domu. Wciąż czuł zapach smoły, jaki mydło zostawiło na jego skórze, oczy go piekły. Gdy skręcił za róg domu, ocierając łzy, zobaczył Amyusa Crowe'a, który stojąc przed zrujnowaną szopą, rozmawiał z przysadzistym mężczyzną w czarnym surducie. To na pewno był miejscowy lekarz. Kiedy Sherlock podszedł bliżej, usłyszał jego wysoki, arogancki głos:

- Trzeba zawiadomić władze. To już drugie zwłoki z podobnymi objawami. Jeśli to dżuma, należy natychmiast podjąć środki bezpieczeństwa. Trzeba odwołać jutrzejszy targ, a budynki publiczne zamknąć, by zapobiec szerzeniu się choroby. Wielkie nieba, być może będziemy musieli nawet zamknąć drogi prowadzące do miasta, dopóki niebezpieczeństwo nie minie!

- Nie tak szybko - powiedział Amyus Crowe swoim spokojnym, niskim głosem. - Mamy tylko dwa trupy. Dwie krople deszczu to jeszcze nie ulewa.

- Ale jeśli zacznie lać jak z cebra, zanim otworzy pan parasol, to pan zmoknie - odparł lekarz.

Nagle Sherlock zdał sobie sprawę, że wie więcej niż oni. Zwłoki, pęcherze, chmura dymu - właśnie to widział Matty Arnatt, kiedy zginął tamten człowiek w mieście. Tylko co to był za dym?

- Poczekajmy chociaż, aż zwłoki obejrzy jakiś specjalista - stwierdził Crowe.

Doktor z irytacją potrząsnął głową.

- Jaki specjalista? Mógłbym zrobić sekcję, ale wystarczy mi widok tych obrzękłych dymienic. Należy założyć, że mamy do czynienia z dzumą dymieniczną, i podjąć stosowne kroki.

Crowe uniósł dłoń w uspokajającym geście.

- Mam znajomego eksperta od chorób tropikalnych, który mieszka w Guildford. Profesor Winchcombe. Możemy go tu sprowadzić. Napiszę do niego.

- Niech pan pisze, jeśli pan chce - powiedział doktor - ale w tym czasie ja porozmawiam w burmistrzem, radą miasta i biskupem Winchester.

- A jaki on ma związek ze sprawą?

- Zamek Farnham to oficjalna rezydencja jego eminencji.

Sherlock podszedł bliżej, ale Amyus dostrzegł go i dał znak, by się nie zbliżał. Sherlockiem aż zatrzęsło ze złości. To przecież on znalazł zwłoki, a teraz Crowe najwyraźniej postanowił trzymać go z dala od tej sprawy. Czego od niego oczekuje - że zostanie w pobliżu, aż skończą rozmawiać, po czym podejmą lekcję tam, gdzie ją przerwali? Ma lepsze



rzeczy do roboty. Jeśli Croweowi się to nie podoba, niech pisze do Mycrofta.

Czując, jak buzuje w nim złość, Sherlock odwrócił się i ruszył z powrotem w las.

Kiedy znalazł się między drzewami, dom bardzo szybko zniknął mu z zasięgu wzroku. Ziemia ugięła się miękko pod stopami. Las pełen był szelestów roślin schnących w popołudniowym słońcu, ptaków i zwierząt przemykających w poszyciu. Z ziemi unosił się zapach wilgotnych liści, wypierając wciąż wierzącą Sherlockowi w nosie woń brandy i ostry zapach mydła karbolowego. Wśród zarośli nie było żadnych śladów ani ścieżek, musiał więc ostrożnie przechodzić przez zwalone drzewa i omijać krzaki głogu, żeby w ogóle posuwać się naprzód.

Wszedł w las w innym miejscu niż przedtem z Croweem i nie był pewien, gdzie się znajduje. Po kilku chwilach nie widział już posiadłości i zdał sobie sprawę, że stracił orientację. Równie dobrze mógł być na skraju lasu, jak i w środku, a jeśli nie będzie uważał, wejdzie coraz głębiej. Nie miał jak sprawdzić kierunku i chociaż próbował zapamiętywać kształty mijanych drzew, stwierdził, że ostatecznie wszystkie wyglądają tak samo.

Coś ciągnęło go coraz głębiej w las, coś pierwotnego, czego nie rozumiał. Niektórzy ludzie mówili o miastach, tak jakby miały one swoje własne osobowości. Sherlock wyczuwał coś w tym rodzaju w Londynie, gdzie bywał z ojcem, i w mniejszym stopniu w Farnham, które poznawał z Mattym Arnatem, ale tutaj czuło się obecność innego

rodzaju: czegoś beczasowego i mrocznego. Cokolwiek to było, widziało śmierć robotnika z farmy, i była mu ona zupełnie obojętna, tak samo jak śmierć setek, tysięcy, milionów zwierząt i ludzi, którzy zginęli tutaj w ciągu tysiãcleci.

Próbując otrząsnąć się z tego wrażenia, Sherlock potknął się nagle o koleiny pozostawione przez taczkę i po tych śladach doszedł do miejsca, gdzie wcześniej znalazł ciało. Rośliny przyciśnięte przez zwłoki zdążyły już się podnieść i nie było widać, gdzie leżał mężczyzna. Dokładne miejsce dało się poznać tylko po tym, gdzie kończyły się koleiny wyżłobione przez koła.

Sherlock wpatrywał się w ziemię, nie wiedząc, czego właściwie szuka. Próbował wyobrazić sobie, jak mogły wyglądać ostatnie chwile zmarłego. Czy w malignie dowlókl się na polanę i osunął na kolana, zanim padł na ziemię, czy też szedł sobie, nieświadom choroby, po czym nagle stracił przytomność i leżał bez zmysłów, podczas gdy na jego twarzy i rękach tworzyły się pęcherze? Powinno się dać to odczytać ze śladów. Jeśli miał gorączkę, będą zygzakowate, a jeśli szedł normalnie, będą tworzyć prostą linię. Pewnie doktorowi przydałaby się wiedza o tym, jak szybko choroba się rozwinęła, w każdym razie Sherlock mógłby zaimponować Amyusowi Croweowi swoją zdolnością dedukcji.

Ukucnął i uważnie przyjrzał się ziemi. Buty tamtego mężczyzny zostawiły na glebie wyraźny odcisk – obcas jednego trzewika był bardziej zniszczony niż drugiego

i chłopiec stwierdził, że może łatwo odróżnić te ślady od śladów własnych lub Crowe'a. Idąc ich tropem, doszedł do skraju polany. Ślady były dziwne, czasem wskazywały w jedną stronę, czasem w drugą, tak jakby mężczyzna obracał się wokół własnej osi. Może tańczył? Nie, to głupie. Może miał zawroty głowy? To bardziej prawdopodobne. Być może choroba - cokolwiek to było - zaburzyła jego zmysł równowagi.

Sherlock poszedł za przypominającymi bazgroły śladami z polany aż do miejsca, gdzie nagle zaczynały iść w jednym kierunku. Z tego punktu wiodły prostą linią, co jakiś czas obchodząc drzewo lub zwalony pień, i wszystko wskazywało na to, że mężczyzna ten szedł z dworu Holmesów. Najwyraźniej cokolwiek mu się przydarzyło, stało się nagle: szedł sobie zwyczajnie, a po chwili zataczał się i obracał, jakby był pijany. Niedługo potem upadł i zmarł.

Sherlock wrócił do miejsca, gdzie charakter śladów się zmienił, i zaczął rozglądać się z zastanowieniem. Coś go tu niepokoiło. Przez dłuższą chwilę patrzył na drzewa, krzaki i trawę, próbując zrozumieć, co to takiego, aż wreszcie pojął. Trawa miała tu nieco inną barwę - była trochę bardziej żółta niż gdzie indziej w lesie. Sherlock uklęknął i dotknął palcem ziemi. Gdy podniósł rękę, do palców przywarły jakieś drobinki. Coś tu rozsypano - coś, co nie pasowało do lasu.

Sherlock potarł opuszki. Były tłuste. Czymkolwiek był ten żółty proszek, nie przypominał żadnej znanej mu substancji. Serce załomotało mu nagle w panice, gdy pomyślał, że to

właśnie mogło być przyczyną choroby zmarłego, ale po krótkim zastanowieniu doszedł do wniosku, że choroby nie biorą się z rozsypanego proszku. Przechodzą z człowieka na człowieka. W grę wchodziła jeszcze trucizna, ale jaka trucizna powoduje, że na twarzy i rękach pojawiają się straszliwe bąble?

Nie zastanawiając się długo, Sherlock wyciągnął z kieszeni kopertę z otrzymanym dziś rano listem od Mycrofta. Wyjął list i schował z powrotem do kieszeni, po czym ujął kopertę tak, że otworzyła się niczym ptasi dziób, i przeciągnął nią po trawie. Nieco żółtego pyłu dostało się do środka. Zamknął ją szybko i schował do drugiej kieszeni. Nie wiedział, czy to ważne, ale może Amyus Crowe będzie umiał stwierdzić, co to za proszek.

Wędrował przez las, aż w końcu wyszedł na drogę – czy był to trakt prowadzący do dworu, czy jakiś inny, tego nie wiedział. Droga zakręcała w obu kierunkach, tak że nie potrafił się zorientować, gdzie się znalazł. Usiadł więc na poboczu i czekał. Pomyślał, że w końcu przejedzie tędy jakiś wóz, a wtedy poprosi o podwiezienie.

Było późne popołudnie. Dokąd chciał jechać, do posiadłości czy do miasta? Po krótkim zastanowieniu uznał, że wracając do dworu, narazi się tylko na całe popołudnie nudy. Miasto wyglądało o wiele bardziej kusząco.

Pierwsze dziesięć czy dwanaście wozów, które przejechały, zmierzało w tym samym kierunku, wszystkie wyładowane pudłami, skrzyniami i workami. Na twarzach woźniców i pasażerów widać było strach. Sherlock nie miał

pewności, ale czuł, że musieli usłyszeć o dwóch ofiarach i wyjeżdżali z Farnham, chcąc uciec jak najdalej od możliwej zarazy. Nie próbował nawet prosić o podwiezienie: sądząc po minach ludzi, nie potraktowaliby go przyjaźnie. Wreszcie po jakiejś półgodzinie usłyszał grzechot kół wozu na twardej powierzchni, nadbiegający z kierunku przeciwnego niż ten, z którego dotychczas nadjeżdżały wozy. Wstał więc i czekał, aż pojazd wyłoni się zza zakrętu.

- Przepraszam! - zawołał do siwego, chudego woźnicy. - Dokąd jedziecie?

Woźnica skinął głową, wskazując drogę przed sobą. Nawet nie spojrzał na Sherlocka, chociaż ściągnął lejce, by zatrzymać konia.

- W którą stronę jest dwór Holmesów? - zawołał Sherlock.

Mężczyzna ruchem głowy pokazał za siebie.

- Możecie zabrać mnie do miasta? - zapytał Sherlock.

Woźnica zastanawiał się przez chwilę, po czym znów skinął głową, wskazując ręką do tyłu. Uznając to za przyzwolenie, Sherlock wsiadł na wóz, który natychmiast przyspieszył, tak że chłopiec o mało nie spadł. Zamiast tego potoczył się na stos siana.

Woźnica milczał jak głaz przez całą podróż, a Sherlock stwierdził, że także nie ma nic do powiedzenia. Rozmyślał na zmianę o zmarłym, o tajemniczym jeźdźcu i o dziwnym, lecz intrygującym Amyusie Crowie. Dwór Holmesów i jego najbliższa okolica, które z początku wydawały się piekłem nudy, zaczęły mu się jawić jako coś wręcz przeciwnego.

Przypomniął sobie opowiedzianą przez Mattyego historię o zwłokach wyniesionych z domu w Farnham oraz dziwnej chmurze, którą widział wypływającą z okna. Sherlock początkowo zlekceważył tę historię - a przynajmniej fragment o chmurze - ale teraz zaczął się znów nad nią zastanawiać. Jeśli Amyus Crowe miał rację, twierdząc, że choroby powodują „maleńkie stworzonka”, które mogą się przenosić z człowieka na człowieka, to może właśnie coś takiego zobaczył Matty - chmurę tych mikroskopijnych, chorobotwórczych stworzeń?

To bez sensu. Nie słyszał, by ktokolwiek wspominał wcześniej o takich chmurach. Przecież musiałyby je zobaczyć ktoś poza nimi dwoma. Nie, tu działo się coś innego.

Dopiero kiedy wóz zatrzymał się gwałtownie, Sherlock zorientował się, że są w Farnham. Woźnica, nieruchomy jak posąg, poczekał, aż chłopiec wysiądzie, po czym odjechał, nawet na niego nie spojrzawszy, podczas gdy Sherlock wciąż grzebał po kieszeniach w poszukiwaniu drobnych, sądząc, że będzie musiał zapłacić temu człowiekowi za fatywę.

Rozejrzał się. Był na głównej ulicy, biegnącej przez centrum Farnham. Na wprost, nieco dalej, widniał wielki kwadratowy budynek z czerwonej cegły, otoczony arkadowymi podcieniami, w którym, według słów Mattyego, mieścił się spichlerz. Sherlock rozejrzał się ponownie; życie w mieście toczyło się jak zwykle, ludzie chodzili tu i tam, zatrzymywali się przed witrynami sklepowymi albo przed

straganami z pieczywem, rozmawiali ze sobą albo skupiali się na swoich sprawach. Trudno było o większy kontrast z mroczną samotnością lasu.

Może tak działała jego wyobraźnia, ale wydawało mu się, że na rogach ulic i przed sklepami tworzą się niewielkie grupki ludzi. Pochylali ku sobie głowy, tak jakby opowiadali coś sobie szeptem, i zerkali podejrzliwie na każdego przechodnia. Czy rozmawiali o tym, że w mieście być może szerzy się zaraza? Czy przyglądali się twarzom przechodzących ludzi w poszukiwaniu obrzęków lub rumieńca, jaki powoduje gorączka?

Sherlock szybko sporządził w myślach listę miejsc, gdzie mógłby znaleźć Mattyego. Do zamknięcia targu zostały jeszcze ze dwie godziny, więc raczej mało prawdopodobne, by kręcił się tu w oczekiwaniu na wyrzucane przez kupców owoce i warzywa. A zgodnie z kolejowym rozkładem jazdy, który Sherlock przewidująco zapamiętał, na wypadek gdyby nie mógł już wytrzymać u stryjostwa, do wieczora nie odjeżdżał już żaden pociąg. Sherlock przypuszczał, że Matty może czaić się przed jedną z miejscowych gospód, z nadzieją, że któryś z pijanych klientów rzuci mu jakiegoś pensa.

W końcu Sherlock zdał sobie sprawę, że nie ma dość informacji, by zgadnąć, gdzie może być Matty. Jak powiedział Mycroft: „Sherlocku, teoretyzowanie bez wystarczającej wiedzy to zasadniczy błąd”. Zamiast tego poszedł więc ulicami do miejsca, które pokazał mu Matty – do domu, gdzie zmarł ten pierwszy człowiek i gdzie z okna

wypełzła zabójcza chmura, by wspiąć się po ścianie i zniknąć za kalenicą.

Budynek wyglądał na porzucony. Drzwi i okna były zamknięte na głucho, na drzwiach widniała przybita przez kogoś kartka. Jak uznał Sherlock, zawierała ostrzeżenie, że ktoś w tym domu zmarł na gorączkę. Był rozdarty sprzecznymi uczuciami: jakaś jego część kazała mu wejść do środka, by się rozejrzeć i sprawdzić, czy nie zostały tam ślady żółtego proszku, ale druga część, ta bardziej pierwotna, bała się. Mimo nasączonej brandy chustki, którą wciąż miał w kieszeni, nie chciał ryzykować, że się zarazi.

Drzwi domu uchylły się odrobinę, Sherlock cofnął się więc do bramy naprzeciwko. Kto mógł być w środku? Czy ktoś zaryzykował wejście, by posprzątać dom, czy też się do niego wprowadził, albo wrócił, lekceważąc zagrożenie? W drzwiach wciąż była tylko szpara i Sherlock raczej wyczuł, niż dostrzegł, że ktoś stoi za nimi w ciemnościach i mu się przygląda. Wsunął się głębiej w cień bramy, czując, jak wali mu serce, choć sam nie wiedział dlaczego.

Wreszcie drzwi otworzyły się szerzej i wysunął się zza nich jakiś człowiek ubrany w różne odcienie szarości. Obejrzał się w lewo i w prawo, zanim wyszedł na ulicę. W dłoni trzymał worek.

A dłoń ta pokryta była drobnym, żółtym proszkiem.

Zaintrygowany proszkiem oraz zachowaniem mężczyzny, który najwyraźniej starał się przemknąć niezauważony, Sherlock patrzył, jak tamten dochodzi do skrzyżowania uliczki z większą ulicą. Mężczyzna skręcił w lewo. Sherlock



odczekał chwilę, po czym ruszył za nim. Nie wiedział, co się dzieje, ale miał zamiar się dowiedzieć.

Ten człowiek wydawał mu się dziwnie znajomy. Sherlock musiał już go wcześniej widzieć. Miał wąską, lisią twarz i wystające zęby, zażółcone od tytoniu. Wreszcie przypomniał sobie – mężczyzna był na dworcu w Farnham, kiedy poszli tam z Mattym. Ładował na wóz skrzynie z lodem.

Idąc za nim, Sherlock znalazł się w innej części Farnham. Cały czas trzymał się z tyłu, chowając w bramach albo za plecy przechodniów, kiedy sądził, że mężczyzna ma zamiar skrócić. Wreszcie nieznajomy zboczył w uliczkę, którą Sherlock rozpoznał. To właśnie tutaj o mało nie zostali dziś z Mattym przejechani przez dziwny powóz wiozący różowookiego jegomościa.

Człowiek z workiem przemknął się wzdłuż wysokiego, otynkowanego muru do drewnianej bramy, z której wtedy wyjechał powóz, i zapukał – w skomplikowanym rytmie, którego nie udało się Sherlockowi zapamiętać. Brama otworzyła się z piskiem i mężczyzna wślizgnął się do środka. Wejście zamknęło się na powrót, zanim chłopiec zdążył zerknąć do wnętrza.

Rozejrzał się, trochę zły. Bardzo chciał zobaczyć, co jest za murem, ale nie wiedział, jak to zrobić. Wszystko to jakoś się ze sobą wiązało: dwie ofiary, poruszające się chmury, żółty proszek – lecz nie mógł pojąć, w jaki sposób. Odpowiedzi, których pragnął, mogły skrywać się za tym murem, ale równie dobrze mogłyby być w Chinach.

Czerwone słońce wisiało nisko nad horyzontem. Już niedługo będzie musiał wracać do dworu, by zdążyć umyć się trochę przed kolacją. Nie miał wiele czasu. Rozejrzał się zdesperowany. Ze znajdującego się za nim narożnika muru odpadła większość tynku, obtłuczona przez przejeżdżające wozy i platformy oraz wypłukana przez deszcz. Odsłonięte cegły mogły dać wystarczające oparcie, by zdołał wspiąć się na mur.

Trzeba spróbować.

Nie zastanawiając się długo, Sherlock przemknął za narożnik i porozglądał się uważnie. Nikt na niego nie patrzył. Sięgnął, jak najwyżej się dało, wymacał palcami szczelinę między cegłami, po czym prawą stopą znalazł odpowiedni punkt oparcia. Kiedy uznał, że jest gotów, podciągnął się w górę. Mięśnie nóg zaboląły go od nagłego wysiłku, ale nie miał zamiaru się poddać. Wysunął lewą rękę najdalej, jak mógł, i poczuł, że dotyka szczytu muru. Trzymając się mocno, podciągnął lewą nogę, aż znalazł dla niej oparcie. Wtedy przeniósł ciężar z prawej na lewą, mając nadzieję, że cegła nie zacznie się kruszyć. Wytrzymała, więc jednocześnie podciągnął się na lewej ręce i wspiął na lewej nodze, unosząc całe ciało, i nagle jakby cudem leżał już na szczycie muru, o włos od upadku na dziedziniec, który rozciągał się poniżej.



Leżąc na szczycie muru, Sherlock mógł objąć spojrzeniem cały rozpościerający się przed nim dziedziniec. Nikogo na nim nie dostrzegł. Teren zajmował głównie parterowy drewniany budynek bez okien, przypominający stodołę, wokół którego pełno było śmieci i chwastów. Od potężnych drzwi frontowych do bramy biegły liczne koleiny. Niektóre były ledwo widoczne, ale inne głębokie i wciąż pełne wody po niedawnym deszczu. Sherlock doszedł do wniosku, że wozy czy platformy przyjeżdżają do budynku bez ładunku, zostawiając płytkie koleiny, a wyjeżdżają, wioząc coś ciężkiego, przez co ich koła zapadają się w miękkiej ziemi. Ale co takiego przechowywano bądź wyrabiano w tej stodole i czy było to w jakiś sposób powiązane ze śmiercią człowieka, którego widział Matty, oraz z żółtym proszkiem?

Sherlock przerzucił już nogę przez mur, gotów opuścić się na dół, ale jakiś nagły gwałtowny ruch kazał mu błyskawicznie wciągnąć ją z powrotem. Z cienia za rogiem budynku coś ciemnego wybiegło tak szybko, że jego łapy wydawały się rozmazaną plamą. Sherlock zobaczył potężny,

muskularny łeb o niewielkich, położonych płasko uszach i drobne ciało pokryte szramami. Pies nie szczekał na niego, lecz warczał - niski, ostry dźwięk, niczym piła wgrzająca się w twarde drewno. Z odsłoniętych kłów kapiała ślina. Zwierzak zahamował gwałtownie już pod miejscem, gdzie leżał na murze Sherlock, i zaczął czujnie go obserwować, chodząc tam i z powrotem na krótkich, mocnych łapach, z opuszczonym ogonem.

Sherlock musiał dostać się do tej stodoły. Kryła się w niej jakaś zagadka, a on nie znosił nierozwiązanych zagadek. Ale pies wyglądał na głodnego i nauczonego zawziętości.

Spojrzał na drugą stronę muru, w miejsce, z którego się wspiął. Czy był jakiś inny sposób, by dostać się do środka? Chyba nie, tym bardziej że pies poszedłby za nim, ponieważ znał już jego zapach. Może udałoby się z nim zaprzyjaźnić? Mało prawdopodobne, a straszliwych skutków porażki lepiej sobie nie wyobrażać. Mógłby znaleźć obluzowaną cegłę albo duży kamień i spuścić go na zwierzę, ale to wydawało mu się niepotrzebnym okrucieństwem. Czy dałby radę go jakoś uśpić? Mógłby pobiec na rynek w Farnham i za pieniądze, które miał przy sobie, kupić kawałek mięsa, ale co dalej?

Popatrzył na ziemię po obu stronach muru, szukając czegoś, co by mu się przydało. W rogu u podnóża muru, blisko bramy, dostrzegł coś, co wyglądało jak zgubiona futrzana czapka. To był przejechany borsuk, którego widział wcześniej. Sherlock szybko na wpeł zeskoczył, na wpeł spadł z muru i podbiegł kilka kroków do zwiniętego

w kłębek martwego zwierzęcia. Podniósł je. Sierść borsuka była sucha i zakurzona, zwierzak ważył tyle co piórko, tak jakby uchodzące z niego życie pozbawiło go także ciężaru. Wydzielał zjełczały, obrzydliwy zapach. Sherlock, mamrocząc przeprosiny, pochylił się nieco, wyciągnął ramię i przerzucił borsuka przez mur. Sztywne łapki zwierzaka rozpostarły się, gdy leciał w powietrzu, obracając się wokół własnej osi. Zniknął za murem, a Sherlocka dobiegł głuchy odgłos upadku. Kilka sekund później usłyszał to, czego się spodziewał: pospieszny tupot łap na suchej ziemi i warkot, gdy pies wbił zęby w padlinę. Sherlock szybko wdrapał się znów na mur i zerknął na dziedziniec. Pies przytrzymał borsuka przednimi łapami i mocnymi szczękami szarpał nim na wszystkie strony, wrywając kawały mięsa. Gdy chłopiec zeskoczył na dół, pies przerwał raptownie, zerknął na niego podejrzliwie, po czym znów zajął się borsukiem. Albo uznał, że Sherlock jest jego przyjacielem, skoro dał mu taką wspaniałą zabawkę, albo też zostawiał go sobie na później. Sherlock modlił się w duchu, by to pierwsze wyjaśnienie okazało się prawdziwe.

Szybko, zanim pies zdążył rozerwać borsuka na kawałki zbyt małe, by stracić nim zainteresowanie, przebiegł przez dziedziniec do drewnianego budynku. Znalazł boczne drzwi i uchylił je odrobinę. Cisza i mrok. Otworzył drzwi szerzej i wślizgnął się do środka, zamykając je za sobą.

Gdy po kilku chwilach wzrok przyzwyczaiał mu się do ciemności, dostrzegł, że budynek oświetlony jest przez niewielkie okienka. Przez brudne szyby wpadały promienie

słońca, tworząc ukośne filary, które wydawały się podtrzymywać dach iluzorycznym rusztowaniem. Wnętrze pachniało starą, suchą ziemią i potem, ale pod tymi zapachami kryła się jeszcze inna woń – jakby słodka i kwiatowa. W całym budynku w różnych miejscach stały pudła i skrzynie, a na przeciwległym krańcu kilku mężczyzn ładowało je na wóz. Był wśród nich człowiek, którego Sherlock śledził w Farnham. Przyniesiony przez niego worek leżał obok, ciśnięty niedbale. Zaprzężony do wozu koń spokojnie jadł siano z torby zawieszanej u pyska. Z boku magazynu stał drugi wóz, a jego dyszel spoczywał na ziemi.

Sherlock dostrzegł w pobliżu nieporządny stos pustych drewnianych skrzyń i przemknął się cichcem, by się za nimi schować. Przyglądał się uważnie, jak mężczyźni załadowują wóz. Wśród przekleństw i przepychanek dźwigali skrzynki i jedną po drugiej umieszczali na wozie. Sądząc po ich wybrudzonych ubraniach i spoconych twarzach, pracowali tak już od dłuższego czasu.

Człowiek, za którym Sherlock szedł ulicami Farnham, pomógł załadować ostatnie pudło, po czym zatarł ręce i wytarł je w kamizelkę, tak jakby pracował w tym budynku cały dzień. Jego dłonie zostawiły żółte ślady na szorstkiej tkaninie. Jeden z pozostałych mężczyzn – wielki zabijaka z ogoloną głową, tatuażami, które niczym rękawy pokrywały mu całe ramiona aż po nadgarstki, oraz naftową lampką zwisającą u paska – spojrzał na niego z przyganą.

- Udała się wycieczka? - zapytał drwiąco.

- Hej, ja też pracowałem - odparł tamten.

- A co to za historia z chałupą Winta?

Przybysz potrząsnął głową.

- Baron miał rację - cichcem brali od nas towar i próbowali go opchnąć. Przy jego łóżku był cały stos kurtek i spodni.

- Widział cię kto?

- Nikt. Przemknąłem się jak szczur.

- Masz wszystko?

Mężczyzna skinął w stronę płóciennego worka.

- Pozbierałem i włożyłem tutaj.

- Dobrze. Wrzuć to też na wóz.

Kiedy przybysz podszedł do wozu, jego potężny współpracownik zawołał za nim:

- Spaliłeś chałupę Winta?

Tamten potrząsnął głową.

- Nie było potrzeby.

Drab wzruszył ramionami.

- Wytłumaczysz się z tego Baronowi, jak się z nim zobaczysz.

- Hej, Clem - nie będziemy tego potrzebować! - krzyknął jeden z ludzi, wskazując głową drugi wóz.

Drab odwrócił się do swoich pracowników.

- Zostawcie go - powiedział. - Wiadomo było, że pewnie się nie przyda, ale Baron nie chciał ryzykować. Przewrotny z niego gość.

Odwrócił się do przybysza i wskazał na plamy żółtego proszku na jego kamizelce.

- Masz na sobie trochę ich towaru. Chałupa Winta też pewnie jest skażona. Baron będzie chciał, żeby ją spalić, tak samo jak tę stodołę. Pozbądź się wszelkich dowodów.

Przybysz spojrział na swoją kamizelkę.

- A co to właściwie jest? - zapytał.

Jego współpracownik zaśmiał się. Było to coś pomiędzy prychnięciem a kaszlem.

- Lepiej nie wiedzieć.

Przybysz spojrział na swoje dłonie. Zerknął znów na osiłka i twarz nagle mu zbielała.

- Hej, Clem, czy to znaczy, że spotka mnie to samo, co Winta?

Clem potrząsnął głową.

- Nic ci się nie stanie, jeśli dobrze umyjesz ręce, tak jak mówił nam Baron. - Odwrócił się do pozostałych mężczyzn, którzy stali wokół, rozmawiając, ponieważ załadowano już wszystkie skrzynie. - No dobra, chłopcy, czas ruszać w drogę. Martin i Joe - pojedziecie z wozem. Wiecie, dokąd ma trafić. Stouffer i Flynn - wy jedźcie za Baronem. - Teraz zwrócił się do przybysza: - Denny, ty zostaniesz tu ze mną posprzątać. Spalimy tę chałupę. Ta stodoła jest diabelnie wielka, nie wiadomo, co mogliśmy tu zostawić.

Denny - rozejrzał się po olbrzymim wnętrzu.

- Naprawdę musimy? - zapytał z żalem. - Pomyśl tylko, co można by tu zrobić, jak już nie będzie potrzebna Baronowi. Choćby założyć jakiś interes albo otworzyć największą tancbudę w okolicy. Z panienkami, muzyką i w ogóle wszystkim. Szkoda po prostu to spalić.



Twarz Clema ściągnął złowrogi grymas.

- Chcesz iść do Barona i opowiedzieć mu, co ci się tam roi, droga wolna. Ja będę robił, co mi kazano.

Denny jakby się skurczył pod jego ciężkim wzrokiem.

- Tylko pytałem - powiedział.

Jeden z mężczyzn stojących przy wozie podniósł rękę, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- A kiedy dostaniemy forszę? - zapytał.

- Kiedy towar dojedzie na miejsce! - warknął Clem. - Spotykamy się jutro, w gospodzie Molly. Wezmę forszę od Barona i wtedy ją rozdzielę.

- A skąd pewność, że tam będziesz? - zapytał inny. Zreflektowawszy się poniewczasie, zaraz opuścił na wpół podniesioną dłoń.

Clem zmierzył go spojrzeniem.

- Ponieważ Baron płaci nam za milczenie - moje i wasze. Jeśli nie dostaniecie forsy i wygadacie się komuś o tym, co robimy, Baron mnie znajdzie, a tego wolałbym uniknąć. Wszyscy dostaną zapłatę jak się należy, w porządku?

Udobruchany mężczyzna przytaknął.

- W porządku.

Sherlock wcisnął się głębiej za stos skrzyń, kiedy robotnicy się rozproszyli. Dwóch wsiadło na wóz, a dwóch poszło otwierać potężne drewniane drzwi, żeby można było wyjechać. Clem został, by nadzorować wszystko, a Denny stał obok niego nieco zagubiony. Mężczyzna na koźle cmoknął i popędził kijem konia, który ruszył, wciąż żując siano z torby.

Clem podszedł do wielkich drewnianych drzwi, lampka przyczepiona u paska obijała mu się o udo. Nie odwracając głowy, wskazał kciukiem miejsce, gdzie ukrywał się Sherlock.

- Zamknij tamte drzwi, a potem przyjdź tutaj.

Serce chłopca zamarło na chwilę, kiedy Denny szedł w kierunku jego kryjówki. Jeśli podejdzie do stosu skrzyń, na pewno go dostrzeże, a wtedy Sherlock nie dawał sobie wielkich szans. Zmienił pozycję i spał się, gotów do biegu. Czy zdąży dotrzeć do bocznych drzwi, zanim Denny go dopadnie? Nie był pewien, ale też nie widział innej drogi.

Denny zbliżył się do skrzyń, ciągnąc za sobą woń brudnego, przepoconego ubrania. Sherlock zerknął ku Clemowi, próbując się zorientować, czy drab stoi dość blisko, by pomóc Dennyemu go złapać. Clem był teraz niemal przy głównych drzwiach. Sherlock szybko przycupnął za stosem, a kiedy Denny go minął, przesunął się na jego drugą stronę. Gdyby Clem odwrócił głowę, zanim wyszedł z głównej bramy, miałby Sherlocka jak na widelcu, ale na szczęście tego nie zrobił. Chłopiec patrzył, nie śmiejąc odetchnąć, jak Clem znika w jasnym, popołudniowym słońcu na zewnątrz. Chwilę później wielkie drzwi zaczęły się zamykać z piskiem zardzewiałych zawiasów, ryjąc krawędzią w ziemi.

Sherlock zerknął ponad skrzyniami. Denny właśnie sprawdził, czy boczne drzwi, przez które chłopiec wszedł, są dobrze zamknięte, i miał zamiar zasunąć rygle, tak żeby na pewno nikt nie dostał się do środka. Kiedy tylko sobie

pójdzie, Sherlock będzie mógł znów odryglować drzwi, otworzyć je i uciec.

Denny podniósł z podłogi kłódkę i przełożył ją przez pętlę w najwyższej zasuwie oraz przez metalowy pierścień przytwierdzony do framugi. Kłódka zatrzasnęła się z wyraźnym szczękiem. Denny wyjął wystający z niej klucz i wsunął do kieszeni, po czym odwrócił się i pogwizdując, ruszył przez halę.

Sherlock czuł, jak wali mu serce, a dłonie wilgotnieją. Zerknął szybko przez ramię na zamknięte teraz na kłódkę drzwi. Wyglądały solidnie. Tędy się nie wydostanie, w każdym razie na pewno nie szybko i bezszelestnie. Będzie musiał tu siedzieć, aż Denny i Clem wyjdą, odczekać jeszcze pięć minut, po czym wyjść tą samą drogą, co oni.

Denny dotarł do głównych drzwi, właśnie gdy Clem zamykał od zewnątrz drugie skrzydło. Prostokąt światła padającego z dziedzińca robił się coraz węższy i węższy. Skurczył się do szerokości linijki, potem kreski, po czym znikł. Drzwi zamknęły się z głuchym łupnięciem.

Wraz z tą smugą światła w Sherlocku zgasł ostatni promyczek nadziei, tym bardziej że usłyszał wyraźnie, jak drzwi są zamykane jeszcze na ciężką drewnianą sztabę. Droga ucieczki została odcięta!

Przez chwilę słyszał jeszcze, jak ci dwaj rozmawiają, ale nie rozumiał, co mówią. Wyprostował się, chcąc pójść do drzwi i sprawdzić, czy uda mu się wyłapać jakieś słowa, lecz nagły dźwięk zatrzymał go w pół drogi.

To był brzęk lampki naftowej Clema, rozbitej o drzwi.

Szkoło roztrzaskało się, a paliwo rozbryznięto po drewnie. Przez chwilę panowała cisza, a potem dał się słyszeć złowrogi trzask, kiedy od płomienia lampki zajęło się nasiąknięte naftą drewno.

Clem i Denny podłożyli ogień pod stodołę.

Sherlock był bliski paniki. Chciał uciekać, ale nie wiedział dokąd, więc tylko miotał się to w tę, to we w tę. W ustach miał metaliczny posmak, a serce waliło mu tak mocno, że czuł puls w gardle i na skroniach. Przez jakąś minutę nie był w stanie zebrać myśli, ale stopniowo zdławił panikę, powtarzając sobie, że musi być jakieś wyjście. Wystarczy tylko dojść jakie. Czuł, jak galop serca stopniowo zwalnia do zwykłego pulsu, a mrowienie w nogach i rękach ustępuje.

Nagle stodołę zaczęła wypełniać woń dymu. Niewielkie płomyki, niczym ciekawskie paluszki, szukały drogi między złączeniami desek drzwi.

Myśl, powiedział sobie Sherlock. Myśl tak intensywnie, jak nigdy dotąd.

Rozejrzał się uważnie po stodole. Większość pudeł zabrał Clem i pozostali, a Sherlock nadal nie wiedział, co się w nich znajdowało. Skrzynie, za którymi się chował, wciąż piętrzyły się przy zamkniętych bocznych drzwiach, lecz były puste.

Podbiegł na drugą stronę stodoły i natarł barkiem na drewnianą ścianę. Drewno zadrżało pod uderzeniem, ale nic się nie złamało. Spróbował jeszcze raz. Na próżno. Żeby

złamać te deski, musiałby mieć topór, młotek albo coś takiego. Rękami nic nie zdziała.

Gdy rozglądał się rozpaczliwie po wnętrzu w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia, którego mógłby użyć, żeby rozwalić ścianę albo rozewrzeć deski, jego wzrok padł nagle na stojący z boku zapasowy wóz. Wyglądało na to, że jest sprawny, zresztą tamten człowiek, Clem, mówił, że użyliby go, gdyby skrzyń było więcej. Czy mógłby się nim posłużyć, żeby się stąd wydostać? Czy da radę choćby ruszyć go z miejsca?

Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać. Sherlock podbiegł do wozu i złapał za jeden z dyszli. Nietrudno było go podnieść. Pociągnął za niego na próbę, ale wóz ani drgnął. Pociągnął znów, mocniej, i wóz drgnął odrobinę, ale drugi dyszel wciąż leżał na ziemi, a od tego szarpania zagłębiał się tylko w podłoże, hamując pojazd.

Logika. Użyj logiki. Jeśli nie da się pociągnąć wozu, może da się go popchnąć. Sherlock puścił dyszel i napał na przód wozu, od strony kozła. Udało się! Cały pojazd przetoczył się kilka cali w tył. Jakakolwiek siła nad nim czuwała, chłopiec był jej wdzięczny za tajemniczego Barona i jego przezorność, pod której wpływem jego pracownicy nie tylko postarali się o dodatkowy pojazd, ale też naoliwili mu osie. Następnie cofnął się kilka kroków i natarł na wóz, mocno wpierając bark w drewniany bok.

Tym samym barkiem uderzył wcześniej w ścianę i poczuł teraz palący ból w całym ramieniu i szyi, ale wóz przetoczył się kilka stóp w tył, po czym się zatrzymał.

Oczy zapiekły Sherlocka od dymu. Odwrócił się i zobaczył, że płomienie wspinają się coraz wyżej po drewnianych drzwiach ku nadprożu. Logicznie rzecz biorąc, kiedy drzwi stodoły zostaną nadwątlone przez ogień, łatwo przebije się przez nie wozem, jeśli tylko zdoła go dopchać tak daleko i wystarczająco rozpędzić. Ale musiałyby wtedy także odwrócić wóz, żeby wycelować w drzwi, a poza tym płomienie go przerażały. Jedynym realistycznym rozwiązaniem było spróbować rozbić wozem ścianę na tyłach stodoły.

Nie zwracając uwagi na ból promieniujący z barku, Sherlock zaparł się rękami o przód wozu i uginając kolana, wbił stopy w miękką ziemię. Pochylił się niemal poziomo i popchnął ze wszystkich sił - mocniej, niż kiedy grał w rugby na boisku w Deepdene, mocniej niż na szkolnym ringu boksterskim w sali gimnastycznej. Przez długą chwilę jego ciało tkwiło jakby zawieszony między dwoma nieruchomymi obiektami, po czym wóz zaczął się przesuwać. Jedno koło trafiło na jakąś przeszkodę - kamień albo grudę błota - i przez chwilę wydawało się, że wóz zaraz wróci na to samo miejsce, ale Sherlock zapierał się nogami i pchał tak mocno, że jego mięśnie aż krzyczały z wysiłku. Koło przejechało przez przeszkodę, czymkolwiek była, i wóz zaczął coraz płynniej toczyć się w tył. Sherlock przeniósł lewą stopę, zrobił wielki krok, a następnie prawą. Klepisko dawało dobre oparcie. Wkładając w to całą swoją energię, cal po calu popychał wóz, który, tak jak lokomotywa, zaczął nabierać prędkości. Po kilku sekundach

z ospałego dreptania przeszedł do powolnego marszu, potem szybkiego marszu, wreszcie truchtu. Sherlock poczuł dziwne piknięcie w barku, kiedy ścięgno zahaczyło o kość niczym trącona palcem struna skrzypiec. Wiedział, że lada chwila ramię opadnie mu bezwładnie, ale siłą woli trzymał ręce zablokowane, popychając przód wozu, i po chwili mrowienie ustąpiło. Wóz wciąż jechał. Chłopiec nie miał odwagi podnieść wzroku, by zobaczyć, jak blisko jest tylnej ściany, w obawie, że jeśli zmieni pozycję, wóz straci rozpęd. Mógł jedynie liczyć kroki: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć – każdy kolejny szybszy od poprzedniego. Chyba już powinien być przy ścianie? Poczuł ciepło na karku, gdy główna brama zajęła się ogniem. Za sprawą płomieni przed nim migotał jego własny cień z czerwonym obrysem.

Nagle tył wozu z impetem uderzył w ścianę. Drewniane listwy prysnęły naokoło, a gwoździe wylazły z drewna z bolesnym piskiem. Sherlock poczuł powiew świeżego powietrza, które wepchnęło dym z powrotem i podsyciło ogień. Tylne koła zaczepiły o drewno, ale widział blask dziennego światła wokół potężnej sylwetki wozu. Wdrapał się na kozioł, przeszedł przez platformę i wreszcie wydostał się na cudownie świeże powietrze i słońce.

Naiwnie spodziewał się tłumów ludzi i brygady lokalnej straży pożarnej z pompami i wiadrami, ale na dziedzińcu było pusto. Nawet pies uciekł, być może w ślad za zbirami, gdy wyjechali przez główną bramę. Chociaż w magazynie panowało niemal piekło, na zewnątrz płomienie były ledwo widoczne na tle jasnego nieba i tylko wąska smużka dymu

unosila się w górę - nieco większa niż z kuchennego komina. W końcu ktoś to zauważy i sprawdzi, ale nie tak szybko.

Główna brama była zamknięta. Sherlock domyślił się, że Clem i jego wycofująca się banda założyli kłódkę. Podobną ostrożność wykazywali we wszelkich innych działaniach. Ignorując więc główne wyjście, Sherlock rozejrzał się w poszukiwaniu dogodnego miejsca, gdzie mógłby przeleźć przez mur. Od środka był nieotylnowany, więc wdrapanie się na niego nie sprawiało trudności.

Na szczycie muru odwrócił się na chwilę, by spojrzeć na stodołę. Ogień docierał już pod dach, zaczęły się palić krokwie. Należało uciekać.

Sherlock na wpół zlął, na wpół spadł z muru, i oddalił się, kulejąc. Szedł tak długo, aż poczuł, że zaraz pękną mu płuca, a nogi przestaną go nieść. Osunął się na ziemię pod niskim murkiem, ulegając wreszcie wyczerpaniu i panice, z którą walczył, zdawałoby się, w nieskończoność. Chwytał powietrze wielkimi haustami i pozwolił w końcu, by całym jego ciałem owładnęły dreszcze. Po chwili wydało mu się, że ma dość siły, by podnieść ręce na wysokość twarzy. Były podrapane i zakrwawione, tkwiły w nich drzazgi, na które wcześniej nawet nie zwrócił uwagi. Wyciągnął je jedną po drugiej, tak że dłonie miał usiane kropelkami krwi.

Tyle trudu, takie niebezpieczeństwo i czego właściwie się dowiedział? Że jeśli śmierć tamtego człowieka w domu w Farnham była wypadkiem, to przyczynę tego wypadku stanowiła działalność przestępcza. Zmarły kradł coś swoim



kompanom i to coś go zabiło. Przestępcy zapakowali resztę tego czegoś do skrzyń i wywieźli w nieznane miejsce, po czym podłożyli ogień pod budynek, by zatrzeć ślady swojej działalności. A wszystko to działo się na polecenie tajemniczego Barona.

I wtedy Sherlock przypomniał sobie chwilę, kiedy za pierwszym razem stał przed bramą wiodącą na dziedziniec i obaj z Mattym omal nie zostali rozjechani przez powóz. Czy człowiek w powozie - mężczyzna o białej skórze i różowych oczach - to był właśnie Baron? A jeśli tak, co dokładnie zamierzał?

Sherlock nagle zdał sobie sprawę, że robi się ciemno. Słońce niemal zaszło, a on musiał nie tylko wrócić do dworu, ale także jakimś sposobem umyć się i zmienić ubranie - a to wszystko, zanim pani Eglantine zauważy, że coś się stało. Sądził już, że najgorsze wydarzenia tego dnia ma za sobą, lecz po chwili z przygnębieniem uświadomił sobie, że czeka go jeszcze drugie tyle.



Następnego ranka Sherlock ledwo zdążył na śniadanie. Po przygodach poprzedniego dnia był zmęczony i obolały, a w głowie dudniło mu w rytmie uderzeń serca. Coś ścisnęło go w piersiach i drapało w gardle – pewnie wskutek nawdychania się dymu. Nie zjawił się na obiedzie, ale stryjenka zadbała, by zostawiono dla niego tacę z zimnym mięsem i serem. Z pewnością ona – pani Eglantine nie kłopotowałyby się o to. Przez całą niespokojną noc to budził się, to zasypiał, a sny i wspomnienia mieszały się ze sobą tak, że już nie potrafił ich rozróżnić. Dopiero gdy wstawało słońce, zapadł w głęboki sen bez marzeń i w rezultacie gdy zabrzmiał gong, którym pokojówka dała sygnał do śniadania, zerwał się gwałtownie i miał zaledwie dziesięć minut, by umyć się i ubrać.

Na szczęście gdy spał, inna służąca zostawiła w jego pokoju miskę z wodą. Ochlapał twarz, umył zęby przypominającym kredę proszkiem o zapachu cynamonu, który nasypał na szczoteczkę do zębów zrobioną z kości i świńskiego włosa, po czym ubrał się szybko. Musi

dopilnować, by ktoś zabrał jego rzeczy do prania – bo już niedługo nie będzie miał nic czystego.

Zbiegając po schodach, sprawdził godzinę na zegarze stojącym w hallu. Siódma.

Wpadł do jadalni, ignorując ciężkie spojrzenie pani Eglantine, i nałożył sobie porcję *kedgeree* z jednego z licznych półmisków stojących na długim stole, który zajmował jedną stronę pomieszczenia. Było to smaczne połączenie ryżu, jajek i wędzonego łupacza. Po raz pierwszy spróbował tej potrawy w dworze Holmesów i całkiem przypadła mu do gustu. Unikając wzroku innych, zmiatał jedzenie tak szybko, że ledwo wyczuwał jego smak. Był głodny jak wilk: wydarzenia poprzedniego dnia kosztowały go dużo energii i musiał ją uzupełnić. Stryj Sherrinford czytał przy jedzeniu jakiś religijny traktat, a ciotka Anna jak zawsze mówiła do siebie. O ile Sherlock zdążył się zorientować, każda myśl, jaka tylko pojawiła się w jej głowie, była natychmiast artykułowana, czy miało to akurat sens, czy nie.

- Sherlocku – odezwał się stryj, unosząc wzrok nad broszury. Na jego długiej brodzie widniały ślady owsianki. – Jak rozumiem, wczoraj uczestniczyłeś w pewnym niefortunnym zdarzeniu.

Sherlock zmartwiał na chwilę, zachodząc w głowę, jakim cudem stryj dowiedział się o magazynie i pożarze, ale szybko pojął, że Sherrinford ma na myśli zwłoki, które on i Amyus Crowe znaleźli w lesie.

- Tak, stryju – powiedział.

- Krótki jest żywot człowieka zrodzonego z kobiety - zaintonował Sherrinford - i nieszczęsny. Wzrasta, po czym pada jak ścięty kwiat; ginie niczym cień, jak on niestały. - Świdrując bratanka spojrzeniem, ciągnął: - Wśród życia spotyka nas śmierć: u kogóż nam szukać pociechy, jeśli nie u ciebie, Panie, któryś naszym grzechom słusznie przeciwny?

Nie bardzo wiedząc, co na to odpowiedzieć, Sherlock po prostu skinął głową, tak jakby świetnie rozumiał, do czego zmierza stryj.

- Mój brat i jego żona chowali cię pod kloszem - stwierdził Sherrinford. - Być może dotychczas nie zetknąłeś się tak blisko ze śmiercią, ale jest ona naturalną częścią Bożego planu. Niech więc myśl o niej cię nie trapi. Gdybyś chciał porozmawiać, drzwi mego gabinetu zawsze stoją przed tobą otworem.

Sherlocka wzruszyło to, że stryj Sherrinford na swój sposób próbuje mu pomóc.

- Dziękuję, stryju - odrzekł. - Czy ten człowiek, którego znaleźliśmy, pracował tutaj, w posiadłości?

- Był, jak miemam, ogrodnikiem - odparł Sherrinford. - Nie mogę powiedzieć, że go znałem, ale będziemy pamiętać o nim i jego rodzinie w naszych modlitwach. Zapewnimy też wsparcie jego krewnym.

- Był nowym pracownikiem - powiedziała stryjenka Anna. - Pracował tu od niedawna. Wcześniej szył ubrania w Farnham w zakładzie należącym do hrabiego czy też

wicehrabiego, albo kogoś z arystokracji. Miał znakomite referencje...

- Jak umarł? - zapytał Sherlock, ale stryjenka nadal mówiła cicho do siebie.

- To nie jest odpowiedni temat - odezwała się pani Eglantine stojąca przy stole z jedzeniem - do rozmowy przy śniadaniu.

Sherlock zerknął na nią, zaskoczony zarazem jej śmiałością i tym, że ani stryj, ani ciotka jej nie upomnieli. Jak na służącą, na wiele sobie pozwalała. Przypomniało mu się ostrzeżenie Mycrofta: „Ona nie jest przyjaciółką rodziny Holmesów” - zaczął się zastanawiać, czy jest coś, czego nie wie o pani Eglantine i jej obecności w tym domu.

- Ten chłopiec przejawia ciekawość - rzekł Sherrinford, wpatrując się w niego spod krzaczastych brwi. - To cecha warta rozwijania. Właśnie ona, prócz nieśmiertelnej duszy, odróżnia nas od zwierząt. - Zwracając się znów do Sherlocka, powiedział: - Ciało zostało przekazane miejscowemu doktorowi, który wysłał telegram do koronera North Hampshire. Do nich należy określenie przyczyny śmierci, ale, jak rozumiem, na twarzy i rękach tego człowieka widniały wypukłe pęcherze, charakterystyczne dla ospy bądź dżumy dymienicznej. - Potrząsnął głową, marszcząc brwi. - Ostatnią rzeczą, jakiej nam tu trzeba, jest wybuch jakiejś epidemii. Doktor będzie miał wielki kłopot, jeśli zachoruje ktoś jeszcze. Jak wiem, niektórzy kupcy już pakują swoje kramy i przenoszą się gdzie indziej. Panika

potrafi szerzyć się szybciej niż zaraza. Farnham stoi handlem - owcami, zbożem, wełną i tak dalej.

Jeśli ten handel przeniesie się gdzie indziej, miasto zacznie podupadać.

Sherlock zerknął na talerz. Zjadł już dość *kedgeree*, żeby zaspokoić głód na jakiś czas, i chciał wrócić do Farnham, żeby poszukać Mattyego.

- Czy mogę odejść od stołu, stryju? - zapytał.

Ten skinął głową, mówiąc:

- Amyus Crowe prosił, bym ci przekazał, że wróci w porze lunchu, żeby kontynuować lekcje. Bądź więc w pobliżu.

Stryjenka być może wplotła jakąś odpowiedź w swój nieustający monolog - trudno było zrozumieć. Sherlock wstał od stołu i ruszył do drzwi, ale zatrzymał się, tknięty pewną myślą.

- Stryjenko Anno? - Podniosła wzrok znad talerza. - Powiedziałaś, że ten człowiek pracował wcześniej dla hrabiego albo wicehrabiego?

- Tak, kochanie - odparła. - Pamiętam nawet, że...

- Czy mógł to być Baron?

Zastanowiła się przez chwilę.

- Myślę, że masz słusność - stwierdziła. - To był Baron. Mam tu gdzieś list. To był tylko...

- Pamiętasz, jak się nazywał?

- Maupertuis - odrzekła stryjenka Anna. - To był baron Maupertuis. Dość zabawne nazwisko. Zdaje się francuskie. A może belgijskie. Oczywiście referencji nie napisał sobie sam, napisał je...

- Dziękuję - powiedział Sherlock i wyszedł, nie czekając, aż stryjenka skończy.

Wzdrygnął się, idąc przez hall. To chyba nie może być jedynie zbieg okoliczności? Dwie ofiary, obie zginęły najwyraźniej w ten sam sposób, jedna miała związek z bandą zbirów pracujących w magazynie w Farnham, którego właścicielem był tajemniczy Baron, a druga niedawno porzuciła pracę u Barona Maupertuisa. Chyba nie mogło być dwóch baronów związanych z tą sprawą, prawda? Właściciel magazynu, dziwaczny starzec, którego Sherlock i Matty widzieli, jak wyjeżdżał w powozie, to musiał być właśnie baron Maupertuis. A jeśli mężczyzna, którego zwłoki Sherlock i Amyus Crowe odkryli w lesie, pracował wcześniej dla barona Maupertuisa w szwalni, czy ta szwalnia znajdowała się w magazynie w Farnham? I czy to znaczy, że ta rzecz, którą nieżyjący już Wint rzekomo ukradł z magazynu - o której rozmawiali Clem i Denny - to były tkaniny?

Sherlock czuł, jak liczne kawałki układanki, które dotąd wirowały w jego głowie, nagle zaczynają tworzyć całość. Obraz nie był jeszcze wyraźny - kilku fragmentów wciąż brakowało - ale wszystko nabierało osobliwego sensu.

Z informacji o szwalni, tkaninach, Baronie i dwóch zmarłych Sherlock mógł wyciągnąć jakieś wnioski. Nie byłyby to tylko domysły, lecz wiarygodne teorie. Na przykład, dwóch ludzi związanych ze szwalnią zmarło, najwyraźniej na ospę lub dżumę. Czy to znaczy, że same tkaniny były w jakiś sposób skażone? Sherlock wiedział

z lektury gazet ojca, że większość materiałów wytwarza się w przemysłowych miastach na północy Anglii, Szkocji i Irlandii, ale część się importuje – z Chin, jeśli to jedwab, a bawełnę i muślin zwykle z Indii. Być może dostawa, która dotarła do angielskiego portu z jednego z tych obcych krajów, była zarażona albo załęgły się w niej owady roznoszące chorobę i robotnicy szwalni się zarazili. Wyjaśnienie to brzmiało przekonująco i Sherlock poczuł, że musi natychmiast komuś o tym powiedzieć. Przyszedł mu do głowy stryj, ale od razu wiedział, że to zły pomysł. Sherrinford Holmes był co prawda dorosły, lecz nieszczerze życiowy i zapewne natychmiast odrzuciłby teorię Sherlocka. Przez chwilę entuzjazm chłopca opadł. Z kim jeszcze mógłby porozmawiać?

I wtedy pomyślał o Mycroftcie. Może przecież napisać o wszystkim w liście do brata. Mycroft pracuje dla rządu brytyjskiego. Będzie wiedział, co zrobić.

Myśl o godnym zaufania, odpowiedzialnym bracie dodała mu nieco otuchy, ale zaraz zaczął się zastanawiać, co właściwie miałby zrobić Mycroft. Porzucić swoje zajęcia i pospieszyć do Farnham, by podjąć śledztwo? Wysłać wojsko? Co bardziej prawdopodobne, wysłałby raczej telegram do wuja Sherrinforda, co oznaczałoby dla Sherlocka powrót do punktu wyjścia.

Sherlock wyszedł z domu w światło poranka i zatrzymał się na chwilę, rozkoszując się powietrzem. Czuł zapach palonego drewna, świeżo skoszonej trawy i słabą, stęchlą woń browaru w Farnham. Słońce wzniosło się właśnie nad



czubki drzew, tak że stały otoczone złotą aureolą, a ich długie cienie na trawniku sięgały ku niemu niczym wyciągnięte palce.

Ale był jeszcze jeden cień - cień, który się poruszał. Sherlock patrzył, jak zmierza przez trawnik do muru, oddzielającego posiadłość od drogi. Tam, po drugiej stronie muru, widać było postać na koniu. Wydawało się, że jeździec patrzy na Sherlocka. Gdy chłopiec uniósł dłoń, by osłonić oczy przed blaskiem słońca, jeździec popędził wierzchowca i ruszył drogą, znikając za wysokim żywopłotem.

Sherlock podszedł do głównej bramy. Jeździec i konia już nie było, ale może uda mu się znaleźć odcisk podkowy albo coś, co jeździec upuścił, dzięki czemu zdołałby go zidentyfikować.

Jednak na drodze nie było śladu kopyt, nic też na niej nie leżało. Za to przy bramie siedział Matty Arnatt. Miał ze sobą dwa rowery.

- Skąd je wzięłeś? - zapytał Sherlock.

- Znalazłem. Pomyślałem sobie, że pewnie masz chęć się przejechać. To łatwiejsze niż iść. I możemy pojechać w różne miejsca.

Sherlock patrzył na niego przez chwilę.

- Dlaczego?

Matty wzruszył ramionami.

- I tak nie mam nic do roboty. - Urwał, patrząc w bok. - Myślałem, żeby odcumować barkę i popłynąć gdzieś dalej kanałami, ale wtedy musiałbym zacząć wszystko od nowa

w nowym mieście - rozeznac się, skąd można brać jedzenie i tak dalej. Tu przynajmniej kogoś znam. Na przykład ciebie.

- Dobrze. Przyda mi się trochę ruchu. Po wczorajszym dniu mam zeszywniałe mięśnie.

- A co się stało wczoraj?

- Powiem ci, jak będziemy jechać - Sherlock spojrzał na drogę za bramą. - Widziałeś człowieka na koniu, który przejeżdżał tędy i zatrzymał się tu na chwilę?

- Tak. Minął mnie i stanął tutaj - wskazał głową. - Jakby na coś patrzył, a potem odjechał.

- Rozpoznałeś go?

- Nie przyglądałem się. A to ważne?

Sherlock potrząsnął głową.

- Pewnie nie.

Ruszyli razem drogą wiodącą do Farnham, w przeciwnym kierunku niż jeździec. Sherlock dawno już nie jeździł na rowerze i chwiał się mocno, pedałowując za Mattym, ale po kilku minutach odzyskał pewność. Kiedy jechali obok siebie w cieniście utworzonym przez korony drzew albo mijając pola pełne jaskrawożółtych kwiatów, opowiedział Mattyemu o wydarzeniach poprzedniego dnia - o człowieku, którego śledził od tamtego domu, gdzie Matty widział dziwną chmurę, o magazynie, o wozie wyładowanym skrzyniami i pożarze. Matty ciągle zadawał pytania, tak że Sherlock musiał się cofać i opowiadać o niektórych wydarzeniach jeszcze raz, zbaczając z tematu, by wyjaśnić inne rzeczy, i wciąż nie mógł dotrzeć do sedna.

Nie był dobrym opowiadaczem. Pomyślał, że przydałby mu się ktoś, kto wzięłby fakty z jego głowy i ułożył je tak, by utworzyły sensowną historię.

- Miałeś szczęście, że uszedłeś z życiem - powiedział Matty, kiedy Sherlock skończył opowiadać. - Kilka miesięcy temu pracowałem w piekarni. Spaliła się. Miałem szczęście, że przeżyłem.

- Co się stało? - zapytał Sherlock.

Matty potrząsnął głową.

- Ten piekarz był głupi. Zapalał zapałkę, żeby przypalić fajkę, akurat wtedy, kiedy otwierał worki z mąką.

- A jaki to ma związek z ogniem?

Matty spojrzał na niego dziwnie.

- Myślałem, że wszyscy wiedzą, że mąka unosząca się w powietrzu jest jak środek wybuchowy. Jeśli jedno ziarenko zajmie się ogniem, płomień rozprzestrzenia się błyskawicznie, tak jakby iskra przeskakiwała z jednego na drugie. - Potrząsnął głową. - Z tej piekarni zostały tylko zgliszcza. Miałem szczęście, akurat stałem za stołem. Ale i tak włosy odrosły mi dopiero po miesiącu. - Zerknął na Sherlocka i zapytał: - Tak czy owak, co masz zamiar teraz zrobić?

- Powinniśmy powiedzieć posterunkowemu - odparł Sherlock, ale w tym samym momencie poczuł, że to nie byłoby właściwe. Dwa trupy, dziwna zabójcza chmura, tajemniczy żółty proszek i banda zbirów podkładających ogień pod magazyn - to aż za bardzo pachniało historyjką zmyśloną przez dzieciaki.

Nawet jeśli połowę tej opowieści dałoby się potwierdzić faktami - dwóch ludzi naprawdę zginęło, a dymiące zgliszcza magazynu przez długi czas będą dowodem pożaru - reszta przypominała plątaninę dzikich domysłów i fantastycznych założeń, na siłę skleconych do kupy.

Mina Mattyego świadczyła, że jego towarzysz myśli dokładnie tak samo. Sherlock zacisnął usta w grymasie frustracji. Nie znał w okolicy nikogo, kto mógłby im pomóc, a z kolei ci, którzy mogliby się przydać, jak na złość byli daleko. Istny paradoks.

Wtedy jednak przypomniał sobie imponującą postać Amyusa Crowe'a i poczuł, jak fala ulgi zmywa z niego niepewność, niczym zimna woda spłukująca błoto z głazu. Crowe sprawiał wrażenie kogoś, kto potrafi rozmawiać z młodymi ludźmi jak z dorosłymi, umiał też myśleć logicznie, wykorzystując dowody jak kolejne kamienie w strumieniu, zamiast skakać od razu na drugi brzeg. Tylko on mógłby im uwierzyć.

- Powiemy o wszystkim Amyusowi - stwierdził.

Matty nie był przekonany do tego pomysłu.

- Temu tyczkowatemu gościowi z siwymi włosami, co tak śmiesznie gada? - zapytał. - Pewien jesteś?

Sherlock przytaknął stanowczo:

- Jestem pewien. - Ale natychmiast znów się zmartwił. - Tylko że nie wiem, gdzie on mieszka. Będziemy musieli poczekać, aż przyjdzie do domu stryja. Albo zapytać stryja, gdzie go znaleźć.

Matty potrząsnął głową.

- Wynajmuje domek na skraju miasta - powiedział. - Dawną leśniczówkę. Możemy tam dojechać w pół godziny.

- Widząc zaskoczoną minę Sherlocka, dodał: - No co? Wiem, gdzie kto mieszka. Muszę wiedzieć takie rzeczy, jeśli mam zdobyć coś do jedzenia. Muszę wiedzieć, co dzieje się w miejscu takim, jak to? - gdzie ludzie mieszkają, gdzie pracują, gdzie jest targ, a gdzie spichlerze, gdzie rano, w południe i wieczorem bywa posterunkowy i którego sadu ktoś pilnuje, a którego nie. To kwestia przetrwania.

Obserwacja, pomyślał Sherlock, przypominając sobie słowa Amyusa Crowe'a. Wszystko ostatecznie sprowadzało się do obserwacji. Jeśli zebrano się wystarczająco dużo faktów, można było wydedukować, co tylko się chciało.

Jechali przez miasto, unikając głównych arterii, na których mrowili się ludzie. Podróż niemal się skończyła, zanim na dobre się zaczęła, a jednak umysł Sherlocka wciąż bulgotał niczym gęsty gulasz faktów, domysłów i hipotez, kiedy zatrzymali się przy domku, w którym miał mieszkać Amyus Crowe.

Jakiś ruch z boku przyciągnął uwagę Sherlocka. Zerknął w tym kierunku i zobaczył ogiera gryzącego trawę na pastwisku. Koń był kary, z brązową smugą na szyi. Tego samego konia widział już dwa razy, za każdym razem z tajemniczym jeźdźcem, który mu się przyglądał.

Przebiegł go dreszcz, aż dostał gęsiej skórki. O co tu chodzi?

Matty stanął przy bramie, podczas gdy Sherlock poszedł przez ogródek od frontu. Odwrócił się, by spojrzeć pytająco

na swego towarzysza. Matty stał nachmurzony.

- Poczekam tutaj.

- Co się dzieje?

- Nie znam tego gościa. Mogę mu się nie spodobać.

- Powiem mu, że jesteś w porządku. Że można ci zaufać.

Powiem mu, że jesteś moim przyjacielem.

Mówiąc to, Sherlock zdziwił się nagle. Naprawdę uważał Mattyego za przyjaciela, ale ta myśl go zaskoczyła. Nigdy wcześniej właściwie nie miał przyjaciół - na pewno nie w szkole, ale też nie w domu rodzinnym. Tamtejsze dzieci unikały posiadłości, należała przecież do ludzi z klasy wyższej niż ich własna - „ziemiaństwa”, tak więc Sherlock większość czasu spędzał samotnie. Nawet Mycroft, przedzierający się w bibliotece ojca przez olbrzymią kolekcję woluminów, jaką zgromadziły kolejne pokolenia, był zaledwie źródłem otuchy. Czasem zaszywał się tam zaraz po śniadaniu, po czym w porze obiadu Sherlock zastawał go w tej samej pozycji. Tylko stosik książek do przeczytania był mniejszy, a stosik przeczytanych większy.

- Mimo to - powiedział Matty - zostanę na zewnątrz.

Sherlocka coś tknęło.

- Na zewnątrz - powtórzył. - Lubisz otwarte przestrzenie, prawda? Od kiedy cię poznałem, nie wszedłeś do żadnego budynku.

Matty nachmurzył się jeszcze bardziej i zerknął w bok, unikając wzroku Sherlocka.

- Nie lubię ścian - wymamrotał. - Nie lubię, jak mogę uciekać tylko przez drzwi i nie wiem, kto jest po drugiej

stronie.

Sherlock skinął głową.

- Rozumiem - powiedział łagodnie. - Nie wiem, jak długo mi to zajmie. Może będziesz tu jeszcze, kiedy wyjdę. - Popatrzył znów na drzwi. - Zakładając, że ktoś w ogóle jest w domu. - Zerknąwszy na czarnego ogiera, który wciąż wrywał i przeżuwał kępy trawy, zapukał mocno do drzwi.

Kiedy odwrócił głowę, Mattyego już nie było, zniknął razem z rowerem.

Po chwili drzwi się otworzyły. Sherlock spoglądał nieco w górę, spodziewając się Amyusa Crowe'a, i przez moment zdumiony patrzył w pustą przestrzeń. Opuścił wzrok i serce mu podskoczyło, gdy ujrzał twarz dziewczyny tego samego wzrostu, co on. Jej ubranie było ciemne, w mrocznej sieni jej twarz jakby unosiła się w powietrzu.

- Szukam... szukam pana Crowe'a - powiedział, rumieniąc się, ponieważ głos mu zadrżał. Bardzo chciałby mówić takim pewnym siebie, obojętnym tonem, jaki zdawał się bez trudu przybierać Mycroft.

- Ojca nie ma - odparła dziewczyna. Jej głos miał podobne brzmienie jak głos Amyusa - amerykański akcent? Cokolwiek to było, nadawało jej egzotyczny wdzięk. - Czy mogę przekazać mu, kto przyszedł?

Sherlock nie mógł oderwać wzroku od jej twarzy. Była mniej więcej w tym samym wieku, co on. Jej długie, złoto-rude włosy opadały i wiły się na ramionach niczym miedziany wodospad, który rozpryskuje w górę, uderzając o skały. Oczy miały odcień fioletu, jak płatki fiołków, a cera

była opalona i piegowata, jakby dziewczyna dużo czasu spędzała na dworze.

- Nazywam się Sherlock. Sherlock Holmes.

- To ty jesteś tym dzieckiem, które uczy mój ojciec.

- Nie jestem dzieckiem, mam tyle lat co ty - powiedział z całą śmiałością, na jaką mógł się zdobyć.

Wyszła na słońce, a wtedy Sherlock zobaczył, że ma na sobie obcisłe brązowe bryczesy do konnej jazdy, bardziej stosowne dla chłopca niż dziewczyny, oraz lnianą koszulę, przez którą jej biust wydawał się większy.

- Powiem ojcu, że tu byłeś - rzekła, ignorując jego słowa.

- Myślę, że poszedł do domu twego stryja. Spodziewał się dziś z tobą zobaczyć.

- Coś mnie zatrzymało - wyjaśnił Sherlock. Jej bryczesy i widok konia na padoku obok nasunęły mu pewną myśl.

- Śledziłaś mnie! - wyrzucił z siebie bez zastanowienia, czując, jak ogarnia go zakłopotanie i poczucie bezradności.

- Nie pochlebiaj sobie - odparła. - Widziałam cię kilka razy, kiedy jeździłam konno, to wszystko.

- A dokąd jechałaś? W pobliżu posiadłości są tylko pola.

- No więc tam właśnie jechałam. - Uniosła brwi. - A ty jeździsz konno?

Sherlock potrząsnął głową.

- Powinieneś się nauczyć. To duża frajda.

Przypominając sobie postać, którą widział z daleka, stwierdził:

- Jeździsz jak mężczyzna.

- Co masz na myśli?



- Kiedy widziałem kobiety jeżdżące konno, siadały bokiem, z nogami po jednej stronie, na damskim siodle. A ty jeździsz po męsku.

- Tak zostałam nauczona. - Chyba była zła. - Ludzie śmieją się ze mnie, kiedy jeżdżę w ten sposób, ale gdybym jeździła tak, jak oni chcą, spadłabym z konia, gdyby tylko ruszył szybciej niż truchtem. To dziwny kraj. Tu jest zupełnie inaczej niż w domu. - Minęła go i poszła w kierunku padoku, a drzwi zamknęły się za nią. Sherlock popatrzył w ślad za dziewczyną.

- Jak masz na imię? - zawołał.

- A po co chcesz wiedzieć?

- Żeby nie musiał o tobie myśleć „córka Amyusa Crowe’a”.

Przystanęła, nie odwracając się.

- Virginia - powiedziała. - To takie miejsce w Ameryce. Stan na Wschodnim Wybrzeżu, niedaleko Waszyngtonu.

- Słyszałem o niej. Czy to blisko Albuquerque?

Odwróciła się. Jej mina wyrażała coś między pogardą a rozbawieniem.

- W żadnym razie. Tysiące mil dalej. Wirginia to głównie lasy i góry, Albuquerque leży pośrodku pustyni. Chociaż są tam też góry.

- Ale pochodzisz z Albuquerque.

Przytaknęła.

- Dlaczego wyjechaliście?

Virginia nie odpowiedziała. Odwróciła się i poszła dalej w stronę padoku. Sherlock ruszył za nią, czując się niczym

marionetka na sznurkach, niezdolna do kierowania się własną wolą. Rozejrzał się, mając nadzieję, że Matty tego nie ogląda, ale jego towarzysza wraz z rowerem nadal nie było widać.

- Może lepiej powiedziałaś komuś, dokąd jedziesz? - zapytał, gdy Virginia włożyła stopę w strzemień, chwyciła za siodło lewą ręką i wsiadła na konia. Pogłaskała jego grzywę.

- Przecież nikogo nie ma w domu! - zawołała. - Mówiłam ci, że ojciec wyszedł.

- A twoja matka? - zapytał.

Na widok jej twarzy, która natychmiast zmieniła wyraz na zarazem twardy i bezbronny, pożałował, że nie ugryzł się w język.

- Matka nie żyje - powiedziała Virginia chłodno. - Zmarła na statku, podczas rejsu przez Atlantyk do Liverpoolu. Dlatego właśnie nienawidzę tego kraju i nie znoszę tu być. Gdybyśmy tu nie przyjeżdżali, wciąż by żyła.

Szybkim ściągnięciem wodzy zawróciła konia i zaczęła oddalać się truchtem. Sherlock patrzył, jak odjeżdża, zakłopotany wyrazem bólu na jej twarzy i zły na siebie, że to on był jego przyczyną.

Kiedy wreszcie odwrócił się, by odejść, ujrzał Amyusa Crowe'a, który czekał cierpliwie na końcu ścieżki, oparty na lasce. Patrzył spokojnie na Sherlocka.

- Jak widzę, poznałeś moją córkę - odezwał się w końcu ze swoim wirginijskim akcentem.

- Chyba nie zrobiłem na niej wrażenia - przyznał Sherlock.

- Na niej nikt nie robi wrażenia. Zajmuje się jeżdżeniem po okolicy ubrana jak chłopak. - Uśmiechnął się krzywo. - Nie mogę jej za to winić. Już samo przywleczenie jej tutaj z Albuquerque wystarczy, by miała podły nastrój, nie mówiąc o... - urwał raptownie. Sherlockowi wydawało się, że miał zamiar powiedzieć coś więcej, ale powstrzymał się w ostatnim momencie.

- Czy chciałeś się ze mną widzieć z jakiegoś konkretnego powodu, czy też szukasz okazji do kolejnej lekcji?

- Właściwie - odparł Sherlock - mam pewną sprawę. - Opowiedział Croweowi pokrótce o tym, co stało się w Farnham - o człowieku z żółtym proszkiem, o magazynie, o pożarze. Pod koniec mówił coraz ciszej, świadomy, że przyznaje się właśnie do działań, które z pewnego punktu widzenia można by uznać za przestępcze, i pełen obaw, jak przyjmie to wszystko Crowe. Ten słuchał go z nieprzeniknioną miną.

Gdy skończył, Crowe tylko potrząsnął głową i zapatrzył się gdzieś w dal.

- Wszystko to bardzo ciekawe - powiedział. - Ale nie jestem pewien, co z tego wynika. Wciąż pozostaje dwóch nieboszczyków oraz być może wybuch zarazy. Jeśli chcesz mojej opinii, oto ona. Niech lekarze i władze się tym zajmą. Jest taka użyteczna życiowa zasada: nie próbuj walczyć we wszystkich bitwach, jakie napotkasz na swojej drodze.

Wybierz te, które są ważne, a resztą niech zajmie się kto inny. A w tym wypadku to nie twoja bitwa.

Sherlock czuł wzbierającą frustrację, lecz milczał. Miał silne poczucie, że to jest jego bitwa, choćby dlatego, że nikt inny nie widział mężczyzny w powozie i nikt nie uważał żółtego proszku za coś istotnego. Ale może Amyus Crowe miał rację. Może próba przekonania go, że coś tu się dzieje, to nie była bitwa, w której powinien walczyć. Może wręcz odwrotnie.

- Zatem co mamy dziś w programie? - zapytał.

- Uważam, że nie zbadaliśmy jeszcze dogłębnie grzybów jadalnych - odparł Crowe. - Przejdźmy się więc i zobaczymy, co znajdziemy. A po drodze pokażę ci kilka roślin, które można jeść na surowo, ugotować albo zrobić z nich napar uśmierający ból.

- Znakomicie - rzekł Sherlock.

Przez następne kilka godzin wędrowali razem po okolicy, próbując wszystkiego, co było jadalne i łatwo dostępne. Sherlock, choć wcale nie miał na to ochoty, nauczył się bardzo dużo o tym, jak radzić sobie na łonie przyrody i nie tylko przetrwać, ale żyć całkiem nieźle. Crowe pokazał mu nawet, jak zrobić wygodne łóżko z paproci, układając z nich stos na wysokość barków, a potem zgniatając go własnym ciężarem, tak by powstał z niego gruby, miękki materac.

Wracając później na rowerze do majątku, Sherlock próbował znów się skupić na dwóch ofiarach, spalonym magazynie, żółtym proszku tajemniczym, pełzającym, zabójczym cieniu, ale w jego myśli wciąż wkradał się obraz

rudych włosów Virginii opadających na jej ramiona i dumnie wyprostowane plecy, jej obcisłych bryczesów i kołysania się w siodle, gdy odjeżdżała. Przypomniawszy sobie o próbce żółtego proszku, który zebrał z ziemi w lesie i schował do koperty. Jeśli zbiry w magazynie miały rację, ze śmiercią tamtych dwóch ludzi wiązało się coś, co było trujące, zaraźliwe albo przynajmniej mogło spowodować problemy ze zdrowiem, gdy się tego dotknęło. Jeśli to właśnie ów żółty proszek, Sherlock musi dowiedzieć się, co to takiego, mimo zawołanych przestrog Amyusa Crowe'a. Oczywiście nie miał wystarczającej wiedzy ani wyposażenia, by zrobić to samemu. Potrzebował chemika albo aptekarza, albo kogoś podobnego, kto poddałby proszek analizie, a o kogoś takiego zapewne trudno byłoby w Farnham. W czasie podróży mijali z Mycroftem Guildford, a jeśli to było najbliższe duże miasto, tam właśnie mógłby znaleźć kogoś obeznanego z naukami przyrodniczymi, kto potrafiłby mu powiedzieć, czym jest ten proszek. Amyus Crowe wspomniawszy kiedyś o mieszkającym tam specjalście – profesorze Winchcombe. Może Sherlock zdołałby się z nim zobaczyć.

Teraz musiał jedynie dostać się do Guildford.



Sherlock dopadł Mattyego Arnatta następnego dnia na targu. Coraz lepiej umiał przewidzieć, gdzie znajdzie swego przyjaciela. Było przedpołudnie, a kupcy pracowali od samego świtu. Teraz już bez wątpienia zgłodnieli i pewnie będą kolejno opuszczać kramy, żeby coś zjeść – jeden zostanie, by pilnować dwóch straganów, podczas gdy drugi pójdzie kupić trochę chleba albo mięsa, albo pasztet w cieście i może pintę piwa. W porze lunchu byli więc najmniej czujni, co dawało Mattyemu szansę, by niepostrzeżenie zwędzić trochę owoców albo warzyw. Sherlock nie popierał kradzieży, ale nie popierał też tego, że ludzie głodują, a dzieci trafiają do przytułków, uważał więc, że można mówić o równowadze dylematów moralnych, i, prawdę mówiąc, nie żałował Mattyemu jednego robaczywego jabłka. Imperium Brytyjskie się od tego nie zawali.

Targ znajdował się na niewielkim placu otoczonym z trzech stron budynkami. Na jednych kramach piętrzyły się stosy cebuli, rzepy, ziemniaków, buraków i innych

kolorowych warzyw, których Sherlock nawet nie potrafił nazwać. Na innych wisiały na hakach szynki, wokół nich brzęczały muchy, gdzie indziej na słomie leżały ryby. Byli tam też kramarze sprzedający różne tkaniny i ubrania – drojety i krepę, perkale, barchany i gabardynę. Z boku, w prowizorycznej zagrodzie, stało stado owiec i kilka świń, które spały mimo panującego naokoło gwaru. Mieszanka zapachów, ze słabą tylko nutą zgnilizny, niemal oszałamiała. Sherlock przypuszczał, że przed zachodem słońca cały ten plac będzie cuchnął nadgniętymi warzywami i zepsutymi rybami, ale do tego czasu większość kupujących sobie pójdzie i zostaną tylko biedniejsi mieszkańcy, mając nadzieję, że kupcy obniżą ceny, by pozbyć się towaru.

Gwar był jakby mniejszy niż zazwyczaj. Kiedyś panowało tu większe ożywienie. Brakowało zwykłej wrzawy i zamieszania miejskiego targowiska, które nie tylko stanowi miejsce zakupów, ale też daje okazję do spotkań towarzyskich. Klienci szli prosto ku upatrzonym straganom, kupowali potrzebne towary bez zbędnego targowania się i od razu odchodzili.

- Czy Crowe był w domu? – zapytał Matty, gdy Sherlock do niego podszedł. Siedział na odwróconej skrzynce, czyhając na moment nieuwagi któregoś handlarza.

- Z początku nie, ale spotkałem jego córkę.

- Tak, widziałem ją.

- Mogłeś mnie o niej uprzedzić – powiedział z wyrzutem Sherlock. – Zaskoczyła mnie. Nie spodziewałem się, że tam będzie. Chyba wyglądałem jak idiota.

Matty obrzucił kolegę szybkim spojrzeniem.

- No, pewnie tak.

Zakłopotany Sherlock zmienił temat.

- Pomyślałem sobie...

Urwał, gdyż Matty nagle rzucił się w tłum, przemykając między kupującymi niczym węgorz pomiędzy skałami. Po chwili był z powrotem i ocierał z kurzu spory pasztecik z wieprzowiną.

- Spadł z kramu - powiedział z dumą. - Czekałem, aż to się stanie. Za dużo towaru na kupie, coś musiało w końcu spaść. - Ugryzł spory kęs, po czym wręczył pasztecik Sherlockowi.

Sherlock odgryzł skraj ciasta. Okazało się słone, tłuste i twarde. Odgryzł jeszcze kęs, z różowawym mięsem i przezroczystą galaretką. Nadzienie było smaczne, pełne kawałków jakichś owoców - może śliwek? Cokolwiek to było, stanowiło niewiarygodne połączenie.

Oddał Mattyemu pasztecik.

- Zjadłem już jabłko i trochę sera - wyjaśnił. - Zjedz sam.

- Powiedziałaś, że coś przyszło ci do głowy.

- Muszę dostać się do Guildford.

- To będzie kilka godzin na rowerze - rzekł Matty, wciąż wpatrując się w tłum.

Sherlock odtworzył w pamięci swoją podróż ze szkoły Deepdene do Farnham. Przejeżdżali przez Guildford, a potem Aldershot. Niezbyt podobiała mu się perspektywa pedałowania całą drogę aż do Guildford i z powrotem, tym bardziej że nie był pewien, czy udałoby mu się to zrobić



w ciągu jednego dnia - i jeszcze znaleźć specjalistę od trucizn i chorób.

Westchnął.

- Dajmy spokój - powiedział. - To był głupi pomysł.

- Niekoniecznie - odparł Matty. - Są inne sposoby, by dostać się do Guildford.

- Nie umiem jeździć konno, poza tym nie mam konia.

- A pociąg?

- Wolałbym nie zostawiać śladów - lepiej, żeby nikt o tym nie wiedział. Pani Eglantine jest chyba w dobrych stosunkach z naczelnikiem stacji - nie chcę, żeby cały czas wiedziała, co robię.

„Ona nie jest przyjaciółką rodziny Holmesów”. Przymomniły mu się nagle słowa z listu Mycrofta i przebiegł go dreszcz.

- Jest inny sposób - powiedział ostrożnie Matty.

- Jaki?

- Rzeka.

- Jaka rzeka?

- Rzeka Wey. Płynie stąd do Guildford.

Sherlock zastanowił się.

- Musielibyśmy mieć łódź. - Po czym, zanim Matty zdążył coś powiedzieć, wykrzyknął: - Ale ty masz łódź! A przynajmniej barkę!

- I konia, który ją ciągnie.

- Ile czasu by nam to zajęło?

Matty myślał przez chwilę.

- Pewnie tyle samo, ile rowerem, ale to znacznie mniej wysiłku. Dzisiaj nam się nie uda. Możemy spotkać się jutro o świcie i spędzić cały dzień na wodzie, ale wtedy nie będziesz miał dużo czasu w Guildford.

- A jeśli wyruszymy przed świtem? - zapytał Sherlock.

Matty spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- A twój stryj i stryjenka nie będą się martwić?

Trybiki w umyśle Sherlocka obracały się niczym mechanizm w zegarze szafkowym przed wybiciem godziny.

- Mogę wrócić na kolację i powiedzieć, że idę do łóżka. Później wymknę się z domu, kiedy zrobi się ciemno i wszyscy będą spali - na pewno mi się uda. Nikt mnie nie pilnuje. Mogę też zostawić w jadalni wiadomość, że wstałem przed śniadaniem i wyszedłem z Amyusem Croweem. Nikt się nie dowie aż do rana. Musi się udać!

- Rzeka przepływa niedaleko domu twojego stryja - rzekł Matty. - Mogę narysować ci mapę i tam się spotkamy. Dopłynęlibyśmy do Guildford przed południem i wrócili przed zachodem słońca.

Matty naszkicował szybko mapę na kawałku drewna, odłupanym za pomocą ostrego kamienia ze skrzynki, na której siedział. Sherlock podejrzewał, że jego towarzysz nie umie pisać ani czytać, ale mapę narysował znakomitą, niemal w skali, tak że można było teraz doskonale sobie wyobrazić, gdzie się spotkają.

- Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił - powiedział Sherlock.

- Co?

- Popytał trochę. Może uda ci się dowiedzieć czegoś o tym człowieku, który zginął - tym, przed którego domem stałeś. Dowiedzieć się, czym się zajmował.

- To znaczy?

- Jaki miał zawód, gdzie pracował. Czuję, że to może być ważne.

Matty skinął głową.

- Zrobię, co będę mógł - obiecał. - Ale dzieciakom zwykle nikt niczego nie mówi.

Potem wszystko poszło gładko. Sherlock pojechał z powrotem do dworu Holmesów i dotarł na miejsce, akurat gdy rodzina zasiadała do lunchu. Próbował przemyśleć swój plan, sprawdzając każdy etap pod kątem niespodziewanych wydarzeń i szukając niedociągnięć, stwierdził jednak, że jego myśli nieustannie dryfują ku Virginii Crowe. Wciąż miał przed oczami zarys jej twarzy i spływające na ramiona włosy.

Amyus Crowe przyjechał po lunchu i przez kilka godzin wypróbował na werandzie procesy myślowe Sherlocka za pomocą gier umysłowych i zagadek. Jedna szczególnie utkwiła chłopcu w pamięci.

- Wyobraźmy sobie, że trzech dżentelmenów chce na spółkę wynająć pokój w hotelu - powiedział Crowe. - Pokój kosztuje trzydzieści szylingów za noc z kolacją i śniadaniem - z czego można sądzić, że to elegancki hotel. Każdy z nich płaci więc kierownikowi po dziesięć szylingów. Jak dotąd wszystko jasne?

Sherlock przytaknął.

- Dobrze. Następnego dnia kierownik orientuje się, że popełnił poważny błąd. Z powodu remontu w hotelu obowiązuje specjalna cena za pokój. Wysyła więc boya hotelowego do pokoju owych dżentelmenów, by oddał im pięć szylingów. Goście są tak zadowoleni, że postanawiają zatrzymać sobie po szylingu, a dwa szylingi dać chłopcu. Każdy z nich zapłacił więc ostatecznie dziewięć szylingów, a boy zarobił dwa. Zgadza się?

Sherlock przytaknął, starając się nadażyć.

- Zaraz, zaraz... Jeśli każdy z nich zapłacił ostatecznie tylko dziewięć szylingów, to daje razem dwadzieścia siedem szylingów. Jeśli dodać dwa szylingi napiwku dla boya, mamy dwadzieścia dziewięć szylingów. Brakuje jednego szylinga.

- Zgadza się - powiedział Crowe. - To ty mi powiedz, gdzie on się podział.

Sherlock próbował to rozwikłać przez następne dwadzieścia minut, najpierw w myślach, potem na papierze. W końcu uznał swoją porażkę.

- Nie wiem - przyznał. - Kierownik oddał pięć szylingów, więc go nie zatrzymał. Boy dostał dwa szylingi, więc też go nie ma, a każdy z gości dostał po jednym szylingu, więc też go nie dostali.

- Problem tkwi w sposobie opisu - wyjaśnił Crowe. - Trzy razy po dziewięć szylingów rzeczywiście równa się dwadzieścia siedem szylingów, ale napiwek jest już wliczony w tę sumę. Nie ma sensu go do niej dodawać, tak że wychodzi dwadzieścia dziewięć szylingów. Jeśli spojrzysz na problem inaczej, zobaczysz, że goście zapłacili

dwadzieścia pięć szylingów za pokój oraz dwa szylingi napiwku, po czym dostali każdy po szylingu zwrotu, co razem daje trzydzieści szylingów. I jaki z tego wniosek?

Sherlock skinął głową.

- Nie pozwól, by ktoś formułował problem za ciebie, ponieważ może wprowadzić cię w błąd. Weź dostępne fakty, po czym sformułuj problem na nowo w logiczny sposób, który pozwoli ci go rozwiązać.

Amyus Crowe odjechał przed kolacją, a Sherlock wrócił do pokoju, by przemyśleć to, czego się nauczył. Zszedł na posiłek, który spożył w milczeniu, podczas gdy stryj czytał, a stryjenka mówiła do siebie. Pani Eglantine spoglądała na niego podejrzliwie z kąta jadalni, ale nie zwracała na nią uwagi. Cisza została przerwana tylko raz, gdy stryj, uniósłszy wzrok znad książki, zapytał ochmistrzynię:

- Pani Eglantine, jakie zapasy żywności mamy w ogrodach majątku?

- Co się tyczy warzyw, uprawiamy dość na nasze potrzeby - powiedziała, ledwo otwierając usta. - Podobnie jeśli chodzi o drób i jaja. Gdy zaś chodzi o mięso i ryby, przy oszczędnym gospodarowaniu wystarczyłoby nam zapasów na kilka tygodni.

Stryj Sherrinford skinął głową.

- Myślę, że musimy być gotowi na najgorsze. Należy uwędzić lub zakonserwować tyle mięsa, ile się da. Zgromadzić najpotrzebniejsze rzeczy. Jeśli w Farnham pojawi się zaraza, przez jakiś czas będziemy odcięci od świata.

Wiem, że Amyus Crowe zaleca rozwagę, ale powinniśmy podjąć środki ostrożności. - Zwrócił się do Sherlocka: - A tak przy okazji, pan Crowe powiedział mi, że nie poświęcasz zbyt wiele czasu łacinie i grece.

- Wiem - odparł Sherlock. - Pan Crowe i ja skupiliśmy się na... matematyce.

- Czas pana Crowe'a jest cenny - ciągnął stryj Sherrinford spokojnym, opanowanym tonem. - A twój brat poniósł pewne koszty, by zapewnić ci jego usługi. Pomyśl nad tym, proszę.

- Dobrze, stryju.

- Pan Crowe wróci jutro po południu. Może mógłbyś wcześniej coś dla mnie przetłumaczyć.

Sherlock skrzywił się, przypomniawszy sobie, że według szacunków Mattyego nie wrócą przed kolacją. Nie mógł jednak powiedzieć wujowi, że wybiera się do Guildford, bo nie pozwolono by mu jechać. Zerknąwszy w górę, stwierdził, że pani Eglantine wpatruje się w niego swoimi paciorkowatymi oczkami. Jak dużo wiedziała?

- Będę na pewno do dyspozycji - obiecał, świadomy, że to mało prawdopodobne, by zdążył na czas. Ale później będzie się martwił, jak to wytłumaczyć.

Skończywszy obiad, poprosił, by pozwolono mu odejść od stołu, po czym poszedł do biblioteki. Stryj wciąż jeszcze był w jadalni, ale dzień czy dwa wcześniej powiedział, że Sherlock może tam wchodzić, jeśli chce. Mimo to chłopiec wciąż czuł się jak intruz w tym wyciszonym pomieszczeniu z zaciągniętymi zasłonami oraz zapachem skóry i starego

papieru wypełniającym każdy zakamarek. Rozejrzał się po półkach, szukając czegoś związanego z geografią okolicy. Znalazł parę różnych kompletów encyklopedii, roczniki religijnych periodyków, nieprzebrane mnóstwo zbiorów kazań autorstwa, jak przypuszczał, dawnych wybitnych kaznodziejów oraz wiele różnych historii Kościoła, aż wreszcie natrafił na kilka półek z dziełami na temat historii i geografii okolic. Wybrał książkę o szlakach wodnych hrabstw Surrey i Hampshire, po czym wrócił do swojego pokoiku na poddaszu.

Przez mniej więcej pół godziny układał liścik z wiadomością, że wyszedł wcześniej rano i wróci później niż zwykle. Pierwsze wersje były zbyt szczegółowe, z rozmaitymi kłamstewkami na temat tego, dokąd się wybiera i co tam będzie robił. Lecz po chwili zdał sobie sprawę, że im prostszy napisze liścik i im mniej zawrze w nim faktów, które można by sprawdzić, tym lepiej. Kiedy wreszcie go skończył, położył się na łóżku i otworzył książkę zabraną z biblioteki.

Przejrzał ją, szukając wzmianek na temat rzeki Wey, najlepiej z mapką, którą mógłby zapamiętać, ale szybko znalazł więcej, niż się spodziewał. Dowiedział się na przykład, że Wey nie jest taką sobie rzeką, tylko „żeglownym i uregulowanym szlakiem wodnym”. Rzeki zwykle meandrowały przez krajobraz w nieprzewidywalnych kierunkach, podczas gdy kanały – zbudowane w celu ułatwienia handlu między miastami – w miarę możliwości biegły w linii prostej. Były też

wyposażone w przypominające stopnie urządzenia, tak zwane śluzy, służące do podnoszenia lub obniżania poziomu wody zależnie od ukształtowania terenu. Jak się dowiedział, uregulowana rzeka to taka, którą łatwiej pływać dzięki tamom i śluzom – co zmienia ją w coś bliższego kanałowi.

Sherlockowi aż huczało w głowie od szczegółów niezwykłych dokonań inżynierii, koniecznych, by nagiąć rzekę do woli człowieka, i wymagających wielu lat pracy. W końcu, wiedząc, że ma przed sobą długi dzień, postanowił się przespać. Chociaż jego umysł wręcz kipiał od pomysłów, obrazów i faktów, zanim się obejrzał, zapadł w głęboki sen. Kiedy się obudził, wciąż panowała ciemność, ale przez okno wiał chłodny wietrzyk, a w krzewach i koronach drzew zaczynały śpiewać ptaki. Była czwarta rano.

Położył się w ubraniu, więc już po chwili przemykał się przez pogrążony w mroku dom. Przeszedł przez poddasze, a potem ruszył w dół po wąskich drewnianych schodach, uważając, by stąpać po zewnętrznej stronie stopni, żeby nie zaskrzypiały. Wstrzymując oddech, ostrożnie prześlizgnął się przez pierwsze piętro, obok sypialni stryjostwa, ich garderoby i łazienki, a potem w dół głównymi schodami, które zakręcając, prowadziły na parter. Trzymając się blisko ściany, szedł po stopniach, czując nad sobą ciężar obrazów, których ozdobnie rzeźbione, masywne drewniane ramy tak przytłaczały same malowidła, że te stawały się niemal nieistotne. Jedyнным dźwiękiem było tykanie wielkiego stojącego zegara u stóp schodów.



Gdy Sherlock dotarł do hallu, zatrzymał się. Teraz musiał przejść po wyłożonej płytami posadzce do głównych drzwi. Nie mógł już przemykać się pod ścianami – gdyby ktoś przypadkiem wyjrzał zza drzwi albo popatrzył w dół z galeryjki na piętrze, chłopiec byłby doskonale widoczny. Przyklęknął na chwilę, próbując sprawdzić, czy pod którymiś drzwiami widać smugę światła, ale wszędzie widział tylko ciemność. W końcu zebrał się na odwagę i ruszył przez hall. Zanim dotarł do drzwi frontowych, serce biło mu dwakroć szybciej niż tykający zegar.

Drzwi były zaryglowane, ale wysunął rygiel i powoli je otworzył. Ktoś pewnie rano zauważył, że drzwi zostały otwarte, ale może uznają, że otworzył je ktoś inny.

Już miał zamknąć je za sobą, gdy przypomniał sobie, że musi zostawić liścik wyjaśniający swoje wczesne wyjście. Naparł na drzwi, otworzył je znowu, wślizgnął się do środka i położył wiadomość na stoliku przy stojaku na kapelusze, gdzie służba kładła zwykle pocztę.

Na zewnątrz było świeżo i rześko w porównaniu z dusznym powietrzem w domu. Nad drzewami niebo zaczynało jaśnieć, a mrok ustępował błękitowi świtu. Sherlock pobiegł ile sił w nogach przez podjazd, słysząc, jak żwir chrzęści mu pod stopami, a potem przez trawnik, tłumiący jego kroki.

Dotarcie na brzeg rzeki według wskazówek Mattyego zajęło mu dziesięć minut. Na srebrzystej wodzie kołysał się podłużny ciemny kształt. Wyglądał jak osobliwie długa, niska chata zbudowana na wąskiej łodzi. Jej dach kończył

się nad rufą, gdzie było miejsce dla dwóch ludzi, z których jeden trzyma ster. Cuma przyczepiona na dziobie opadała ku wodzie, po czym wznosiła się ku koniowi, który z zadowoleniem objadał z trawy zarośnięty brzeg. W przeciwieństwie do wspaniałego czarnego ogiera Virginii Crowe był to masywny koń o grubych nogach i zmierzwionej grzywie. Zerknął obojętnie na Sherlocka i wrócił do jedzenia.

Matty czekał na dziobie barki, ciemna figurka na tle szarzejącego nieba, niczym galion na statku albo gargulec na katedrze. Trzymał bosak - długi drewniany drąg z metalowym hakiem na końcu.

- W drogę - powiedział, gdy Sherlock wgramolił się na łódź. - Tak przy okazji, to jest Albert. - Cmoknął na konia, który spojrzał na niego z wyrazem żalu na długim pysku, po czym ruszył wzdłuż brzegu rzeki. Cuma napięła się, a barka zaczęła płynąć. Matty za pomocą bosaka odpychał ją od brzegu, żeby nie ugrzęzła w trzcinach.

- Czy on wie, dokąd iść? - zapytał Sherlock.

- A co ma wiedzieć? Człapie wzdłuż brzegu i ciągnie za sobą łódź. Jeśli natrafia na przeszkodę, to się zatrzymuje, a ja patrzę, jak ją ominąć. Ty stań na rufie i trzymaj rumpel. Jeśli zaczniemy wypływać zanadto na środek, skieruj nas z powrotem do brzegu. Gdybyś zmarzył, na pokładzie jest pled. To właściwie końska derka, ale grzeje tak samo jak elegancki kocyk.

Barka płynęła naprzód. Usypiający, rytmiczny chlupot wody o burty wprowadził Sherlocka w niemal hipnotyczny

stan. Na rzece było zupełnie pusto, czasem tylko przepłynęła kaczka lub gęś.

- Czego dowiedziałeś się o tym człowieku, który umarł? - zapytał Sherlock po chwili. - O tym pierwszym, w tamtym domu?

- Był krawcem! - odkrzyknął Matty. - Pracował dla fabryki, która szyła mundury dla wojska w Aldershot. To było duże zamówienie, więc ściągali z okolicy każdego, kto umie kroić lub szyć.

- Jak się tego dowiedziałeś?

Matty zaśmiał się.

- Powiedziałem, że jestem jego synem i że mama chciałaby się dowiedzieć, czy zostały po nim jakieś pieniądze od pracodawcy. Chyba są mu winni wypłatę, ale właściciel domu i tak to zabierze, bo nie zapłacił czynszu.

- A gdzie była ta fabryka? - zawołał Sherlock.

- Główne biuro niedaleko targu, ale mieli też magazyn na skraju miasta, gdzie pracował tamten gość. To chyba ten, który spaliłeś!

Barka płynęła, ciągnięta przez konia Mattyego, a Sherlock rozmyślał. Człowiek, który zginął, był krawcem, szył mundury. W magazynie, gdzie pracował, stało mnóstwo skrzyń, które tamte zbiry załadowały na wóz. Skrzyń pełnych mundurów? Całkiem prawdopodobne. Ale wciąż nie wyjaśniało to, dlaczego tamten zginął ani też jak, nie tłumaczyło również śmierci drugiego człowieka, tego, którego znalazł w lesie.

Niebo na wschodzie zrobiło się fioletowe niczym świeży siniak, drzewa rosnące wzdłuż brzegu były tylko ledwo widocznymi ciemnymi sylwetkami na nieco jaśniejszym tle. Nad horyzontem świeciła jasno samotna gwiazda. W oddali Sherlock widział czarny łuk przecinający ich drogę, zapewne most. Być może nawet ten sam, na którym ledwie wczoraj czy przedwczoraj siedzieli razem z Mattym, patrząc na przepływające ryby.

Albert zarżał, tak jakby coś go przestraszyło. Sherlock wpatrzył się w brzeg, próbując dostrzec kształt zwierzęcia na tle ciemnego żywopłotu. Odgłos kopyt na ścieżce zmienił się, sprawiał wrażenie, że koń próbuje oddalić się od czegoś, co znalazło się zbyt blisko niego.

Matty mruknął coś do niego uspokajająco – ale Sherlock usłyszał w jego głosie niepokój. Co to było? Czy przyplątał się zdziczały pies i przestraszył konia, czy może Albert poczuł jakiś dziwny zapach?

Sherlock miał już zawołać do Mattyego i zapytać go, co się dzieje, kiedy ponad ciemnym zarysem głowy i ramion towarzysza zauważył na moście jakiś ruch.

Przeniósł wzrok na czarną sylwetkę przesuwaną się nad rzeką ponad ich głowami. Coś zaburzało smukły łuk mostu: jakiś nierówny kształt nieco z boku. A właściwie dwa, ponieważ do pierwszego dołączył drugi. Cienie jakby rozmawiały przez chwilę, pochylone ku sobie, a następnie się rozeszły.

Miejscowi z Farnham, tak wcześnie? Może kłusownicy?

Sherlock natychmiast odrzucił te hipotezy, kiedy płomień zapalki na moment oświetlił śniadą twarz, którą zapamiętał z magazynu.

Twarz draba o imieniu Clem.

Płomyczek zmienił się w ciepły poblask sączący się między cegłami. Clem podniósł wysoko lampę, oświetlając nadpływającą barkę. Gdy zbliżali się do mostu, Sherlock widział okrutny uśmiech wykrzywający usta mężczyzny. Blask lampy objął sylwetkę Mattyego, który stanął na dziobie łodzi. Wydawało się, że ma zamiar coś powiedzieć, ale Clem zakręcił lampą w uniesionej ręce, tak że wokół zatańczyły cienie, i cisnął nią w głowę chłopca.

Matty uchylił się, a lampa dwakroć podskoczyła, po czym roztrzaskała się na tyle barki, rozbryzgując wokół płonąca naftę. Drobne płomyczki łakomie wgryzły się w drewno. Sherlock rozejrzał się. Na miłość boską, byli na rzece, a on nie widział sposobu, jak zaczerpnąć wodę, by ugasić pożar.

Jego wzrok padł na końską derkę, którą wcześniej wskazał mu Matty, zwiniętą w kącie przy rumplu. Podniósł ją i z rozmachem rzucił na płomienie, trzymając za róg, żeby derka nie ześlizgnęła się do wody. Spod płachty uniósł się dym, ale nie widać było płomieni. Sherlock przyciągnął ją ku sobie. Ogień w połowie zgasł, zduszony przez gęstą tkaninę, lecz drobne płomyczki wciąż błędziły po spojeniach konstrukcji.

Matty krzyknął, gdy kolejna lampa naftowa uderzyła w krawędź barki tuż obok głowy Sherlocka i odbiwszy się, wpadła do rzeki, gdzie utonęła, pryskając i sycząc, kiedy

knot zanurzył się w wodzie. Sherlock obrócił się i zanurzył derkę przy burcie, trzymając ją mocno. Zanim zanadto nasiąkła, wyciągnął ją i znów zarzucił na deski. Tym razem płomienie gasły z sykiem.

Sherlock zerknął w górę na most, kiedy barka przepływała pod nim, spodziewając się, że zaraz trafi go w głowę trzecia lampa, ale napastnikom chyba skończyły się pociski. Zamiast tego wstrząśnięty ujrzał, jak Clem skacze w ich kierunku. Osilek uderzył w dach barki, przebijając buciorami drewno. Upadł na plecy na pokład. Podniósłszy się zaraz na nogi, z zaciśniętymi zębami i jarzącymi się oczami ruszył ku Sherlockowi. Jednocześnie wydobył zza pasa paskudny, zakrzywiony nóż.

- Myślał żeś, że włamanie do magazynu ujdzie ci na sucho? - warknął. - Widzieliśmy, uciekałeś z pożaru jak jaki szczur. - Wyciągnął lewą rękę, jakby chcąc złapać Sherlocka za włosy. - Zaraz zapukasz do świętego Piotra!

Sherlock cofnął się w kąt maleńkiego pokładu, ledwo unikając młócających powietrze palców Clema. Zbir był tak blisko, że Sherlock czuł ostry odór unoszący się z jego przeпоconych łąchów i widział zastarzały brud pod połamanymi paznokciami.

Clem rzucił się do przodu i wplótł palce w czuprynę Sherlocka, pociągając go ku sobie. Chłopiec nie mógł powstrzymać okrzyku bólu, bo zbir niemal wyszarpnął mu włosy razem ze skórą. Przez jedną dziwną chwilę stanął mu przed oczami obraz Alberta wyrywającego z chrzęstem kępy trawy na brzegu rzeki.

Clem przyciągnął chłopca do siebie i spojrzał mu w oczy. Sherlock czuł, jak uzbrojona w nóż prawa ręka zbira zbliża się do jego twarzy. Za chwilę ten bandyta poderżnie mu gardło, a on nawet nie będzie wiedział dlaczego!

Nagle coś walnęło Clema w plecy. Oczy zbira rozszerzyły się w przerażeniu, a uścisk jego dłoni na włosach Sherlocka wyraźnie zelżał. Chłopiec uchylił się, rękami odpychając od siebie Clema. Ten nie opierał się, tylko zatoczył się i zaczął cofać, dziwnie ostrożnie stawiając kroki.

Za Clemem stał Matty, trzymając oburącz uniesiony bosak. Przez chwilę Sherlock nie rozumiał, co się stało, ale gdy Clem odwrócił się całkiem ku Mattyemu, ujrzał głębokie, spływające krwią rozcięcie sięgające od jego potylicy do grubego, byczego karku. Rana sięgała aż do kości. Matty musiał uderzyć go bosakiem w tył głowy.

Clem postąpił krok ku Mattyemu, potem zrobił jeszcze krok. Uniósł rękę z nożem, ale jakby nie wiedział, co ma z nim począć. Popatrzył tępym wzrokiem na ostrze, po czym zwałił się w bok, spadając z barki do rzeki, niczym ścięte drzewo. Rozbryzgi wody, gdy uderzył o powierzchnię, niemal sięgnęły mostu. Sherlock dojrzał jeszcze twarz tonącego i wyraz niedowierzania w jego szalonych oczach, po czym zbir pograżył się w mule i szlamie na dnie rzeki. Przez moment widać było jego ręce, palce wijące się niczym wodorosty unoszone prądem, ale po chwili i one zniknęły w odmętach.



Słońce wychynęło już w pełni zza horyzontu i wisiało za ciemnymi sylwetkami drzew niczym przejrzały owoc, lecz Sherlock nadal dygotał. Bark ściśnięty łapskiem Clema wciąż go bolał, a ból promieniował aż na plecy. Pewnie ma tam siniaki – pięć owalnych znaków zostawionych przez palce i kciuk.

Kiedy Clem utonął, a jego kompan uciekł, Matty i Sherlock długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, wstrząśnięci nagłym i równie gwałtownie zakończonym brutalnym atakiem.

– Nie chciałem ukraść łodzi – wyszeptał w końcu Matty. – On próbował ją zniszczyć. Już kiedyś kilku gości chciało ją zwędzić, ale dlaczego ktoś miałby chcieć ją spalić? W życiu nie widziałem ich na oczy! Co ja im zrobiłem?

– Przyszli po mnie – wyznał Sherlock z wahaniem. – To był jeden z robotników z tamtego magazynu. Myślę, że to on był szefem – w każdym razie szefem tamtych ludzi. Naprawdę wszystkim kieruje Baron, o którym mówili. Pewnie zobaczył mnie, jak wychodziłem z magazynu, kiedy



zaczął się pożar, i zrozumiał, że ich podsłuchiwałem. Ale nie mam pojęcia, w jaki sposób dowiedzieli się, że będziemy płynąć barką – potrząsnął głową z niedowierzaniem. – Czym oni się zajmują, że są gotowi zabić, byle tylko utrzymać to w tajemnicy? Co może być tak ważnego?

Matty popatrzył tylko na Sherlocka jak na zdrajcę, po czym gwałtownie odwrócił się i potrząsnął liną, żeby znów popędzić konia.

Wzeszło już słońce. Bark Sherlocka ćmił niczym chory ząb. Zbliżali się do Guildford, a on wciąż nie miał pojęcia, o czym właściwie powinien wiedzieć. W głowie kłębiły mu się pytania, a napaść jeszcze je pomnożyła.

Stadko brudnych kundli towarzyszyło im brzegiem rzeki, jakby oczekiwały, że trafią im się jakieś resztki jedzenia. Sherlock uśmiechnął się przelotnie, myśląc, jak bardzo pod tym względem przypominają Mattyego. Spojrzał ku dziobowi, na tył głowy kolegi, i uśmiech zniknął z jego twarzy. Naraził łódź na niebezpieczeństwo – jedyny dom, jaki miał Matty. Co gorsza, naraził jego życie.

I w imię czego?

Na brzegu rzeki zaczęli pojawiać się ludzie. Niektórzy najwyraźniej zmierzali do miasta lub z niego wracali, korzystając z brzegu jako wygodnego szlaku, inni siedzieli na skrzynkach, trzymając nad wodą prowizoryczne wędki w nadziei na rybę na śniadanie. Przed nimi w niebo unosił się dym wskazujący, że mieszkańcy Guildford zabrali się do przygotowywania porannego posiłku. Na brzegu coraz gęściej stały budynki: niektóre były skleconymi naprędce

szopami, z kawałków drzewa zbitych pod różnym kątem, inne bardziej solidnymi budowlami z cegły. Gdzieś tam nabrzeże utwardzono kamiennymi płytami, które w końcu zaczęły tworzyć rodzaj chodnika na skraju wody.

Po jakimś czasie, gdy zbliżyli się do skupiska przypominających magazyny budynków na brzegu rzeki, Matty pociągnął za linę. Koń zwolnił, a barka łagodnie przybiła do brzegu. Matty dobrze wycelował: dobili tuż przy wielkim żelaznym pierścieniu osadzonym w jednej z płyt. Sherlock spodziewał się, że Matty zawiąże linę na pierścieniu, ale on zamiast tego sięgnął pod dziób łodzi i wydobył łańcuch przytwierdzony do metalowego kółka umocowanego w drewnie. Rzucił go na brzeg i wyskoczył w ślad za nim. Przełożywszy łańcuch przez pierścień, wyjął z kieszeni wielką, starą kłódkę i przełożył ją przez kilka ogniw pierścienia.

- Nie można tu ufać nikomu - mruknął, wciąż nie patrząc na Sherlocka. - Linę można przeciąć, ale żeby poradzić sobie z kłódką i łańcuchem, trzeba trochę czasu. Chyba więcej, niż ta barka jest warta.

- A co z koniem? - zapytał Sherlock.

- Jeśli znajdzie sobie kogoś, kto zajmie się nim lepiej niż ja, to wolna droga - odparł Matty. Zrobił krok naprzód, po czym obejrzał się na Sherlocka. Miny nie miał może skruszonej, ale przynajmniej patrzył już Sherlockowi w oczy. - Jest za stary i za słaby, żeby ciągnąć pług albo wóz - wyjaśnił. - Barka jest akurat na jego siły, ale nawet wtedy Albert idzie bardzo wolno. Nie opłaca się go kraść.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało - powiedział zakłopotany Sherlock.

- To nie twoja wina - rzekł Matty, ocierając usta rękawem. - Wpakowałeś się w jakieś tarapaty i teraz w nich tkwisz, a ja razem z tobą. Najlepiej wydobyć się z tego jak najszybciej. - Rozejrzył się. - To przystań Dapdune - wyjaśnił. - Jeśli się rozdzielimy, co może się zdarzyć, pamiętaj, że spotykamy się tutaj. Nie odpłynę bez ciebie. - Spojrzył krytycznie na Sherlocka. - Zresztą jestem pewien, że ty nie odpłynąłbyś beze mnie. No to jak się nazywał ten gość, którego szukasz?

- Profesor Winchcombe - powiedział Sherlock.

- W takim chodźmy go znaleźć. A może po drodze trafi nam się jakieś śniadanie.

Ruszyli razem znad rzeki ścieżką, która wydawała się prowadzić ku większej ulicy. Dopiero po godzinie marszu i wypyтaniu wielu przechodniów dowiedzieli się, że dom profesora znajduje się na Chaelis Road. Ulica odchodziła od High Street, której znalezienie zajęło im kolejne pół godziny. High Street prowadziła od rzeki w górę zbocza. Mieściły się przy niej jedno - i dwupiętrowe sklepy w budynkach z szachulcowym murem. Na zewnątrz widniały szyldy: drewniane tablice z malunkami przedstawiającymi ryby, chleb, warzywa i najróżniejsze inne towary. Ludzie chodzący ulicami i wyglądający z okien byli w większości ubrani lepiej niż mieszkańcy Farnham.

Ubrania mieli z dobrych materiałów, wykończone jedwabiem i wstążkami, barwniejsze i czystsze niż te, które

Sherlock widywał od jakiegoś czasu.

U dołu High Street, wzdłuż niskiego murku oddzielającego miasto od rzeki, znajdowało się kilka kramów z owocami i zimnym pieczonym mięsem. Matty miał zamiar podkraść się za plecami handlarzy, by poszukać produktów, które spadły ze straganów, ale Sherlock po prostu podszedł i wykorzystał część kurczących się zasobów, jakie przysłał mu Mycroft, żeby kupić śniadanie dla nich obu. Matty zerknął na niego podejrzliwie: Sherlock miał wrażenie, że zdaniem jego towarzysza jedzenie smakuje jakoś lepiej, jeżeli nie trzeba za nie płacić. Jeśli o niego chodziło, jedzenie smakowało lepiej, jeżeli wcześniej nie turlało się w kurzu ani nie trzeba było walczyć o nie z psem.

Chaelis Road była w połowie High Street i obaj mocno się zadyszeli, zanim dotarli do miejsca, gdzie się zaczynała. Ulica zakręcała ostro. Sherlock skręcił w nią, ale zatrzymał się, gdy zauważył, że Matty za nim nie idzie. Odwrócił się i spojrzał pytająco na kolegę.

- O co chodzi?

Matty potrząsnął głową.

- Nie lubię takich miejsc - powiedział, spoglądając na wysokie budynki i wypielegnowane ogrody wzdłuż ulicy. - Idź sam. Ja tu poczekam. - Rozejrzał się. - Gdzieś w pobliżu.

Sherlock skinął głową. Matty miał rację - obecność kogoś, kogo pani Eglantine określiła jako „brudnego

ulicznika”, mogłaby ściągnąć na nich kłopoty. Otrzepawszy, ile się dało, ubranie z kurzu, ruszył w głąb ulicy.

Dom, którego szukał, stał tuż za zakrętem. Sherlock otworzył furtkę i podszedł do drzwi z portykiem w greckim stylu. Na jednej z kolumn widniała mosiężna tabliczka. Wygrawerowano na niej słowa: „Profesor Arthur Albery Winchcombe. Wykładowca z dziedziny chorób tropikalnych”.

Nie czekając, aż trema weźmie nad nim górę, Sherlock pociągnął za sznurek od dzwonka.

Drzwi otworzył mężczyzna w prostym, czarnym surducie i szarej kamizelce. Spoglądał na Sherlocka przez maleńkie okulary, ledwo zasłaniające oczy.

- Czy profesor Winchcombe jest w domu? - zapytał chłopiec.

Mężczyzna - Sherlock uznał, że to kamerdyner - milczał przez chwilę.

- Kogo mam zapowiedzieć? - zapytał w końcu.

Sherlock już otwierał usta, by się przedstawić, ale zawahał się. Może lepiej by było, gdyby podał cudze nazwisko - kogoś, o kim profesor słyszał. Może Mycrofta? Albo Amyusa Crowe'a? Które byłoby najlepsze?

Ostatecznie wybrał na chybił trafił.

- Proszę powiedzieć profesorowi, że uczeń Amyusa Crowe'a chciałby zasięgnąć jego opinii - powiedział.

Kamerdyner skinął głową.

- Zechciałby pan poczekać w salonie? - poprosił, przytrzymując drzwi. Traktując Sherlocka, jakby był

członkiem rodziny królewskiej, a nie tylko nieco potarganym i speszonym chłopcem, wskazał gestem drzwi po drugiej stronie hallu.

Pokój wyłożono tapetą w wysokie, wiotkie rośliny, których Sherlock nie rozpoznawał. Przypominały potężne źdźbła trawy, z pierścieniami rozmieszczonymi w równych odstępach na całej długości. Gdy przypatrywał im się zaintrygowany, drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł jakiś mężczyzna. Był niewysoki - niższy od Sherlocka - a jego wydatny brzuch sterczał, jakby pod marynarką kryła się poduszka. Nosił zabawną czapkę, bez ronda ani szpicu: coś jakby szeroką wieżyczkę z czerwonego jedwabiu.

- Bambus - powiedział.

- Proszę?

- Te rośliny na tapecie. To bambus. Zdrewniała, wieloletnia, wiecznie zielona roślina z rodziny traw. W młodości spędziłem jakiś czas w Chinach i ten gatunek jest mi dobrze znany. Bambus to najszybciej rosnąca roślina na świecie. Największe mogą urosnąć nawet pół metra dziennie przy sprzyjających warunkach. Tapeta też jest chińska, tak przy okazji. To papier ryżowy.

Sherlock nie był pewien, czy dobrze zrozumiał.

- Papier zrobiony z ryżu?

- To rozpowszechnione błędne przekonanie - odparł profesor. - W istocie papier ryżowy wytwarza się z włókna niewielkiego drzewa, *Tetrapanax papyrifer*. - Przechylił głowę. - Powiadasz, że jesteś uczniem Amyusa Crowe'a? -

zapytał. Oczka za szklami okularów były jasne i jakby ptasie, błyszczące ciekawością.

- Tak, proszę pana - odparł Sherlock, z dziwnym uczuciem, jakby znów znalazł się w szkole Deepdene.

- Dziś rano otrzymałem list od pana Crowe'a. To bardzo osobliwe. Naprawdę bardzo osobliwe. Czy to dlatego jesteś tutaj?

- Czy list dotyczył dwóch zmarłych ludzi?

Profesor skinął głową.

- Istotnie.

- Właśnie dlatego tu przyszedłem. Słyszałem, jak pan Crowe mówił, że jest pan specjalistą od chorób.

- Specjalizuję się w chorobach tropikalnych, ale to prawda, znam się również na większości poważnych chorób zakaźnych, od gorączki sumatrzańskiej aż po cholere i tyfus. Rozumiem, że tych dwóch ludzi mogło umrzeć na jakąś nieznaną chorobę.

- Nie jestem pewien. - Sherlock pogrzebał w kieszeni marynarki i wydobyl kopertę z próbką żółtego proszku. - Zebrałem to z miejsca, gdzie leżało jedno z ciał, ale wiem, że ta substancja była też przy drugim - wyjaśnił szybko. - Nie wiem, co to takiego, ale sądzę, że może wiązać się ze śmiercią tych ludzi. Być może jest trujące.

Profesor wyciągnął rękę.

- W takim wypadku będę obchodził się z tym ostrożnie - powiedział.

- Wierzy mi pan? - zapytał Sherlock.

- Przebyłeś długą drogę, żeby się ze mną zobaczyć, więc zakładam, że traktujesz rzecz poważnie. Powinienem zatem przynajmniej podejść do niej z równą powagą. Znam Amyusa Crowe'a i uważam go za uczciwego człowieka. Nie mogę sobie wyobrazić, by zgodził się uczyć kogoś, kto lubi zabawiać się kosztem innych. - Uśmiechnął się nagle, upodabniając się do pulchnego cherubina. - A teraz przyjrzyjmy się próbce, którą przywiozłeś.

Zaprowadził Sherlocka do pełnego książek pokoju po drugiej stronie hallu. Pod oknem, gdzie było najlepsze światło, znajdowało się biurko. Wśród rozrzuconych papierów i czasopism, obok płonącej świecy stał na nim mikroskop na zielonej podkładce.

Profesor Winchcombe usiadł w obitym skórą fotelu za biurkiem i pokazał Sherlockowi, żeby przysunął sobie krzesło. Wyjął z szuflady kawałek czystego pergaminu i położył go na podkładce obok mikroskopu, po czym ostrożnie otworzył kopertę nożem do papieru i wysypał jej zawartość na pergamin. Po chwili miał przed sobą kupkę żółtego proszku. Czubkiem noża nabrał kilka ziarenek i przeniósł je na szkiełko umieszczone na tak zwanym stoliku - czyli płytce pod obiektywem. Ustawił lusterko pod spodem, tak by światło świecy padało przez otwór w stoliku i szkiełko na soczewki. Podczas gdy Sherlock przyglądał się, starając się oddychać ostrożnie, by nie zdmuchnąć proszku, profesor wpatrywał się w mikroskop, obracając najpierw dużym, a potem małym pokręteł, by wyostrzyć obraz ziaren.



- A - powiedział, po czym mruknął: - Hm. - Zdjął czerwoną czapkę, podrapał się po czaszce, po czym umieścił czapkę dokładnie w tym samym miejscu.

- Co to jest? - wyszeptał Sherlock.

- Pyłek pszczeleli - odparł profesor. - Nie ma wątpliwości.

- Pyłek pszczeleli? - powtórzył Sherlock, niepewny, czy dobrze go zrozumiał.

- Obserwowałeś kiedyś pszczoły? - zapytał profesor. - Fascynujące stworzenia. Polecam ci je jako przedmiot poważnych badań. - Zdjął okulary i przetarł oczy. - Zbierają pyłek z kwiatów i zanoszą do ula.

- Co to jest pyłek? - zapytał Sherlock, czując dziwne rozczarowanie. - Słyszałem już to słowo, ale nie byłem pewien, co znaczy.

- Pyłek - powiedział profesor - jest to proszek złożony z mikrogametofitów wytwarzanych przez męskie gamety, czyli komórki rozrodcze, roślin nasiennych. Pyłek jest wytwarzany przez pręciki, czyli męskie organy rozrodcze kwiatów, i przenoszony przez wiatr albo pożywiające się owady do słupka, czyli żeńskiego organu rozrodczego, innego kwiatu tego samego gatunku. Tam łączą się, by utworzyć nasiono. - Przyjrzał się swoim okularom, po czym wsunął je z powrotem na nos. Sherlock próbował zrozumieć, co przed chwilą usłyszał, ale profesor już mówił dalej: - Jeśli chodzi o pszczoły, zbierają one pyłek z kwiatów i zanoszą do ula w postaci kulistych grudek na tylnych odnóżach. Korzyść dla rośliny polega oczywiście na tym, że kiedy pszczoła przenosi się z kwiatu na kwiat, zostawia

pyłek z pręcików jednej rośliny na słupku drugiej, wspomagając zapylanie. Na górnych tylnych odnóżach pszczoły mają małe włoski, które służą jako rodzaj koszyka. Pszczoła umieszcza w nich ziarna pyłku i miesza je z nektarem, by utworzyły kulkę. I to właśnie nazywamy pyłkiem pszczelim.

- I taki pyłek jest nieszkodliwy?

- Dla większości ludzi tak, ale nieliczni nieszczęśnicy czują do niego fizyczną awersję. - Odchylił się w fotelu i zastanowił przez chwilę. - Czy to właśnie mogło spowodować podobne do pęcherzy obrzęki, które pan Crowe opisał mi w swoim liście? Nie sądzę. Reakcje na pyłek to raczej wysypka niż pęcherze i mało prawdopodobne, by dwóch przypadkowych ludzi było akurat na niego uczulonych.

Nagle uderzył dłonią w biurko tak, że Sherlock aż podskoczył.

- To przecież jasne! Pomiąłem najbardziej oczywiste wyjaśnienie!

- Oczywiste? - Sherlock myślał gorączkowo. Jakie było oczywiste wyjaśnienie bąbli, jeśli miały w tym udział pszczoły? A wtedy w nagłym przebłysku uświadomił sobie: - Użądlenia! - wykrzyknął.

- Znakomicie, chłopcze. Tak, użądlenia. I to bardzo silne. Użądlenie większości gatunków pszczół w tym kraju może wywołać ból i lekki obrzęk, ale nie takie pęcherze, jakie opisał pan Crowe. - Zerknął na Sherlocka. - Ty też musiałeś je widzieć. Jak duże były te bąble?

Sherlok uniósł prawą dłoń.

- Jak czubek kciuka - powiedział.

- Co wskazuje na bardzo silny jad i być może bardzo agresywny gatunek pszczoł.

- Skąd pan tyle wie o pszczołach? - zapytał Sherlock.

Profesor uśmiechnął się.

- Mówiłem ci, że spędziłem kilka lat w Chinach. Chińczycy hodują pszczoły od wielu tysięcy lat i, jak się dowiedziałem, wysoko cenią miód ze względu na jego właściwości lecznicze. Według wspaniałego dzieła z dziedziny medycyny, *Bencao gangmu*, czyli *Kompendium wiedzy medycznej*, napisanego trzysta lat temu przez człowieka o nazwisku Li Shizen, miód ma zdolność łagodzenia smutku i trosk, koi ból, usuwa trucizny, rozjaśnia spojrzenie i przedłuża życie. - Spojrzał ku ścianie, jakby wspominając wydarzenia sprzed wielu lat. - Tu, w Anglii, jesteśmy przyzwyczajeni do dość łagodnej europejskiej pszczoły miodnej, *Apis mellifera*. Azjatycka pszczoła olbrzymia, *Apis dorsata*, jest znacznie bardziej zajadła i o wiele boleśniej żądli, a jednak Chińczycy je hodują i zbierają miód z ich uli. Nasze ule mają kształt dzwonu, ale tam do hodowli pszczoł używa się wydrążonych kłód albo walcowatych, wyplatanych koszy. Czasem można zobaczyć chińskich wieśniaków, jak niosą w góry swoje ule, po dwa naraz, zawieszane na trzymanym na ramionach bambusowym drągu. Przyglądałem się kiedyś, jak się wspinają, z pszczołami brzęczącymi wokół nich na podobieństwo chmury dymu.

Chmura dymu. Słowa te były dla Sherlocka niczym cios między oczy.

- Tak właśnie to wyglądało - wykrztusił.

- Co?

- Zobaczyłem cień unoszący się nad jednym z ciał, a mój przyjaciel widział coś podobnego, jak wyfruwało z okna domu, gdzie znaleziono drugiego trupa. To musiały być pszczoły!

Profesor przytaknął.

- Musiały być bardzo niewielkie, skoro pomyliłeś je z cieniem, i zapewne ciemne, inaczej niż typowy czarno-żółty trzmiel. To przypuszczalnie afrykańskie pszczoły, które są małe i niemal czarne. A także bardzo agresywne.

- Czy mógłbym pana o coś prosić? - zapytał Sherlock.

- Oczywiście.

- Czy mógłby pan napisać list do pana Amyusa Crowe'a o tym, co pana zdaniem spowodowało śmierć tych dwóch ludzi, a ja mu go przekażę? - Spojrzał w bok, czując, że się rumieni. - Myślę, że kiedy wrócę, czekają mnie nieprzyjemności ze strony stryja i stryjenki, a to może uchroniłoby mnie przed karą.

Profesor przytaknął. Zsypał żółty proszek - nieszkodliwy żółty proszek, jak musiał przypomnieć sobie Sherlock - z kawałka pergaminu na bibułkową podkładkę. Sięgnął po stojący na skraju kałamarz, wyciągnął z niego pióro i zaczął pisać na kawałku pergaminu. Charakter pisma był pełen zawijasów, ale Sherlockowi udało się rozróżnić słowa.

*Szancwny panie Crowe,  
miałem przyjemność zawrzeć znajomość  
z Pańskim uczniem –*

- Jak się nazywasz, młody człowieku? - zapytał,  
odwracając się do Sherlocka.

- Holmes, proszę pana. Sherlock Holmes.

panem Sherlockiem Holmesem – który przyniósł mi próbkę żółtego proszku. Według jego słów proszek ten znajdował się przy nieszczęśnikach, których śmierć opisał mi Pan w swoim liście, otrzymanym przez mnie dziś rano.

Zbadawszy proszek, stwierdziłem, że to zwykły pyłek pszczeły, z czego wnioskuję, że ci dwaj ludzie zmarli nie na skutek dżumy dymienicznej ani innej podobnej choroby, lecz na skutek użądleń. Jeśli poprosi Pan, by miejscowy lekarz zbadał rzekome dymienice, znajdzie zapewne w każdej niewielkiej żądla albo przynajmniej zostawione przez nie ślady. Muszę pochwalić tego młodego człowieka za to, że przyniósł mi próbkę proszku. Gdyby tego nie zrobił, plotki o śmiertelnej zarazie krążące po hrabstwie mogłyby stać się przyczyną niezmiiernej paniki.

Mam nadzieję na odnowienie znajomości z Panem w dogodnej dla Pana chwili.

Z wyrazami uszanowania

Dr Arthur Winchcombe

Zgiął arkusik i wsunął go do koperty, którą wyjął z szuflady biurka. Zapieczętował ją kleksem wosku ze świecy oświetlającej mikroskop, po czym wręczył kopertę Sherlockowi.

- Ufam, że to uchroni cię przed zbyt bolesną karą - powiedział. - Proszę, przekaż ode mnie ukłony swojemu nauczycielowi.

- Oczywiście. - Sherlock umilkł na chwilę, a potem dodał:  
- Dziękuję panu.

Profesor Winchcombe zadzwonił dzwonkiem, który stał na biurku obok mikroskopu.

- Kamerdyner cię odprowadzi. Jeśli będziesz chciał dowiedzieć się więcej o chorobach tropikalnych, hodowli pszczół albo o Chinach, zapraszam.

Wyszedłszy na zewnątrz, Sherlock zdziwił się, że słońce przez cały ten czas niewiele zmieniło pozycję. Miał wrażenie, jakby spędził w domu profesora całe godziny.

Matty siedział na murze ogrodu, jedząc coś z papierowego różka.

- Masz to, po coś przyszedł?

Sherlock skinął głową. Wskazał różek.

- Co jesz?

- Sercówki i pobrażki - odparł jego kompan, nachylając ku niemu tutkę. - Chcesz trochę?

W tutce była garść muszli.

- One są ugotowane? - zapytał Sherlock.

- Tak - odparł zwięźle Matty. - Znalazłem stragan rybny, gdzie je sprzedawali. Pewnie przywieźli wczoraj z Portsmouth. Pomogłem co nieco, poustawiałem skrzynki, przyniosłem więcej lodu i tak dalej. Jako zapłatę sprzedawca dał mi trochę małży. - Wyciągnął jedną muszlę. Położył ją na murku, po czym wyjął scyzoryk i podłubał

w muszli, nabijając zawartość na czubek ostrza. Po kilku sekundach wydobył coś ciemnego i gumowatego i wsadził to sobie do ust.

- Pyszności - rozpromienił się. - Rzadko się trafiają, chyba że mieszkasz nad morzem. - Wtedy można zrobić sobie ucztę.

- Ja chyba dziękuję - powiedział Sherlock. - Wracajmy do domu.

Tym razem zeszli High Street do rzeki i potem nabrzeżem aż do barki. Tak jak przewidział Matty, łódź i koń były tam, gdzie je zostawili. Sherlock zastanawiał się, jak zawrócą barcę, ale Matty poprowadził konia wzdłuż brzegu ku miastu, aż dotarli do mostu, po czym przeprowadził go na drugą stronę, obracając dziób łodzi, podczas gdy Sherlock za pomocą bosaka starał się ustrzec ją przed uderzeniem w brzeg. Następnie ruszyli powoli w drogę powrotną. Sherlock siedział tym razem na dziobie, pilnując konia, a Matty na rufie, trzymając rumpel.

Łódź płynęła z prądem, a oni rozmawiali. Sherlock opowiedział Mattyemu o profesorze Winchcombe i jego wyjaśnieniu dotyczącym pszczół i żadeł. Matty najpierw miał wątpliwości, ale Sherlock w końcu przekonał go, że zabójcza chmura nie wymaga żadnych nadprzyrodzonych wyjaśnień. Matty wyraźnie odczuwał ulgę, że w Farnham nie ma zarazy, a jednocześnie złość, że wytłumaczenie okazało się tak banalne. Sherlock milczał, ale gdy tak płynęli, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że odsłonili jedną tajemnicę, by zaraz wyjrzała zza niej druga.



Dlaczego pszczoły użądliły tych dwóch ludzi, ale nikogo poza nimi? A przede wszystkim, skąd w Anglii afrykańskie pszczoły? I jaki to wszystko ma związek z magazynem, skrzyniami ładowanymi na wóz przez tamtych zbirów oraz tajemniczym Baronem?

Po chwili Sherlock spostrzegł, że do ich Alberta dołączył jakiś inny koń. Był to lśniący, czarny ogier z brązową łatą na szyi i jechała na nim Virginia Crowe. Wciąż miała na sobie bryczesy oraz koszulę, a na to żakiecik.

- Dzień dobry! - zawołał Sherlock.

Pomachała mu.

- Matty, to jest Virginia Crowe - zawołał przez ramię. - Virginia, to jest Matthew Arnatt. Matty.

Matty skinął Virginii głową, ona odpowiedziała mu skinieniem, ale żadne z nich się nie odezwało.

Sherlock wstał, przez chwilę łapał równowagę, czując, jak łódź się pod nim kołysze, po czym wyskoczył na brzeg. Wziął Alberta za chomąto i poprowadził naprzód, idąc przy Virginii i jej wierzchowcu.

- To jest Albert - powiedział w końcu.

- A to jest Sandia - odparła Virginia. - Wiesz co, naprawdę powinieneś nauczyć się jeździć konno.

Sherlock potrząsnął głową.

- Jakoś nigdy nie miałem okazji.

- To łatwe, ale wy, faceci, zawsze robicie z tym strasznie dużo zamieszania. Trzeba kierować kolanami, nie wodzami. Wodzy używa się, żeby przyhamować konia.

Sherlock nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Przez chwilę więc szli w milczeniu.

- Gdzie byłeś? - zapytała w końcu Virginia.

- W Guildford. Chciałem się z kimś zobaczyć. - Wyjął z kieszeni list napisany przez profesora Winchcombe'a. - Muszę dać to twemu ojcu. Wiesz, gdzie on jest?

- Szuka cię. Byliście przecież umówieni na lekcję.

Sherlock zerknął na nią, by przekonać się, czy mówi serio, ale uśmiechała się lekko. Spojrzała na niego z wysokości końskiego siodła, a on odwrócił głowę.

- Daj mi ten list - powiedziała. - Dopilnuję, by go dostał.

Już podawał jej kopertę, ale cofnął rękę.

- To ważne - powiedział z wahaniem. - Dotyczy dwóch ludzi, którzy zginęli.

- W takim razie postaram się, by dostał go natychmiast. - Wzięła list z jego wyciągniętej dłoni. Ich palce się nie zetknęły, ale wydawało mu się, że poczuł ciepło jej ręki. - Ci ludzie zmarli na dżumę, prawda? Tak mówią.

- To nie dżuma. To pszczoły. Dlatego właśnie musiałem jechać do Guildford, żeby porozmawiać ze specjalistą od chorób. - Zdał sobie sprawę, że mówi coraz szybciej, ale nie mógł się powstrzymać. - Przy obu ciałach znalazłem żółty proszek. Chciałem, żeby ktoś powiedział mi, co to jest, więc wziąłem odrobinę tej substancji do Guildford. Okazuje się, że to pyłek pszczeli. Z tego powodu uznaliśmy, że to sprawka pszczół.

- Ale nie wiedziałeś tego, kiedy znalazłeś ten proszek - zauważyła Virginia.

- Nie.

- Ani kiedy go zebrałeś i wiozłeś aż do Guildford.

- Nie.

- Z tego, co wiedziałeś, to mogło być coś, co spowodowało zarazę. Coś zaraźliwego.

Sherlock czuł się przyparty do ściany.

- Tak - przyznał z osiąganiem.

- A więc ryzykowałeś życie, ponieważ uważałeś, że wszyscy inni się mylą, a ty im to udowodnisz.

- Tak myślę. - Czuł się dziwnie zakłopotany. Miała rację - dotarcie do sedna tajemnicy było dla niego ważniejsze niż jego własne bezpieczeństwo. Mógł się mylić. Nie znał się przecież na chorobach ani na tym, w jaki sposób się roznoszą. Żółty proszek mógł być jakąś wydzieliną zmarłych, efektem choroby, na przykład złuszczoną suchą skórą - czymś, co zawierało zarazę i przenosiło ją dalej. Był tak pochłonięty rozwiązywaniem zagadki, że zupełnie o tym nie pomyślał.

Resztę drogi do Farnham przebyli w milczeniu.



- Rozczarowujesz mnie, chłopcze.

Sherrinford Holmes siedział za potężnym dębowym biurkiem w swoim gabinecie. Amyus Crowe stał po jego lewej stronie, a pani Eglantine po prawej. Jej czarna suknia tak doskonale zlewała się z ciemnym tłem, że widoczna była jedynie twarz i ręce. W połączeniu z długą, białą brodą stryja Sherrinforda i hebrajskimi, greckimi, łacińskimi i angielskimi wersjami Biblii rozłożonymi na biurku dawało to wrażenie, jakby stało się przed samym Bogiem, z dwoma mściwymi aniołami u jego tronu. Efekt psuł jedynie fakt, że stryj Sherrinford miał na sobie bonżurkę nałożoną na surdut.

Twarz paliła Sherlocka z gniewu i wstydu. Chciał zaprotestować, że wszystko, co zrobił, wynikało z jak najlepszych pobudek, ale wystarczyło spojrzeć na stryja, by zrozumieć, że dyskusja nic tu nie pomoże.

- Bardzo mi przykro, stryju - powiedział po dłuższej chwili, gdy zdał sobie sprawę, że Sherrinford czeka na odpowiedź. - Nigdy więcej już tego nie zrobię.

- Twój ojciec - a mój brat - powierzył cię mej opiece, ufając, że zadbam o twoje wychowanie moralne i o to, byś nie popadł w złe towarzystwo albo złe nawyki. Jestem zdruzgotany, ponieważ okazuje się, że zawiodłem pod oboma względami.

Znów długa pauza. Sherlock czuł, że powinien znów przeprosić, ale miał wrażenie, że powtarzanie się może zostać uznane za oznakę arogancji.

- Wiem, że nie powinienem był jechać sam aż do Guildford - powiedział w końcu.

- To najmniejsze z twych przewinień - zagrział stryj Sherrinford. - Tego samego ranka wymknąłeś się z domu przed świtem, jak jakiś pospolity przestępca.

- Jego łóżko nie było nawet posłane - wtrąciła się pani Eglantine. - Musiał wyjść jeszcze przed północą.

Sherlock czuł, jak ramiona drżą mu od powstrzymywanego gniewu. Wiedział, że ona kłamie - spał przecież kilka godzin i wyszedł tuż przed świtem - ale nie mógł zaprzeczyć mimo palącego pragnienia, by powiedzieć prawdę. Próbowwała wpakować go w jeszcze większe kłopoty, a sprzeciwianie się jej uznano by za oznakę nieposłuszeństwa i mógłby zostać stosownie ukarany.

- Napiszę do twojego brata - ciągnął Sherrinford - by zawiadomić go, że zawiodłeś zaufanie, jakie w tobie pokładałem. A tobie nie wolno opuszczać tego domu przez tydzień.

- Jeśli można - odezwał się, przeciągając głoski, Amyus Crowe. - Chciałbym powiedzieć dwa słowa w obronie

chłopca. - Sięgnął do kieszeni oślepiająco białej marynarki i wydobyl kopertę. - List, który przywiózł od wybitnego profesora Winchcombe'a, rozwiał obawy przed epidemią dżumy dymienicznej w okolicy. Pobranie próbki pyłku do identyfikacji to oznaka silnej woli, niezależności myślenia oraz krytycyzmu - cech, moim zdaniem, godnych rozwijania.

- Czy sugeruje pan, że chłopiec powinien uniknąć kary? - zapytała pani Eglantine słodkim głosem.

- Niezupełnie - odparł Crowe. - Proponowałbym, by zamiast całkowicie zabronić mu opuszczać dom, zezwolono mu wychodzić jedynie ze mną. W ten sposób będę mógł dotrzymać umowy, jaką zawarłem z jego bratem.

Sherrinford Holmes zastanawiał się przez chwilę, gładząc długą brodę. Wreszcie wydał wyrok:

- Dobrze. Pójdźmy na kompromis. Nie wolno ci wychodzić dziś oraz jutro. Potem poza godzinami nauki z panem Croweem masz przebywać w domu, w swoim pokoju, z wyjątkiem posiłków. - Zacisnął usta. - Chociaż pozwalam ci brać z biblioteki wszelkie książki, jakie cię zainteresują. Wykorzystaj ten czas mądrze, by się poprawić i zastanowić nad swymi uczynkami.

- Dobrze, stryju - powiedział z trudem Sherlock. Napięcie w ramionach nieco zelżało. - Dziękuję, stryju.

- Teraz idź i nie wracaj aż do obiadu.

Sherlock odwrócił się i wyszedł z gabinetu. Rozpaczliwie chciał przedstawić swoje argumenty, by dowieść, że słusznie zrobił to, co zrobił, ale wiedział wystarczająco dużo

o tym, jak działa świat dorosłych, by mieć świadomość, że dyskusje tylko pogorszyłyby sprawę. To bez znaczenia, po czyjej stronie leży racja. Ważne były reguły, nie argumenty.

Wspiął się po szerokich, wyłożonych dywanem schodach na pierwsze piętro, po czym po węższych, drewnianych na poddasze, gdzie znajdował się jego pokój. Położył się na łóżku, patrząc w sufit i pozwalając myślom kłębić się w głowie.

Niewiele pamiętał z reszty tego dnia i całego następnego. Jego organizm, wymęczony i zmaltretowany przygodami, skorzystał z okazji, by nieco się zregenerować. Sherlock spał więc, ile tylko się dało, ale w przerwach jego myśli krążyły uparcie, niczym ćmy wokół świecy. Co się dzieje? Co dokładnie planuje baron Maupertuis i kto go powstrzyma?

Przez jakiś czas układał w głowie list do brata, nie dlatego, by oczekiwał, że Mycroft coś zrobi, ale dlatego, że chciał opowiedzieć komuś, komu ufał, o ostatnich wydarzeniach. W końcu, kiedy znalazł odpowiednie słowa, przelał je na papier.

*Drogi Mycrofcie,*

*chciałbym móc Ci powiedzieć, że posłuchałem Twych rad i oddałem się studiom w bibliotece stryja Sherrinforda na przemian z wędrowkami po okolicy, ale, jak się wydaje, wpakowałem się w tarapaty i nie wiem, co dalej począć. Dobra wiadomość – jeśli w ogóle można w tym wszystkim dostrzec cokolwiek dobrego – jest taka, że mam dwoje*

nowych znajomych. Jeden z nich nazywa się Matthew Arnatt i mieszka na barce na kanale. Sądzę, że byś go polubił. Druga osoba to Virginia Crowe. Jest córką Amyusa Crowe'a, który mówi, że uczy mnie o przyrodzie i o tym, jak obserwować świat, ale sądzę, że w istocie uczy mnie myśleć. Wolałbym, żebyś nie uznał był za konieczne zatrudniać dla mnie nauczyciela na czas wakacji, ale spośród wszystkich, jakich mogłeś znaleźć, Amyus Crowe jest moim zdaniem najlepszy.

Dziwne rzeczy dzieją się tu, w Farnham, i żałuję, że nie mogę o nich z Tobą porozmawiać. W mieście znaleziono jedne zwłoki, pokryte pęcherzami, a drugie tutaj, na terenie posiadłości. Ludzie z miasta myśleli, że to może być dżuma, ale profesor Winchcombe dowiódł, że zginęli od setek użądleń pszczół. Myślę, że te pszczoły są w jakiś sposób związane z baronem Maupertuisem, właścicielem magazynu w Farnham, ale nie wiem jak.

Ten magazyn się spalił, tak że wszelkie dowody przepadły. O tym, jak to się stało, opowiem Ci, kiedy się spotkamy.

Krótko mówiąc, życie tutaj jest bardziej zajmujące, niż się spodziewałem - jeśli tylko mogę wyjść z domu. Obecnie muszę siedzieć w pokoju za to, że pojechałem do Guildford, by zobaczyć się z profesorem Winchcombe'em, ale to już inna historia, którą opowiem Ci, kiedy się zobaczymy.

Czy masz jakieś wieści od ojca? Czy wciąż jest w drodze do Indii? Czy wiesz, kiedy tamtejsze problemy mogą się skończyć?



*Pozdrów ode mnie matkę i siostrę. Proszę, przyjedź do mnie niedługo.*

*Twój brat Sherlock*

Osuszył list bibułą i wsunął do koperty, którą następnie, idąc na lunch, zostawił w hallu, żeby zabrała ją służąca i przekazała na pocztę w Farnham. Kiedy zszedł później na dół, listu nie było. Przez hall przechodziła akurat pani Eglantine, jej twarz jakby płynęła w mroku. Uśmiechnęła się do niego krzywo. Czy zauważyła list? Czy go przeczytała? Czy w ogóle dotarł na pocztę, czy też go zniszczyła? Sherlock skarcił sam siebie w myślach - z jakiego powodu miałyby to zrobić? - ale znów rozbrzmiało mu w głowie ostrzeżenie Mycrofta: „Ona nie jest przyjaciółką rodziny Holmesów”.

Rozmyślał nad tym wszystkim, leżąc w pokoju. Odległy gong wzywający na kolację wyrwał go z płytkiej drzemki, wstał więc i zszedł na parter. Pani Eglantine właśnie wychodziła z jadalni. Zerknęła na niego z grymasem i odeszła.

Sherlock nie czuł głodu. Przez chwilę patrzył na drzwi, starając się przekonać samego siebie, że powinien coś zjeść choćby dla nabrania sił, ale to było dla niego zbyt wiele. Odwrócił się i ruszył w stronę biblioteki, żeby sprawdzić, czy znajdzie tam jakieś książki na temat pszczół albo ich hodowli.

W połowie drogi przez hall zauważył list leżący na srebrnej tacce na stoliku. Czy był tu wcześniej, czy też po prostu go nie zauważył? Przez chwilę pomyślał, że to może

kolejny list od Mycrofta, więc wziął go z tacki. Na przodzie koperty widniało jego imię wraz z adresem dworu, ale nie rozpoznał ręki Mycrofta, pismo było bardziej zaokrąglone. Bardziej... kobiece. Kto to mógł być?

Sherlock rozejrzał się, niemal przekonany, że ujrzy panią Eglantine, która stoi gdzieś w mroku i mu się przygląda, ale był sam w hallu. Wziął list, otworzył drzwi frontowe i w świetle zmierzchu stanął na progu, żeby nikt nie mógł mu zarzucić, że wychodzi z domu.

W kopercie był tylko jeden arkusik barwy bladofiołkowej. U góry widniało jego imię i adres, a poniżej następująca wiadomość:

*Sherlocku,*

*na błoniach pod zamkiem odbywa się jarmark. Spotkajmy się tam jutro rano o dziewiątej – jeśli masz odwagę!*

*Przyjdź sam.*

*Virginia*

Przez chwilę zakręciło mu się w głowie, aż musiał nabrać powietrza. Virginia chciała się z nim zobaczyć. Ale dlaczego? Widzieli się dwukrotnie i za każdym razem miał wrażenie, że ona nieszczególnie go lubi. Nawet za dużo nie rozmawiali. A jednak chciała się z nim spotkać, i to sam na sam.

Ale przecież nie mógł pójść! Zabroniono mu wychodzić z domu!

Myślał gorączkowo, próbując znaleźć jakieś usprawiedliwienie, które pozwoliłoby mu wyjść jutro rano,

bez popadania znów w tarapaty. Z pewnością mógłby zbudować jakiś logiczny wywód, który wytrzymałby analizę stryja Sherrinforda. Virginia poprosiła, by się z nią spotkał. Choć niewiele o niej wiedział, najwyraźniej była bardziej niezależna niż angielskie dziewczęta w jej wieku. Umiała jeździć konno - i to normalnie, nie na damskim siodle - i chodziła wszędzie zupełnie sama. Ale gdyby była Angielką, mogłaby pójść na jarmark wyłącznie z rodziną. A to oznaczało, że list był w istocie zaproszeniem do spotkania z nią i jej ojcem, zatem Sherlock, wychodząc z domu, nie złamałby umowy zawartej ze stryjem. Sherrinfordowi zapewne nie mieściłoby się w głowie, że dziewczyna umówiłaby się na spotkanie z chłopcem bez obecności rodziny. Sherlock wiedział, że jest inaczej, ale nie miał zamiaru się do tego przyznawać.

Przez chwilę uderzyła go myśl - a jeśli na jarmarku będzie ktoś z dworu Holmesów? Po zastanowieniu uznał jednak, że mało prawdopodobne, by pojawili się tam stryj, stryjenka lub pani Eglantine, a ktoś ze służących, kucharek albo robotników, pewnie nawet go nie rozpozna.

Przez resztę wieczoru i większość nocy przekonywał siebie to, że powinien tam pójść, to znów, że nie. Rankiem nadal nie był pewien, ale kiedy schodził na śniadanie, wciąż miał przed oczami twarz Virginii i postanowił, że pójdzie. Naprawdę pójdzie.

Sprawdził godzinę na zegarze stojącym. Było nieco po ósmej. Gdyby wyjechał teraz na rowerze, mógłby zdążyć akurat na czas. Wiedział, gdzie jest zamek - przycupnięty

na zboczach nad miastem – i sądził, że błonie to niewielka łąka tuż poniżej.

Czy powinien zostawić liścik? Po ostatnich wydarzeniach uznał, że tak byłoby najmądrzej, machnął więc szybko wiadomość na odwrocie koperty, wyjaśniając, że idzie zobaczyć się z Amyusem Croweem, i zostawił ją na srebrnej tacce. Następnie niemal biegiem ruszył do miejsca, gdzie schował rower, schylając się, gdy mijał okna, i starając się chować za murami.

Gdy jechał, w głowie buzowało mu od myśli i przypuszczeń. Właściwie nigdy wcześniej nie miał prawdziwej przyjaciółki. Oczywiście, miał siostrę, ale była od niego starsza i interesowały ją inne rzeczy: malowanie, szydełkowanie, gra na pianinie. A z powodu choroby przebywała w odosobnieniu, przykuta do łóżka przez większość dzieciństwa Sherlocka. Nigdy nie miał żadnego przyjaciela w okolicy rodzinnego domu, nie mówiąc o dziewczynach, a szkoła Deepdene była szkołą dla chłopców. Nie wiedział, jak właściwie powinien zachowywać się wobec Virginii, o czym z nią rozmawiać i co robić.

Jadąc do Farnham, wybrał boczną drogę w górę zbocza, ku widniejącemu nad miastem zamkowi. Pedałował z wysiłkiem, aż zaczęły go boleć mięśnie, po czym zsiadł z roweru i szedł, prowadząc go obok siebie. Kiedy dotarł na zamkowe błonia, był wyczerpany.

Na łące oświetlonej porannym słońcem ujrzał tłum ludzi wszelkiego pokroju. Budki i otoczone linami zagrody po obu

stronach trawiastych alejek tworzyły jakby miniaturowe miasteczko, po którym krążyli gapie, pokazując palcami ciekawe rzeczy. Nad wszystkim wisiała chmura dymu. Od zapachów pieczonego mięsa, zwierzęcego nawozu i ludzi Sherlocka aż zakręciło w nosie. W jednym miejscu popisywali się zonglerzy, w innym się boksowano, uprawiano szermierkę na kije i oglądano walki psów. Szarlatani sprzedawali tajemnicze mikstury, połykacze ognia wkładali sobie do ust płonące węgle na metalowych prętach, a miejscowi robili dziwaczne miny, żeby wygrać kapelusz albo koszulę nocną, i opychali się mącznym puddingiem w nadziei na nagrodę pieniężną dla tego, kto zje najwięcej.

Sherlock przypatrywał się tłumowi, szukając charakterystycznych miedzianych włosów Virginii, ale było tam tak dużo ludzi, że zlewali się w jedną masę. Virginia nie napisała, gdzie dokładnie mają się spotkać, mógł więc tylko albo czekać, aż do niego podejdzie, albo zanurkować w tłum, żeby jej poszukać. A on nigdy nie lubił czekać.

Z pewnym niepokojem oparł rower o ogrodzenie padoku. Nie był pewien, czy go tam znajdzie po powrocie, ale przy takim ścisku nie mógł go ze sobą zabrać.

Pierwszą rzeczą, na jaką się natknął, idąc przez łąkę, była wielka beczka napełniona aż po wręby wodą. Ludzie tłoczyli się wokół niej, śmiejąc się i prowokując wzajemnie. Powierzchnia wody wydawała się wrzeć, tak jakby coś się w niej gotowało, ale pod beczką nie było paleniska. Jeden z gapiów, chudy młodzieniec z chustką w kropki na szyi,

próbował zaimponować stojącej za nim zaróżowionej dziewczynie w białej sukience. Wręczył monetę jegomościowi, który najwyraźniej był właścicielem beczki, chwycił się obiema rękami jej krawędzi i gwałtownym ruchem wsadził głowę do wody.

Sherlock aż westchnął, wciąż niezupełnie pewien, czy woda naprawdę nie wrze, ale młodzieńcowi najwyraźniej nie działo się nic złego. Kręcił zanurzoną głową, jakby czegoś szukał, co kilka sekund wysuwał ją do przodu i znów cofał. Wreszcie wyjął głowę z beczki. Woda spływała mu z twarzy i szyi na ubranie, ale nie zwracał na to uwagi. Ścisnął coś w zębach – coś srebrnego, co wiło się rozpaczliwie, próbując uciec. Przez chwilę Sherlock nie wiedział, co to takiego, ale zaraz zrozumiał. To był węgorz, niewiele dłuższy od męskiego kciuka. Sherlock ruszył dalej, zdumiony. Słyszał o chwytaniu zębami zawieszonych na sznurku jabłek, ale chwytanie węgorzy? Trudne do uwierzenia.

- Zobaczcie najbardziej niezwykłą owcę na świecie! - krzyczał naganiacz ze swego stoiska. - Tylko tutaj owca z czterema nogami i połową piątej! Nigdzie nie ujrzycie niczego podobnego! - Podchwycił wzrok przechodzącego Sherlocka. - Młody panie, zobacz najbardziej niezwykły widok na ziemskim padole. Nigdy go nie zapomnisz.

Dziewczęta będą spijać każde słowo z twych ust, gdy opowiesz im o niezwykłej owcy z czterema nogami i połową piątej.

Sherlock minął kram, gdzie w okienku widniały kukiełki, poruszane przez człowieka ukrytego wewnątrz budki. Głowy miały wyrzeźbione z drewna, z przesadnie wielkimi nosami i podbródkami, ubranka z jaskrawych wstążek. Gdy Sherlock patrzył, jedna z kukiełek położyła szyję na krawędzi okienka – niemal składając się przy tym wpół – i wtedy druga natychmiast odcięła jej głowę miniaturowym toporkiem. Głowa odpadła, a z ciała lalki eksplodowały jaskrawoczerwone wstążki, imitujące krew. Widzowie wrzasnęli z zachwytem i zaczęli wymachiwać kapeluszami.

Nieco z boku znajdowała się sadzawka, na której środek człowiek w jaskrawej kamizelce oraz cylindrze wrzucił kaczkę. Do jej łapy przywiązany był ciężarek na cienkiej linie, tak żeby nie mogła uciec. Dookoła sadzawki warczały i rzucały się na smyczach i sznurach psy. Spostrzegłszy, jak widzowie robią między sobą zakłady, Sherlock pojął z przerażeniem, co tu się za chwilę wydarzy. Człowiek w kamizelce cofnął się o krok i podniósł rękę. Tłum ucichł, pełen oczekiwania. Psy zdwoiły wysiłki, by wyrwać się na wolność, od ich warkotu niemal drżała ziemia. Dłoń mężczyzny opadła, a wtedy właściciele spuścili psy ze smyczy. Zbite w jedną masę wskoczyły do sadzawki, próbując dopaść kwaczącej kaczki i rozchlapując wodę na wszystkie strony. Przerażony ptak miotał się na wszystkie strony, na tyle, na ile pozwalała mu linka i ciężarek, usiłując ująć ich zębom. Psy z kolei nie chciały zapuszczać się za głęboko, oprócz jednego odważnego teriera, który gorączkowo pływał po sadzawce, ścigając kaczkę. Sherlock

odwrócił się, zanim pies zatopił zęby w jej szyi. Wynik był z góry wiadomy, jedyna niepewność polegała na tym, który z właścicieli zdobędzie nagrodę.

Chłopiec odszedł zniesmaczony.

Mijał stragany z gorącymi kiełbaskami i jabłkami w karmelu, ciastkami pomarańczowymi i słoną, chrupiącą wieprzową skórką. Nie był pewien, czy czuje w brzuchu głód, czy niepokój. Czy też jedno i drugie.

Tłum robił się coraz gęstszy i bardziej hałaśliwy, wciąż ktoś Sherlocka potrącał i popychał od tyłu. Ponad gwizdy i pomruki wybił się głos:

- Kto się zmierzy z niepokonanym mistrzem? Kto ma odwagę stanąć do walki z Natem Wilsonem, cudem z Kensal Green? Na zwycięzcę czeka suweren, na przegranego tylko drwiny i szyderstwa!

Sherlock potknął się i upadł na jedno kolano. Kiedy próbował wstać, ktoś popchnął go z boku. Odwrócił się i zobaczył, że nagle znalazł się na przedzie tłumu. Potknął się o drewniany pal, jeden z czterech wyznaczających rogi kwadratu. Między słupami rozciągnięto liny. Mężczyzna ubrany jedynie w skórzane spodnie stał pośrodku ringu, demonstrując mięśnie i gestykulując w stronę tłumu. Drugi jegomość w zakurzonym surducie i kapeluszu z szerokim rondem patrzył wprost na Sherlocka.

- Oto mamy śmiałka! - zawołał. W tłumie rozległy się brawa i krzyki.

Sherlock próbował się wycofać, ale ludzie napierali od tyłu. Czyjeś ręce rozsunęły liny i został wepchnięty na



trawiasty ring.

- Nie! - zawołał, zdając sobie sprawę, że niepojętym sposobem to on ma być tym śmiałkiem. - Ja nie...

Naganiacz przerwał mu.

- Standardowe zasady z Broughton - oświadczył. - Żadnych ochraniaczy ani kastetów. Wszystko dozwolone oprócz bicia leżącego. Kiedy ktoś upadnie, ma trzydzieści sekund na odpoczynek oraz dodatkowe osiem sekund, żeby się pozbierać. Kiedy ktoś nie może wstać, koniec walki. - Zerknął na Sherlocka.

Chłopiec rozglądał się szaleńczo, szukając przerwy w tłumie, przez którą mógłby się wymknąć.

- Dzieciaku - mruknął naganiacz. - Oceniam, że bez pomocy nie wytrzymasz więcej niż minutę. Jeśli wytrzymasz pięć, podwajam nagrodę. Publika musi mieć zabawę.

- Nie powinienem tu być! - zaprotestował Sherlock.

- Trochę na to za późno - odparł naganiacz.

- Ale to czysty przypadek!

- Nie - uśmiechnął się tamten, odsłaniając czarne, spróchniałe zęby. - To masakra.

Naganiacz odszedł na bok ringu, gdzie ludzie przytrzymali liny, żeby mógł wyjść. Sherlock próbował pójść za nim, ale liny z trzaskiem wróciły na miejsce, a zgromadzeni widzowie zabuczeli, gdy się do nich zbliżył. W jego stronę poleciały kamienie, tak że musiał się cofnąć na środek ringu.

Z wolna podszedł drugi zawodnik, mierząc spojrzeniem tłum, który wiwatował na jego widok. Był co najmniej sześć

cali wyższy od Sherlocka, miał też potężniejszą pierś. Jego dłonie wyglądały jak dwa skórzane woreczki pełne orzechów.

- Na miejsca! - warknął.

- Proszę?

Pięściarz wskazał mu dwie równoległe linie wycięte w trawie, w odległości około trzech stóp od siebie.

- Ty stajesz za jedną linią, ja za drugą. Na dzwonek zaczyna się walka. Tak to się właśnie odbywa.

- Ale ja nie chcę walczyć! - zaprotestował Sherlock.

- To twój wybór, chłopcze - warknął pięściarz. - Ja i tak muszę się postarać, żeby walka trwała pięć minut, a jeśli nie będziesz się zasłaniał, to twoja głowa będzie wyglądać jak mielonka. - Zmierzył Sherlocka krytycznym spojrzeniem. - Zresztą pewnie i tak będzie tak wyglądać, niezależnie od tego, co zrobisz. - Popchnął go ku najbliższej linii. - Ręce w górze, zasłaniaj twarz. I staraj się utrzymać na nogach. Jeśli upadniesz, będę cię kopał, dopóki nie wstaniesz.

- Sędzia powiedział chyba coś o tym, że nie można bić leżącego.

Bokser wzruszył ramionami.

- Ale nie wspominał nic o kopaniu.

Sherlock, nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje, przesunął się za swoją linią. Pięściarz postawił stopy w butach z cholewami na drugiej linii. Sherlock obejrzał się w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby mu pomóc, ale twarze

wokół były zaczerwienione, spocone i wykrzywione żądzą krwi. Żadnej drogi ucieczki.

I wtedy zabrzmiał dzwon.

Sherlock cofnął się, gdy pięść przeciwnika świsnęła mu koło nosa. Uniósł dłonie, żeby się zasłonić, i cofał się, podczas gdy drugi mężczyzna posuwał się naprzód. Tłum zaryczał. Sherlock widział bokserów na obrazkach w książkach, oglądał kilka walk w sali gimnastycznej Deepdene, a nawet sam odbył parę sparingów. Przyjął więc pozycję, jaką zapamiętał: dłonie zaciśnięte w pięści na wysokości twarzy – ale jego przeciwnik najwyraźniej nie czytał tych samych książek i ruszył ciężko naprzód, machając rękoma na wysokości barku. Sherlock dostał cios w lewy bark – ten sam, który uszkodził mu wczorajszej nocy Clem – i poczuł straszny ból rozchodzący się po ramieniu niczym płynny metal. Ręka opadła mu bezwładnie wzdłuż boku. Jak to się mogło stać? Jeszcze minutę temu był anonimowy w tłumie, a teraz znalazł się w centrum uwagi! To niemal tak, jakby coś, a może ktoś, kierował tłumem, popychając ludzi aż do tej chwili.

Pięściarz zbliżył się, gotów walnąć Sherlocka od dołu w twarz, więc chłopiec cofnął się i pierwszy wyprowadził cios. Nie mógł uwierzyć, kiedy jego pięść trafiła na nos tamtego. Coś chrupnęło mu pod palcami, a krew popłynęła strugą na podbródek i pierś przeciwnika. Bokser odskoczył w tył i dyszał gwałtownie, pryskając krwią na koszulę Sherlocka, po czym grzmotnął go prawą pięścią prosto w pierś. Uderzenie odepchnęło Sherlocka w tył. Ból

promieniował po żebrach. Przez chwilę chłopiec myślał, że serce przestało mu bić. Próbował chwycić powietrze, ale płuca nie działały. Zgiął się wóół, chcąc nabrać powietrza. Czyjaś ręka złapała go za kark i cisnęła na trawę. Uderzenie o ziemię wypchnęło z jego płuc resztki powietrza i nagle znów mógł oddychać wielkimi haustami. Przeturlał się w bok, unikając stopy, która wbiła się w grunt tam, gdzie chwilę wcześniej znajdowała się jego głowa, po czym z trudem podniósł się na nogi.

Twarz jego przeciwnika zmieniła się w krwawą maskę, w której widać było tylko zmrużone wściekle oczy i wyszczerzone zęby. Pięściarz podszedł do Sherlocka i uderzył dwa razy – raz w żebra i raz w prawą skroń. Sherlockowi zrobiło się czerwono przed oczami. Wszystko wydawało się bardzo odległe. Stracił równowagę, ale uderzenia o ziemię nie zdążył już poczuć.

Ogarnęła go ciemność, której z ulgą się poddał.



ROZDZIAŁ  
-10-

Kiedy się obudził, bolała go głowa. Ból skupiał się w prawej skroni i tętnił równo z sercem, wysyłając mdlące fale. Czuł, jakby w czaszce miał wielką, miękką, pulsującą bryłę, która zasłania mu widok i której nie może wyminąć. Leżał przez jakiś czas z zamkniętymi oczami, nie myśląc, tylko dryfując w rytmie pulsowania, i czekał, aż ból ustąpi. W końcu nieco zelżał.

Ostatnią rzeczą, jaką chłopiec pamiętał, było to, że od ciosu jarmarcznego pięściarza stracił przytomność na błoniach pod zamkiem Farnham. A teraz spoczywał w wygodnym łóżku, z głową na puchowych poduszkach. Ktoś najwyraźniej zabrał go z jarmarku, inaczej leżałby wciąż na wilgotnej trawie albo w jakimś namiocie. Chyba że ma halucynacje, co było całkiem możliwe, biorąc pod uwagę, że został ranny w głowę.

Nie, powiedział sobie stanowczo: musi oprzeć się na założeniu, że wszystko, co czuje, słyszy i widzi, to prawda, a nie tylko wytwór poobijanego mózgu.

Rozproszone światło, które sączyło się przez zasłonięte okna, pozwalało sądzić, że jest ranek. Na pewno nie leżał we własnym łóżku. Jego było dużo twardsze, a poduszki zbite. Pewnie znalazł go ktoś z dworu Holmesów i zaniósł do domu, ale położył w wygodniejszym łóżku: może tutaj łatwiej było wejść lekarzowi i służbie. Wytężył słuch, próbując wyłowić jakiś ruch za oknem, ale poza odległym ćwierkaniem niczego nie słyszał.

W jak wielkich był tarapatach? Na samą myśl mimowolnie jęknął. Sprzeciwił się wyraźnym poleceniom stryja i, jak podejrzewał, wszelkie próby wyjaśnienia, że sądził, iż idzie spotkać się z Amyusem Croweem, zostaną potraktowane z całą surowością. Co gorsza, wdał się w pospolitą bójkę na pięści. A co jeszcze gorsze, przegrał. Sherrinford czy stryjenka Anna zapewne nie przykładaliby do tego wagi, ale jeśli dowie się o tym ojciec Sherlocka, wpadnie we wściekłość. Jedno z jego ulubionych powiedzeń brzmiało: „Dżentelmen nigdy nie zaczyna walki, ale zawsze ją kończy”.

Jeśli będzie miał szczęście, stryj zamknie go w pokoju na następny miesiąc o chlebie i wodzie. Jeśli będzie miał szczęście... A jeśli nie... cóż, nie był pewien, ale przypuszczał, że czeka go sroga kara. Awantura? Lanie trzcinką albo skórzanym pasem? Stryj pewnie wykonałby egzekucję raczej z żalem niż gniewem, ale czyż w Biblii nie ma czegoś o tym, że Duch Święty różeczką dziateczki bić każe?

Nie wyglądało to dobrze.

Sherlock wyciągnął dłoń, by dotknąć głowy. Natrafił na guz, a gdy go nacisnął, przeszyła go igła bólu.

Usiadł ostrożnie. Głowa i żołądek zaprotestowały, ale nie zanadto.

Pokój miał ściany wyłożone boazerią, a łóżko zaopatrzone było w baldachim na czterech kolumnkach. Sherlock nie znał tego pomieszczenia, a jego wystrój nie pasował do tego, co pamiętał z dworu Holmesów. Spojrzał na siebie. Był ubrany, zdjęto mu tylko marynarkę. Rozejrzał się – okazało się, że ktoś powiesił ją na wieszaku na ubrania z tyłu drzwi.

Odgarnął prześcieradło, którym był przykryty, i stopniowo podniósł się do pionu. Świat chybotął się przez chwilę niczym woda w wiadrze, zanim odzyskał stabilność. Ktoś zdjął Sherlockowi buty, które stały teraz pod łóżkiem. Sięgnął po nie i starając się nie schylać, wsunął je na stopy. Schylenie się byłoby głupim pomysłem.

Podszedł do okna i odsunął zasłonę. Widok, który rozpostarł się przed jego oczami, zupełnie nie przypominał krajobrazu dookoła dworu Holmesów.

Teren na zewnątrz był płaski i nagi, pozbawiony trawy czy krzaków. Czerwonobrazową i suchą ziemię jak okiem sięgnąć pokrywały drewniane skrzynie na czterech grubych nóżkach. Przypominały nieco kurniki, ale były mniejsze, a każda miała na dole niewielki otwór, tuż nad miejscem, gdzie drewniana podstawa oddzielała skrzynię od jej podpór. Skrzynki rozmieszczono w równych odstępach.

Sherlock policzył szybko, że ma przed sobą mniej więcej pięćset takich skrzynek.

Nad niektórymi z nich jakby kłębił się dym, ale wiatr chyba wirował dziwnie, bo dym z różnych skrzynek poruszał się w różnych kierunkach. Niektóre pióropusze sunęły w górę, niektóre w lewo, inne w prawo, a jeszcze inne zawisały nad wejściem do skrzynek, jakby z nich wyleciały albo próbowały dostać się do środka.

Zza jednej ze skrzyń wyłoniła się jakaś postać. Odziana była w luźny, chyba płócienny kombinezon, a jej głowę okrywała maska z muślinu dość przezroczystego, by można było przezeń widzieć, rozpiętego na drewnianych obręczach, które utrzymywały tkaninę z dala od twarzy. Postać podeszła do innej skrzyni i ostrożnie podniosła pokrywę. Z pojemnika buchnęło więcej dymu, który otoczył jej głowę. Postać nie zwracała na to uwagi. Pochyliła się, zaglądając do skrzyni, po czym na powrót zamknęła pokrywę i wyciągnęła spod niej jakby drewnianą tacę. Patrzyła na nią kilka sekund, potem przeszła kilka kroków dalej i położyła ją na stosie podobnych tac.

Kiedy jego mózg wreszcie na dobre oprzytomniał, Sherlock zdał sobie sprawę, na co patrzy. Chmura, którą widział nad ciałem tamtego człowieka w lesie niedaleko dworu Holmesów, dym, który zobaczył Matty, pyłek, który zawiózł do profesora Winchcombe'a - wszystko to wreszcie miało sens. To nie był dym, tylko pszczoły. Małe, czarne pszczoły. A to znaczy, że te skrzynie to ule, a człowiek w masce jest pszczelarzem.



Ale co to za pszczoły i po co ktoś je tu hoduje? Dla miodu? Do obrony? W jakimś innym celu?

A co ważniejsze, gdzie on, na Boga, jest?

Za jego plecami otworzyły się drzwi sypialni. Odwrócił się szybko. W wejściu stało dwóch mężczyzn. Ubrani byli w nieskazitelne stroje z czarnego aksamitu, o staroświeckim kroju - bryczesy, pończochy, kamizelki i krótkie marynarki - a twarze zasłaniały im czarne aksamitne maski.

Jeden z nich skinął ręką, dając znak, że Sherlock ma pójść z nimi. Po pierwszym odruchu buntu - nigdy nie lubił być posłuszny poleceniom wydawanym bez żadnego wyjaśnienia - uznał jednak, że jeśli nie pójdzie dobrowolnie, to wezmą go na plecy i zanosą. I pewnie nie będą przy tym szczególnie delikatni.

Poza tym przyszło mu do głowy, że tylko idąc z nimi, może się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Z bijącym sercem, ale spokojną, nawet znudzoną miną, Sherlock podszedł do drzwi. Dwaj lokaje cofnęli się, żeby dać mu przejść.

Hall za sypialnią miał wystawny wystrój w czerwieni i fiolecie, z charakterystycznym herbem pojawiającym się jako wzór na tapetach oraz wyhaftowanym na aksamitnych zasłonach. Jeden z lokajów poprowadził Sherlocka w dół białymi marmurowymi schodami, podczas gdy drugi szedł za nim. Słysząc było jedynie kroki Sherlocka - miękkie podeszwy lokajów wydawały tylko lekki szmer.

Gdy zeszli, pierwszy lokaj skierował chłopca ku zamkniętym drzwiom, przy których stała ciężka komoda z drewna tekowego. Otworzył je i dał mu gestem znać, by wszedł do środka. Sherlock posłuchał go po chwili wahania.

Drzwi zamknęły się za nim z przytłumionym, ale stanowczym łupnięciem.

Stał w wejściu do dużego, mrocznego i chłodnego pomieszczenia. Wszystkie okna okrywały grube zasłony. Tylko kilka ukośnych smug światła przenikało mroczne wnętrza, oświetlając skąpo potężny drewniany stół ze stojącymi przed nim ciężkimi krzesłami. Poza tym dookoła panowała ciemność, nie licząc rozbłysków jakichś metalowych przedmiotów wiszących na kamiennych ścianach.

Wydawało mu się oczywiste, czego się od niego oczekuje. Czując, jak kropelki potu spływają mu po kręgosłupie, Sherlock zrobił kilka kroków i usiadł na krześle.

Przez długi czas panowała cisza, słyszał tylko szybkie uderzenia własnego serca. Wytężał wzrok, wpatrując się w ciemność, ale widział jedynie powierzchnię stołu tuż przed sobą. Potem, stopniowo, wychwycił słaby odgłos: rytmiczne skrzypienie, jakby trzeszczenie statku kołysanego i podrzucanego na falach jakiegoś widmowego oceanu. Dźwięk na przemian słabł i narastał, tak jakby słaba bryza to napełniała żagle, napinając liny, to znów pozwalała im opaść swobodnie. Nie mógł dojść, co to może być. Niemożliwe, żeby znajdował się na statku. Widział

przecież ziemię z okna sypialni, a podłoga nie kołysała się ani trochę. Co to więc za odgłos?

- Byłeś w magazynie - męski głos, niewiele mocniejszy od szeptu, odezwał się z ciemności na drugim końcu stołu. Ktoś mówił jakby z lekkim obcym akcentem, ale Sherlock nie miał pojęcia, z jakiego może być kraju. - Po co tam poszedłeś?

- Kim pan jest? - zapytał stanowczo Sherlock. W jego głosie zabrzmiała brawura, której wcale nie czuł.

- Po co tam byłeś? - naciskał głos. Chłopiec ledwo słyszał słowa wśród skrzypienia.

- Mój stryj będzie się niepokoił! - wybuchnął Sherlock. - Na pewno zaczną poszukiwania. - Nie wiedział, czy to prawda, czy nie, ale chyba dobrze było powiedzieć coś takiego. Może to zbije z tropu jego tajemniczego rozmówcę.

- Zapytam ostatni raz, a potem poniesiesz konsekwencje. Po co byłeś w magazynie?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Coś błysnęło w mroku, cienkie, czarne i rozwijające się niczym atakujący wąż. Zawadziło o jego policzek, po czym cofnęło się znów w mrok. Poderwał głowę, czując na skórze strumyczek krwi, a po chwili falę piekącego bólu.

- Po co byłeś w magazynie? - nie ustępował głos.

Sherlock dotknął ręką palącego policzka, po czym spojrzał na dłoń, której linie wypełniła krew.

- Uderzył mnie pan - powiedział z niedowierzaniem.

Bicz znów wystrzelił z ciemności. Tym razem dostrzegł jego czubek, gdy śmignął mu tuż przed twarzą. Na cienkim

rzemieniu zawiązano węzeł. Trzask bicia zbiegł się z palącym bólem, gdy węzeł przeciął mu czubek prawego ucha. Krzyknął, osłaniając dłonią bok głowy. Tym razem poczuł, jak krew zbiera mu się w dłoni i spływa po nadgarstku.

- Po co...

- Szedłem za pewnym człowiekiem od jednego domu w Farnham! - krzyknął Sherlock. - A on poszedł do magazynu!

Głos nie odzywał się przez chwilę, jakby się zastanawiał. Potem zapytał:

- A dlaczego go śledziłeś?

Krew z ucha, mokrą i ciepłą, poczuł teraz na szyi. Cała prawa strona twarzy pulsowała okropnie.

- W tym domu ktoś umarł. Chciałem się dowiedzieć, jak to się stało.

- Umarł pewnie na dżumę? Tak mówią ludzie - wyszeptał głos.

Sherlock ugryzł się w język, zanim powiedział coś na temat żądań, ale bicz znów uderzył z ciemności, trafiając go w czoło nad lewym okiem. Odrzucił odruchowo głowę i poczuł fale bólu rozchodzące się po czaszce. Kiedy spróbował otworzyć oko, stwierdził, że zalepiła je krew z otwartej rany.

Jak tak dalej pójdzie, ten człowiek posieka mu twarz.

- Umarł od żądań! - krzyknął. - Setek uządań pszczoł.

Milczenie. Ból od trzech uderzeń spłynął w jeden punkt okropnego pieczenia, pulsującego w rytmie jego

przyspieszonego tętna.

- Kto jeszcze wie o pszczołach?

- Tylko ja! - skłamał.

I znów bicz z trzaskiem wyfrunął z ciemności jak atakujący gad, trafiając go w kącik oka, o włos od delikatnej galaretki samej gałki ocznej. Na rzęsach zawisły mu krople krwi, czarne kulki przesłaniające widok.

- Kiedy mój mistrz bicza uderzy po raz kolejny, oślepi cię na lewe oko - powiedział głos. - A potem obetnie ci prawe ucho. Odpowiadaj na moje pytania i nie kłam.

„Mój mistrz bicza?” - pomyślał Sherlock. To znaczyło, że ten, kto zadaje pytania, i ten, kto trzyma bicz, to dwaj różni ludzie. Ilu ich jeszcze ukrywało się tam w mroku, słuchając i patrząc?

- Znam odpowiedzi na niektóre z pytań, jakie ci zadają - ciągnął szeptem głos. - Więc jeśli twoje odpowiedzi będą się od nich różnić, będziesz cierpieć, teraz i przez resztę swojego życia. Kto jeszcze wie o pszczołach?

- Profesor Winchcombe w Guildford i Amyus Crowe w Farnham - mówił Sherlock drżącym głosem, starając się zapanować nad bólem. - Mój stryj Sherrinford. Amyus Crowe powiedział miejscowemu lekarzowi. Nie wiem, kto jeszcze. - Sherlock świadomie pominął nazwisko Matthew Arnatta, mając nadzieję, że człowiek ukryty w ciemnościach o nim nie wie albo też nie uznaje go za nikogo ważnego.

- Zbyt wielu - powiedział głos. Sherlock miał wrażenie, że mówi raczej do siebie niż do niego. Albo może do kogoś innego, kto się nie odzywał. - Musimy przyspieszyć

działania. - Głos umilkł na chwilę, tak jakby jego właściciel się namyślał, po czym odezwał się: - Zabierz chłopaka i zabij go.

Niech to wygląda na wypadek. Przejeźdź go wozem, tylko dopilnuj, żeby koła zmiażdżyły mu kark.

Sherlockowi stanął nagle przed oczami przerażający obraz martwego borsuka, którego widział przed magazynem - tego, którego brzuch został spłaszczony przez przejeżdżający wóz. A teraz jego czeka podobny los.

Czyjeś ręce złapały go za ramiona i ściągnęły z krzesła. Ruszył chwiejnie ku drzwiom, popychany przez dwóch lokajów, którzy przez cały ten czas stali w milczeniu za jego plecami. W głowie migotał mu kalejdoskop pomysłów na ucieczkę, ale wszystkie zależały od pierwszego kroku: wymknięcia się z tych trzymających i popychających go rąk. Nagle oblało ich światło, kiedy drzwi otworzyły się na zewnątrz, popchnięte przez jednego z lokajów, który na chwilę puścił ramię Sherlocka. Chłopiec odwrócił się i wymierzył kopniaka w nadziei, że tamten go puści, ale jego trzewik tylko odskoczył od wysokiego buta. Czyjaś pięść trzepnęła go w głowę, tak że przed oczami zawirowały mu rozświetlone galaktyki.

Drzwi do zaciemnionej sali zamknęły się za nim, odsłaniając stojącego za nimi Mattyego Arnatta, który ścisnął nabijaną metalem pałkę. Przypominała dawną broń, jakiej rycerz mógł użyć na polu bitwy.

Matty walnął tą pałką najbliższego lokaja w głowę. Mężczyzna zwałił się na ziemię z gracją worka z węglem

ciśniętego do piwnicy. Drugi lokaj puścił Sherlocka i z gniewną miną postąpił krok ku Mattyemu, sięgając łapskiem ku jego głowie. Sherlock okrążył go i uderzył mocno w lędźwie. Mężczyzna zgiął się wpół, usiłując złapać oddech.

- Tędy! - syknął Matty, dając Sherlockowi znak, by szedł za nim.

Pobiegli obaj korytarzami obcego domu, wśród ciemnych dębowych boazerii, czarnych aksamitnych zasłon oraz lśniąco białych alabastrowych posągów greckich nimf.

- Skąd masz tę buławę? - krzyknął Sherlock, gdy biegli. Za nimi słychać było odgłosy pościgu.

- Pełno tu zbroi i tym podobnych rzeczy! - odkrzyknął Matty przez ramię. - Po prostu sobie wziąłem.

- A co ty tu robisz?

- Byłem na jarmarku. Widziałem, jak wrobili cię w tę walnę. Chciałem ci pomóc, ale odciągnęło cię jakichś dwóch drabów. Rzucili cię na wóz i przywieźli tutaj. Uwiesiłem się z tyłu, gdzie nie mogli mnie widzieć, a potem zeskoczyłem, kiedy wjechał tutaj. Od tego czasu cię szukałem.

- Jasne - wykrztusił Sherlock. - A gdzie jesteśmy?

- Jakieś trzy mile od Farnham. W przeciwną stronę niż dwór Holmesów.

Matty poprowadził go przez niepozorne drzwi do czegoś w rodzaju pomieszczeń dla służby, a stamtąd korytarzem z gołej cegły ku drzwiom do ogrodu. Wyszli na rozkosznie świeże powietrze i jasne światło.

- Nie zabrałeś rowerów?

- A niby jak? - krzyknął urażony Matty. - Zwisalem z tyłu wozu! Chyba nie mogłem wziąć ich pod pachę, prawda?

- Racja. - Sherlock rozejrzał się. Byli na tyłach domu. Zamiast ogrodu za szeroką brukowaną werandą i niskim murkiem znajdował się teren pełen uli, który widział wcześniej. - Więc jak się stąd wydostaniemy?

- Znalazłem przecież stajnię - odrzekł Matty, wciąż urażony. - Są tam konie!

- Ale ja nie umiem jeździć!

Za ich plecami trzech ubranych na czarno ludzi w maskach wypadło z otwartych oszklonych drzwi, prowadzących zapewne do bawialni. Ruszyli w różnych kierunkach, ale szybko jeden z nich spostrzegł Sherlocka i Mattyego i krzyknął.

Matty spojrział na Sherlocka ze zmarszczonymi brwiami.

- No, stary, to musisz się szybko nauczyć.

Pobiegli za róg budynku, gdzie wyłoniła się przed nimi duża stodoła. Śmignęli przez otwartą przestrzeń, słysząc za sobą tupot stóp. Dotarli do stodoły i wbiegli przez otwarte drzwi.

Wzrok Sherlocka dopiero po chwili przywykł do panującego wewnątrz półmroku. Matty, który był tam wcześniej, natychmiast ruszył w stronę dwóch koni uwiązanych do słupów na zewnątrz boksów. Oba były osiodłane.

- Wsiadaj - powiedział Matty. - Możesz wejść po ścianie boksu.



Łomot stóp był coraz bliżej. Podczas gdy Matty chwycił za siodło mniejszego konia, włożył stopę w strzemię i wskoczył na jego grzbiet, Sherlock oparł stopę na drewnianej ścianie boksu, wsunął lewą stopę w strzemię i próbował tak samo jak Matty płynnym ruchem wskoczyć na grzbiet drugiego wierzchowca, dużej kasztanki. Ostatecznie jakimś cudem usadowił się w siodle. Koń spojrzał na niego spokojnie, tak jakby obcy człowiek, który nagle wskoczył na jego siodło, był czymś zupełnie zwyczajnym.

- Ruszajmy! - krzyknął Matty. W jednej ręce trzymał wodze, a drugą odwiązywał konia. Sherlock chwycił wodze swojego wierzchowca, próbując przypomnieć sobie, co Virginia mówiła mu o jeździe konnej. „Trzeba kierować kolanami, nie wodzami. Wodzy używa się, żeby przyhamować konia”.

Nie oglądając się na Sherlocka, Matty popędził konia i wyjechał przez bramę stajni. Zakładał najwyraźniej, że towarzysz po prostu ruszy za nim. Sherlock rozplątał wreszcie sznur, na którym uwiązana była jego klacz. Ogarnęła go fala paniki, gdy zdał sobie sprawę, że Virginia powiedziała mu, jak kierować koniem i jak go zatrzymać, ale nie jak sprawić, by ruszył. Z wahaniem wcisnął kolana w boki zwierzęcia. To posłusznie ruszyło naprzód. Sherlock pochylił się w siodle, by zrównoważyć kołysanie. Nacisnął mocniej kolanami i na próbę potrząsnął wodzami. Koń przeszedł w trucht, potem w cwał. Dlaczego ludzie uważają, że jazda konna jest trudna? To tylko seria sygnałów i działań!

Scena na zewnątrz uderzyła w Sherlocka falą kolorów i ruchu. Matty odjeżdżał galopem, ścigany przez grupę zamaskowanych służących, którzy gonili go na piechotę, wyraźnie zostając w tyle. Dwóch mężczyzn w maskach stało na wprost Sherlocka, próbując zagrozić mu drogę. Jeden z nich trzymał rewolwer. Wypalił w jego kierunku, a Sherlock poczuł, jak coś gorącego otarło się o jego włosy. Popędził konia do galopu. Ten wbiegł prosto między dwóch mężczyzn, przewracając ich na ziemię. Chłopiec kolanami skłonił go do jeszcze szybszego biegu. Wydawało się, jakby frunęli nad ziemią, doganiając Mattyego.

Po chwili dojechali do muru wyznaczającego granicę posiadłości. Był wysoki na co najmniej trzy metry. Chłopcy skręcili więc, kierując się ku głównej bramie. Kopyta obu koni zadudniły na ziemi, odgłos zmienił się, kiedy z miękkiego gruntu wbiegły na kamienny podjazd. W Sherlocku zamarło serce, gdy zobaczył, że skrzydła głównej bramy właśnie się zamykają. Dwóch zamaskowanych służących stało przed nią ze śrutówkami, mierząc w konie. W tej samej chwili Sherlock i Matty ściągnęli wodze. Konie zatrzymały się, wzbijając falę żwiru spod kopyt.

Jeden z mężczyzn wypalił ze śrutówki. Wokół rozległo się echo wystrzału. Sherlock dostrzegł lecący ku nim gruby śrut, podobny do chmary muszek.

Kierując kolanami i instynktownie ściągając wodze z lewej strony, Sherlock obrócił klacz. Matty zrobił to samo.

Chłopcy znów spięli konie do galopu. Przed nimi widniał dom, ciemny i złowrogi.

Zerknąwszy na boki, Sherlock zobaczył z obu stron zamaskowanych ludzi, którzy zbliżali się półkolem.

Uzbrojeni byli w rewolwery, śrutówki, dubeltówki i widły. Chłopcy mogli więc jechać tylko na wprost, ku głównemu wejściu do domu.

Matty zwolnił i rozejrzał się niepewnie.

Sherlock przegalopował obok przyjaciela, wołając:

- Jedź za mną!

Lewa i prawa były zablokowane, podobnie tył. Niemal słyszał w głowie słowa Mycrofta: „Kiedy wszystkie inne rozwiązania są niemożliwe, skorzystaj z tego, które zostało, jakkolwiek nieprawdopodobne by się wydawało”.

Koń, wyczuwając jego zamiary, przeskoczył schodki frontowego ganku i bezbłędnie skierował się ku wejściu.

Sherlock pochylił się w siodle, czując, jak ociera się włosami o nadproże, kiedy koń przegalopował przez otwarte drzwi do hallu wejściowego. Kopyta wierzchowca poślizgnęły się i zagrzechotały na marmurowej posadzce, tak że Sherlock niemal spadł z siodła, zanim zwierzę odzyskało równowagę. Ciemność panująca w hallu zdezorientowała go na moment, ale przyzwyczyił się do niej po kilku sekundach i popędził konia naprzód, obok marmurowych schodów, na tyły domu. Zza drzwi wybiegli zamaskowani służący i natychmiast się cofnęli, przerażeni widokiem dwóch koni niemal wypełniających przestrzeń. Zamiast skierować się ku pomieszczeniom dla służby,

Sherlock skrzył ostro w prawo, w drzwi, za którymi, jak się spodziewał na podstawie podobieństwa do dworu Holmesów, powinna się znajdować bawialnia. Nie mylił się.

Pokój był przestronny i jasny, z wielkimi, oszklonymi drzwiami prowadzącymi na werandę. I tak jak zapamiętał Sherlock, drzwi te stały otworem!

Przegalopował przez bawialnię na werandę. Usłyszał hałas, kiedy koń Mattyego przewrócił za nim jakiś mebel, a potem grzechot kopyt na bruku.

Przed nimi, za terenem z ulami, dostrzegł niewielką tylną bramę, przez którą zapewne dostarczano żywność i inne potrzebne rzeczy. Wyglądało na to, że nikt jej nie pilnuje. Ruszył więc tam galopem, czując, jak końska grzywa smaga go po twarzy, a wiatr świszczy w uszach. Skrzynki uli tworzyły geometryczną siatkę, przez którą koń biegł w prostej linii. Ruszyły za nimi chmary pszczół, ale wierzcholec był dla nich zbyt szybki, więc owady tylko kłębiły się i falowały zdezorientowane.

Tylna brama była zamknięta, ale wystarczyła chwila, by Sherlock zeskoczył i podniósł skobel. Odwrócił się i spojrzał na teren posiadłości. Zamaskowani, uzbrojeni mężczyźni zgromadzili się po drugiej stronie uli. Najwyraźniej nie chcieli ryzykować wejścia pomiędzy nie. Jeden czy dwóch zaczęło wymachiwać rękami, gdy rozwścieczone pszczoły zaatakowały najbliższy cel.

- Chyba nie najgorzej nam poszło - powiedział Matty. - Zostaniemy, żeby popatrzeć?

- Lepiej nie - odparł Sherlock.



Amyus Crowe skończył obmywać skaleczenia na głowie Sherlocka kawałkiem flaneli nasączonej szczypiącym i pachnącym ostro płynem, po czym usiadł z boku na wiklinowym krześle, które zatrzeszczało pod jego ciężarem. Odchylił się, tak że krzesło oparło się na dwóch tylnych nogach, i zaczął się łagodnie kołysać. Wzrok miał przez cały czas utkwiony w Sherlocku.

Siedzący obok Sherlocka Matty poruszył się niepewnie, jak zwierzę, które chciałoby uciec, ale nie wie, który kierunek jest bezpieczny.

- Niezła historia - mruknął Crowe.

Uznając, że to tylko pomruk towarzyszący rozmyśleniom, Sherlock nie odzywał się. Crowe kołysał się w tę i z powrotem, cały czas wpatrując się w swego ucznia.

- Tak, niezła historia - powtórzył po chwili.

Pod nieruchomym wzrokiem Crowe'a Sherlock poczuł się nieswojo, uciekł więc spojrzeniem i zaczął rozglądać się po pokoju. W domku Amyusa Crowe'a panował nieład, wszędzie walały się książki, gazety i czasopisma, ciśnięte byle gdzie. Do drewnianego gzymsu kominka, tuż obok

zegara wskazującego, że zbliża się druga, przyszpilony był stos listów za pomocą noża wbitego w ich środek. Obok nich widniał pojedynczy pantofel, z którego niczym rozczapierzone palce wyglądała garść cygar. Wnętrze mogło wydawać się zaniedbane, ale nie zakurzone czy brudne. Było tu czysto, tylko nieporządkie. Najwidoczniej Crowe miał po prostu inny sposób przechowywania rzeczy.

- A co ty o tym wszystkim sądzisz? - zapytał w końcu nauczyciel.

Sherlock wzruszył ramionami. Nie lubił, gdy Crowe skupiał na nim uwagę.

- Gdybym wiedział - odparł - nie przychodziłbym do pana.

- Byłoby miło, gdyby zawsze jedna osoba mogła wszystkiemu zaradzić - rzekł Crowe bez śladu irytacji - ale w naszym skomplikowanym świecie człowiek czasem potrzebuje przyjaciół, a czasem pomocy jakiejś instytucji.

- Myśli pan, że powinniśmy pójść do glin? - zapytał Matty nerwowo.

- Na policję? - Crowe potrząsnął głową. - Wątpię, czy by wam uwierzyli, a nawet jeśli i tak mało co mogliby zrobić. Ktokolwiek mieszka w tym wielkim domu, wszystkiemu zaprzeczy. To on ma władzę i autorytet, nie wy. A musisz przyznać, że z pozoru cała ta historia wydaje się niedorzeczna.

- A pan nam wierzy? - zapytał Sherlock.

Twarz Crowe'a zmarszczyła się w wyrazie zdziwienia.

- Oczywiście, że wam wierzę.

- Dlaczego? Sam pan powiedział, że to niedorzeczna historia.

Crowe uśmiechnął się.

- Ludzie robią różne rzeczy, kiedy kłamią - odparł. - Opowiadanie kłamstw rodzi napięcie, ponieważ musisz zapanować jednocześnie nad dwiema rzeczami - prawdą, którą chcesz ukryć, oraz kłamstwem, które próbujesz komuś sprzedać. To napięcie przejawia się w określony sposób. Ludzie unikają patrzenia w oczy, pocierają nos, wahają się i jękają, mówiąc. Poza tym podają więcej szczegółów niż to konieczne, tak jakby ich kłamstwo mogło stać się bardziej wiarygodne, jeśli będą pamiętać, jakiego koloru były tapety albo czy ktoś miał wąsy i brodę. Ty opowiedziałeś tę historię zwyczajnie, patrzyłeś mi w oczy i nie dodawałeś żadnych dodatkowych detali. Wedle mojej oceny mówisz prawdę - albo przynajmniej to, co uważasz za prawdę.

- Co zatem wiemy? - zapytał Sherlock. - Coś tu się dzieje. Ma związek z ubraniami dla wojska, pszczołami i magazynem w Farnham. A za tym wszystkim stoi ten człowiek w wielkim domu - moim zdaniem to jest Baron - ale nie wiemy, co robi.

- Musimy więc się dowiedzieć. - Amyus Crowe przestał wreszcie kołysać się na krześle. - Jeśli nie masz dość faktów, by wyciągać z nich wnioski, musisz zdobyć ich więcej. Chodźmy więc i popytajmy trochę.

Matty poruszył się niespokojnie.

- Muszę już iść - wymamrotał.

- Chodź z nami, chłopcze - zaproponował Crowe. - Brałeś udział w tej przygodzie i zasługujesz, by się dowiedzieć, co tu się dzieje. Poza tym wydaje mi się, że Sherlock ci ufa - urwał. - Jeśli to pomoże ci podjąć decyzję, po drodze postaram się dla nas o jakieś jedzenie.

- W porządku - powiedział Matty.

Crowe wyszedł pierwszy. Na łące przed domkiem Virginia Crowe szczotkowała swojego ogiera, Sandię. Obok niego stała większa gniada klacz. Sherlock pomyślał, że to koń Crowe'a. Dwa wierzchowce, na których Sherlock i Matty przyjechali od Barona, pasły się spokojnie nieco dalej.

Virginia podniosła głowę, kiedy podeszli. Gdy napotkała wzrok Sherlocka, szybko zerknęła w bok.

- Wybieramy się na małą wycieczkę - obwieścił Crowe. - Virginio, pojedź z nami. Im więcej nas będzie zadawać pytania, tym większe szanse na choćby trochę przydatne odpowiedzi.

- Ale ja nie wiem, o co pytać - zaprotestowała Virginia.

- Podśluchiwałaś przecież pod drzwiami - powiedział Crowe z uśmiechem. - Słyszałem, jak Sandia rzy, a robi to tylko wtedy, kiedy jesteś w zasięgu jego wzroku, ale nie tuż przy nim. Poza tym widziałem, jak coś porusza się na zewnątrz i przesłania światło za drzwiami.

Virginia zarumieniła się, ale wciąż niemal butnie patrzyła ojcu w oczy.

- Uczyłeś mnie korzystać z okazji.

- Masz rację. Najlepszy sposób, by się czegoś dowiedzieć, to słuchać.



Crowe wsiadł na konia, Virginia poszła w jego ślady. Patrzyła z uśmiechem, jak Sherlock i Matty dosiadają swoich wierzchowców, po czym z aprobatą skinęła głową.

- Całkiem nieźle - powiedziała.

We czwórkę ruszyli truchtem drogą, w tę samą stronę, z której przyjechali do domku Sherlock i Matty. Słońce świeciło, w powietrzu wisiał zapach palącego się drewna, a Sherlockowi aż trudno było uwierzyć, że ktoś całkiem niedawno pozbawił go przytomności, uwięził, by potem przesłuchiwać i od niechcienia skazać na śmierć. Takie rzeczy przecież się nie zdarzają, prawda? Nie w słoneczny dzień. Nawet skaleczenia na twarzy przestały go boleć.

Virginia podjechała bliżej Sherlocka.

- Całkiem nieźle jeździsz - powiedziała. - Jak na nowicjusza.

- Dostałem dobre wskazówki. - Zerknął na nią i zaraz odwrócił wzrok.

- To wszystko, o czym opowiadałeś w domu - to prawda?

- Każde słowo.

- Więc może ten kraj nie jest tak nudny, jak myślałam.

Im bliżej byli wielkiego domu, w którym więziono wcześniej Sherlocka, tym bardziej chłopiec robił się niespokojny. W końcu Amyus Crowe zatrzymał konia niedaleko głównej bramy. W zasięgu wzroku nie było nikogo.

- Czy to ten dom? - zawołał Crowe.

Sherlock przytaknął.

- Widać wyraźne koleiny prowadzące z bramy na drogę - ciągnął Crowe. - Wygląda na to, że prysnęli.

Zdezorientowany Sherlock spojrzał na Virginie. Uśmiechnęła się.

- Odjechali - wyjaśniła. - Uciekli.

- Ach, tak. - Postanowił zapamiętać to słówko na przyszłość.

- Pojedźmy drogą i zobaczymy, co uda się znaleźć! - zawołał Crowe i popędził konia. Virginia pojechała tuż za nim. Sherlock i Matty spojrzeli po sobie i ruszyli w ich ślady.

Jakieś pięć minut później natknęli się na gospodę z czerwonej cegły, ułożonej w charakterystyczną jodełkę, którą Sherlock zauważył już wcześniej. Stoły na krzyżakach i ławki wystawiono na zewnątrz na trawę. Z komina unosił się dym, niosąc zapach pieczonego mięsa. Sherlock natychmiast poczuł głód.

Crowe zatrzymał się i zsiadł z konia.

- Czas na późny lunch! - zawołał. - Matty, Virginia, zostańcie i przypilnujcie koni. Sherlocku, chodź ze mną.

Sherlock wszedł za wielkim Amerykaninem do gospody. Sufit był niski, niemal niewidoczny w kłębach tłustego dymu, unoszącego się znad pieczonej na rożnie jagnięciny. Podłogę wysypano świeżymi trocinami. Przy stole siedziało czterech mężczyzn, którzy spojrzeli podejrzliwie na wchodzących. Piąty tkwił na stołku przy barze, wpatrzony w swoją szklankę, i nie zwrócił na nich żadnej uwagi.

Właściciel, który stał za barem, polerując ścierką metalowy kufel, skinął głową Amyusowi Croweowi.

- Dzień dobry szanownym panom. Czy panowie coś zjedzą, czy może się napiją, czy też jedno i drugie?

- Cztery porcje mięsa z chlebem - powiedział Crowe, a Sherlock zdumiał się, ponieważ tym razem mówił bez śladu amerykańskiego akcentu - jak Sherlock mógł się zorientować, mówił teraz tak, jakby był rolnikiem albo robotnikiem z okolic Londynu. - I jeszcze cztery kufle piwa.

Właściciel nalał cztery kufle i postawił je na cynowej tacy. Crowe wziął jeden z nich, po czym skinął na Sherlocka.

- Zabierz je na zewnątrz, chłopcze - powiedział swoim szorstkim „angielskim” głosem. Sherlock wziął tacę i ostrożnie poszedł do wyjścia. Crowe tymczasem usadowił się na stołku przy barze.

Na zewnątrz okazało się, że Matty i Virginia znaleźli wolny stół tuż przy gospodzie. Virginia wciąż stała przy swoim koniu. Sherlock usiadł obok Mattyego przy oknie, tak że mógł zaglądać do środka. Matty wziął kufel i zaczął pić chciwie, trzymając go oburącz.

Sherlock sącył ciemnobrązowy płyn. Był gorzki i zwietrzały, zostawiał nieprzyjemny posmak w ustach.

- Szyszki chmielu nie są jadalne, prawda? - zapytał Mattyego.

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Pewnie można by je zjeść, ale nikt tego nie robi. Nie są zbyt smaczne.

- Jak więc komuś mogło przyjść do głowy, żeby zrobić z nich napój?

- Nie mam pojęcia.

Zaglądając przez okno do gospody, Sherlock widział Amyusa Crowe'a gawędzącego z właścicielem. Sądząc po pochyleniu głowy, Crowe zadawał pytania, a właściciel na nie odpowiadał, wciąż polerując kufle coraz brudniejszą ścierką.

Z gospody wyszła dziewczyna w fartuchu, niosąc na tacy cztery talerze z parującym mięsem. Położyła naczynia i sztuce na stole i bez słowa odeszła.

Virginia zbliżyła się, by z nimi usiąść, Sherlock przesunął się więc, chcąc zrobić jej miejsce. Wbiła widelec w plaster gorącej jagnięciny i zastygła na chwilę, z widelcem w pół drogi do ust.

- Wiesz, że to nie ja napisałam ten liścik, prawda?

- Teraz już wiem. - Sherlock umknął przed jej spojrzeniem i wpatrzył się w pola przed nimi. - Wtedy myślałem, że to od ciebie, ale pewnie dlatego, że chciałem, by tak było. Gdybym tylko się zastanowił, zrozumiałbym, że to nieprawda.

- Jak to?

Wzruszył ramionami.

- Papier był delikatny i kobiecy, a pismo bardzo staranne. Tak jakby ktoś chciał naśladować sposób pisania dziewczyny. To znaczy kobiety - poprawił się. - To znaczy młodej kobiety... Chciałem powiedzieć...

- Wiem, co chciałeś powiedzieć - uśmiechnęła się lekko. - Dlaczego sądzisz, że zwykle nie używam kobiecej papeterii i nie piszę starannie?

Tym razem dał radę spojrzeć Virginii w oczy i wytrzymał jej spojrzenie dłuższą chwilę.

- Nie jesteś podobna do innych dziewcząt, jakie spotkałem w Anglii - powiedział. - Jesteś wyjątkowa. Wciąż staram się ciebie zrozumieć, ale myślę, że gdybyś chciała, bym gdzieś poszedł, na przykład na jarmark, to po prostu przysłałabyś i o to poprosiła. - Urwał na chwilę i dodał: - Albo, co bardziej prawdopodobne, powiedziałałabyś mi, że mam tam iść.

Tym razem to ona się zarumieniła.

- Myślisz, że za bardzo się rządzą?

- Nie zanadto. Tak akurat.

Matty spoglądał to na jedno, to na drugie.

- O czym wy właściwie mówicie?

- O niczym - odparli chórem Sherlock i Virginia.

Sherlock zajrzał znów przez okno i spostrzegł, że Crowe dosiadł się do tamtych czterech mężczyzn. Wyglądało na to, że znakomicie się ze sobą dogadują. Crowe dał znak właścicielowi, który nalał kolejne kufle piwa z cynowego dzbana stojącego na szynkwasiu.

- Twój ojciec to ciekawy człowiek - powiedział Sherlock, odwracając się do Virginii.

- Czasami.

- Czym się zajmował, kiedy mieszkaliście w Ameryce?

Patrzyła w talerz.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Tak.

- Był tropicielem.

- To znaczy polował na zwierzęta?

Potrząsnęła głową.

- Polował na ludzi. Tropił morderców, którym udało się umknąć sprawiedliwości, i Indian, którzy napadli na samotne gospodarstwa. Szedł za nimi czasem przez wiele dni przez puszcze, aż był na tyle blisko, by wziąć ich z zaskoczenia.

Sherlock nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

- I co, zabierał ich z powrotem, żeby postawić ich przed sądem?

- Nie - odrzekła cicho. Nagle wstała i podeszła znów do swojego konia.

Sherlock i Matty siedzieli przez chwilę w milczeniu, każdy pogrążony we własnych myślach.

W końcu Amyus Crowe wyszedł z gospody i dołączył do nich, wciskając potężne ciało między ławę a stół.

- Ciekawe - powiedział, wracając do swej amerykańskiej postaci.

- Co się stało? - zapytał Sherlock. - Co oni wiedzą o tamtym domu?

- I jak pan ich skłonił, żeby odpowiedzieli na pana pytania? - dodał Matty. - Jest pan tu obcy, a ludzie zwykle nie zwierzają się obcym.

- Najlepiej więc nie być obcym - odparł. - Jeśli posiedzisz chwilę, gawędząc z szynkarzem, stajesz się częścią

otoczenia. Potem włączasz się w rozmowę, jeśli widzisz jakieś miejsce dla siebie, i mówisz coś o sobie – kim jesteś, dlaczego tu przyszedłeś. Powiedziałem im, że szukam gospodarstwa, by hodować świnie, ponieważ żołnierzom w Aldershot potrzeba będzie dużo żywności. Zaciekawilo ich, ilu żołnierzy będzie tu stacjonować, i zaczęliśmy rozmawiać o różnych możliwościach. Zapytałem, czy jest tu ktoś, kto mógłby zainwestować w jakiś interes albo miałby trochę ziemi do sprzedania, więc powiedzieli mi o tamtej posiadłości. Należy do człowieka o nazwisku Maupertuis – który jest jakimś baronem i na dodatek cudzoziemcem.

Sherlock zerknął na Mattyego z uśmiechem. Crowe najwyraźniej zapominał, że to jest obcy w tym kraju.

- Nikt nigdy nie widział tego barona Maupertuisa. Całą służbę przywiózł ze sobą, nie najął nikogo stąd, co też nie usposobiło miejscowych zanadto przychylnie. Wszelkie potrzebne rzeczy kupował gdzie indziej, nie tutaj. W każdym razie właściciel przysłuchiwał się naszej rozmowie i powiedział, że baron wyprowadził się dziś, jakiś czas temu. Droga przejechał cały sznur wozów, wyładowanych skrzyniami i meblami, a na końcu czarna dwukółka. A jakiś czas później kolejne wozy, tym razem wyładowane wielkimi skrzyniami okrytymi płótnem. Przypuszczam, że to były ule, o których wspomniałeś, młody człowieku. Zapewne uspokoili i uspili pszczoły za pomocą dymu. Tak właśnie robią pszczelarze, kiedy przenoszą gdzieś ule.

- Zabrali ule ze sobą? Dlaczego?

Amyus Crowe skinął głową.

- To bardzo dobre pytanie. Jeśli wyjeżdżasz w pośpiechu, po co zabierać wszystkie ule? Tylko spowolnią jazdę, a przecież gdzie indziej też można dostać pszczoły. - Zastanawiał się przez chwilę. - Wygląda na to, że wystraszyła ich wasza ucieczka. Nie mogli ryzykować, że pójdziecie na policję, która przyjdzie przeprowadzić śledztwo. Wynieśli się więc w inne miejsce, a my musimy dowiedzieć się dokąd.

- Możemy za nimi pojechać - powiedział Sherlock.

Crowe potrząsnął głową.

- Mają za dużą przewagę.

- Ale będą jechać wolno - upierał się Sherlock. - Wiozą przecież ule. Jeden człowiek konno może ich dogonić.

- Mieli zbyt dużo dróg do wyboru - odparł Crowe.

- Długi sznur wozów? Ludzie na pewno go zauważą i zapamiętają. Poza tym nie pojedą kiepskimi bocznymi drogami - będą się trzymać głównej. To ogranicza możliwości.

Crowe uśmiechnął się szeroko.

- Nieźle to wykombinowałeś, chłopcze.

- Pan już o tym myślał? - zapytał Sherlock, marszcząc brwi.

- Tak, ale wolałem nie podawać ci odpowiedzi na tacy. Chciałem się przekonać, czy potrafisz się nad czymś zastanowić, zwłaszcza kiedy ja upieram się przy czymś przeciwnym. - Crowe wstał. - Znam niedaleko naszego domu pewnych ludzi, którzy mają konie i którym przyda się



kilka szylingów. Wyślę ich, żeby poszukali tego konwoju. Ty lepiej wróć do dworu i uspokój swoich krewnych. Powiedz im, że cały czas byłeś ze mną - to powinno załagodzić sprawę. Zajrzę jutro i dam ci znać, czego się dowiedziałem.

Całą czwórką pojechali bocznymi drogami i wiejskimi ścieżkami z powrotem do Farnham, gdzie się pożegnali.

Matty poszedł do ukrytej gdzieś łodzi, podczas gdy Crowe i Virginia odjechali truchtem do domu. Sherlock przez chwilę nie ruszał się z miejsca, czekając, aż wydarzenia tego dnia ułożą mu się w głowie i staną wspomnieniami, a nie tylko bezładną mieszaniną przeżyć. W końcu, gdy się nieco uspokoił, popędził konia w kierunku dworu Holmesów.

Kiedy tam dotarł, zastanawiał się przez chwilę, gdzie zostawić konia. Ostatecznie nie należał do niego. Z drugiej strony, jego poprzedni właściciel najwyraźniej go porzucił, poza tym był to niewątpliwie lepszy środek lokomocji niż rozchwierutany, stary rower, który znalazł dla niego Matty. Jeśli koń nie zniknie do jutra, będzie to znaczyło, że powinien go zatrzymać.

Gdy wszedł do domu, właśnie podawano obiad. Sherlock postanowił zachowywać się zwyczajnie, tak jakby nic się nie stało, a świat był zupełnie taki sam jak tego ranka. Zerknął na swoje ubranie, otrzepał z kurzu marynarkę i ruszył do jadalni.

Posiłek był surrealistycznym doświadczeniem. Stryjenka swoim zwyczajem paplała o niczym, a stryj czytał przy jedzeniu wielką księgę, co jakiś czas mamrocząc pod

nosem. Pani Eglantine wpatrywała się w Sherlocka z punktu obserwacyjnego pod ścianą. Bardzo mu było trudno pogodzić tę spokojną, kulturalną atmosferę z faktem, że całkiem niedawno został pozbawiony przytomności, porwany, skazany na śmierć, po czym uciekł, i to wszystko w ciągu zaledwie kilku godzin. Mimo jagnięciny zjedzonej w gospodzie był wygłodniały, więc łąpczywie nałożył sobie na talerz cały stos parującego kurczaka i jarzyn, i hojnie polał całość sosem.

- Sherlocku, wyglądasz, jakbyś wrócił z wojny - powiedziała stryjenka w trakcie deseru, co było już niemal skierowanym wprost do niego pytaniem.

- Ja... przewróciłem się - odparł, czując, jak pieką go skaleczenia na twarzy i uszach. - Nie przywykłem do jazdy na rowerze.

Najwyraźniej zadowolony się tą odpowiedzią, stryjenka znów zaczęła mamrotać do siebie w niekończącym się monologu.

Tak szybko, jak tylko się dało, aby się nie wydać niegrzecznym, Sherlock wstał od stołu i poszedł do swego pokoju. Miał zamiar poczytać trochę, a potem może zanotować wydarzenia tego dnia w dzienniku, żeby ich nie zapomnieć, ale gdy tylko położył się na łóżku, powieki zaczęły mu ciążyć i po chwili już spał, nie zdjawszy nawet butów.

Obudził się, kiedy na dworze było już ciemno, a gdzieś w oddali pohukiwały sowy. Rozebrał się i wsunawszy się

pod szorstką pościel, zapadł w głęboki sen, jakby nurkował w ciemnym, tajemniczym jeziorze.

Ranek następnego dnia był jasny i rześki. Amyus Crowe czekał już na dole w hallu, kiedy Sherlock schodził na śniadanie. Miał na sobie białe lniane ubranie i szerokoskrzydły kapelusz.

- Jedziemy do Londynu! - zahuczał na widok swego ucznia. - Mam tam sprawy do załatwienia, a twój stryj pozwolił, byś pojechał ze mną. Doksztalcisz się, chłopcze. Obejrzymy sobie kilka galerii sztuki i opowiem ci trochę o historii tego wspaniałego miasta.

- Czy Virginia też jedzie? - zapytał bez namysłu Sherlock, żałując natychmiast, że nie ugryzł się w język, ale Crowe tylko uśmiechnął się szeroko, z błyskiem w oku.

- Ależ oczywiście - odparł. - W tych okolicznościach chyba nie mógłbym zostawić jej samej na wsi, prawda? Jakież byłby ze mnie ojciec?

- Dlaczego do Londynu? - zapytał ciszej Sherlock, kiedy stał już u stóp schodów.

- Tam właśnie pojechały wozy - odrzekł równie cicho Crowe. - Podejrzewam, że on ma gdzieś tam drugi dom.

Z ledwo słyszalnym szelestem sukien pani Eglantine wyłoniła się z cieni na końcu hallu.

- Paniczu Sherlocku, powinien panicz zjeść śniadanie, zanim będę musiała sprzątnąć ze stołu - powiedziała tonem jawnie niechętnym, ale jeszcze nie obraźliwym.

- Dziękuję - odparł, po czym zwrócił się do Crowe'a: - Czy jedziemy od razu?

- Lepiej najedz się na zapas - poradził Crowe. - Może ci się przydać. I spakuj torbę na dwa dni. Będę czekał w powozie na zewnątrz. - Odwrócił się do pani Eglantine, z przesadną galanterią uchylając kapelusza. - Do widzenia pani - powiedział i wyszedł.

Sherlock zjadł śniadanie tak szybko, jak mógł, prawie nie czując jego smaku. Londyn! Jedzie do Londynu!

A jeśli będzie miał szczęście, może uda mu się zobaczyć z Mycroftem!

Amyus Crowe czekał w powozie przed dworem. Virginia siedziała obok niego. Wyglądała na niezadowoloną, może z powodu sukienki z falbankami i czepka, które miała na sobie, a może dlatego, że zamiast jechać na świeżym powietrzu, została uwięziona w powozie.

- Ładnie wyglądasz - powiedział Sherlock, siadając naprzeciwko niej, podczas gdy woźnica wkładał jego torbę na górę obok innych bagaży. Skrzywiła się.

Koła zagrzechotały na żwirze, gdy powóz ruszył, zagłuszając jej odpowiedź, zresztą Sherlock nie był pewien, czy chciałby ją usłyszeć.

Kiedy dojechali do stacji w Farnham, czekał na nich Matty. Amyus Crowe uśmiechnął się do niego.

- Dostałeś więc moją wiadomość?

- Obudził mnie gość, który mi ją przyniósł. Skąd pan wiedział, gdzie zacumowałem?

- To mój zawód, wiedzieć, gdzie co jest. Zawód i przyjemność. Masz ochotę na wycieczkę, chłopcze?

- Ale nie mam ubrań na zmianę ani niczego takiego - powiedział Matty.

- Kupimy co potrzeba w Londynie. A teraz chodźmy po bilety.

Crowe kupił cztery bilety do Londynu w drugiej klasie i całe towarzystwo zeszło na peron, podczas gdy woźnica zdejmował z powozu ich bagaże. Zdążyli w samą porę. Pociąg przyjechał po dziesięciu minutach, wtoczył się na dworzec niczym wielki stalowy potwór. Z jego owalnego cielska unosiła się para, tłoki poruszały się w górę i w dół jakby wskazówki. Żelazne koła, niemal tak wielkie jak Sherlock, zatrzymały się z piskiem.

- Lokomotywa typu „Saxon” Josepha Beattiego - rzekł Crowe. - Należy do kategorii 2-4-0. Sherlocku, możesz mi powiedzieć dlaczego?

- Dlaczego Saxon czy dlaczego 2-4-0?

Amyus skinął głową.

- Zebranie właściwych informacji zależy głównie od tego, czy odpowiednio sformułuje się pytanie - powiedział. - Miałem na myśli oznaczenie „2-4-0”. Podejrzewam, że „Saxon” to tylko historyczny kaprys konstruktora. Inną zbudowaną przez siebie lokomotywę nazwał „Nelson”.

Sherlock przyjrzał się lokomotywie. Zauważył, że koła nie są rozmieszczone równomiernie, tylko w pewnych odstępach.

- Powiedziałbym, że chodzi o układ kół - zaryzykował - ale pewnie nie.

- W istocie tak - odparł Crowe. - Na pojedynczej osi z przodu umieszczono dwa koła, skręcające niezależnie, żeby lokomotywa mogła pokonywać zakręty. Potem są cztery koła połączone sztywno z samą lokomotywą, na dwóch osiach. To koła napędowe.

- A co znaczy „0”? - zapytał Sherlock.

- Niektóre lokomotywy mają jeszcze koła z tyłu - odparł Crowe. - Zero wskazuje, że ta lokomotywa nie ma trzeciego zestawu kół.

- Więc to numer oznaczający, że nie ma tam nic.

- Istotnie - uśmiechnął się Crowe. - Wydaje się to głupie, ale jest bardzo logiczne, jeśli przyjąć taki system.

Znaleźli swój wagon i zajęli miejsca. Sherlock nigdy wcześniej nie jechał pociągiem i wszystko było dla niego nowe: podrygiwanie siedzeń, ścian i okien w rytmie kół, słodkawy zapach dymu, migający za oknami krajobraz, zmieniający się nieustannie, a jednak dziwnie nieruchomy. Matty, wyraźnie niespokojny, siedział z szeroko otwartymi oczami. Sherlock przypuszczał, że jego kolega nigdy nie zaznał nawet umiarkowanego luksusu przedziału drugiej klasy.

Lasy zniknęły, ustępując miejsca polom, ale nie uprawiano na nich kukurydzy ani też pszenicy czy żyta, lecz brązowe rośliny o małych, zielonych liściach, pnące się po wbitych w ziemię tyczkach wysokości pięciu czy sześciu stóp. Sherlock miał właśnie zapytać Crowe'a, co to takiego, kiedy Matty, zauważywszy jego zaciekawienie, pochylił się, by wyrzec przez okno.

- Chmiel - wyjaśnił zwięźle. - Dla browarów. Te okolice słyną z dobrego piwa. W samym Farnham jest trzydzieści pubów i gospód.

Podróż trwała, przerywana tylko przesiadką w Guildford, aż w końcu znaleźli się na wielkim dworcu Waterloo w sercu ruchliwej metropolii.

Byli w Londynie - miejscu, gdzie mieszkał i pracował Mycroft Holmes.



Stacja Waterloo była zgiełkliwym kłębowiskiem ludzi zmierzających w różnych kierunkach i niosących wszelkiego rodzaju pudła, skrzynie, walizy i kufry pod potężnym, łukowatym dachem z metalu i szkła. Pociągi wtaczały się na perony, wypływając kłęby pary i kolejnych podróżnych, co zwiększało duchotę. Sherlock czuł, jak pot zbiera mu się pod kołnierzem.

Amyus Crowe natychmiast najął tragarza i polecił mu odebrać ich bagaże z pociągu. Tragarz wyprowadził całą czwórkę na zewnątrz, gdzie stojące jeden za drugim dorożki zabierały ludzi czekających w długiej kolejce. Dodatkowa półpensówka przekonała tragarza, by zaniósł ich bagaże na sam początek, gdzie pasażerowie wysiadali z dopiero co przybyłych pojazdów, zanim te zdążyły podjechać do kolejki. Po niedługim targowaniu się wsiedli do dorożki, którą drugimi drzwiami opuszczali poprzedni pasażerowie.

Crowe najwyraźniej dobrze znał Londyn. Polecił woźnicy, by zawiózł ich do hotelu Sarbonnier. Dorożka jechała



z wolna, Sherlock wychylał się przez jedno okno, podziwiając widoki, a Matty wyglądał przez drugie.

Budynki były ogromne w porównaniu z tymi w Farnham, Guildford i innymi miastami, do których przywykł Sherlock. Wiele z nich liczyło pięć lub sześć pięter. Niektóre zdobił przy frontowym wejściu portyk z kolumnami oraz rzeźby ustawione szeregiem na krawędzi dachu, przedstawiające czasem postacie ludzkie, a czasem skrzydlate, rogate i zębate mityczne stwory.

Po niedługim czasie przejechali przez most, który spinał brzegi wielkiej rzeki.

- Czy to Tamiza? - zapytał Sherlock.

- Owszem - przytaknął Crowe. - Jedna z najbrudniejszych, najbardziej zatrutych i paskudnych rzek, z jakimi miałem nieprzyjemność się zetknąć.

Zjechawszy z klekotem z mostu po drugiej stronie rzeki, dorożka skręciła kilkakrotnie, po czym podjechała pod długi budynek z pomarańczowego kamienia. Woźnica zeskoczył z kozła i pomógł im wyładować bagaże. Z obrotowych drzwi frontowych wyłoniło się trzech tragarzy, którzy wnieśli ich torby do środka.

Gdy znaleźli się w imponującym lobby - białe kolumny o rzeźbionych podstawach, mozaika na suficie oraz posadzka z różowego marmuru - Amyus Crowe podszedł wielkimi krokami do długiego drewnianego kontuaru.

- Trzy pokoje na dwie noce - powiedział do ubranego w uniform mężczyzny za kontuarem.

Ten skinął głową.

- Oczywiście, proszę pana - rzekł, sięgając po klucze wiszące na tablicy za jego plecami. Odwróciwszy się, dodał:

- Zechciałby pan wpisać się do księgi gości?

Crowe podpisał się zamasyście, a konsjerż podał mu klucze. Przyczepione były do wielkich mosiężnych kul, jak uznał Sherlock, pewnie po to, żeby się nie gubiły.

- Sherlocku i Matthew, macie jeden pokój - powiedział Crowe, wręczając im klucz. - Virginia będzie miała własny, a ja idę do trzeciego. Bagaże zostaną przyniesione do waszych pokojów. Matthew, proponuję, żebyśmy wybrali się gdzieś, gdzie będzie można ci kupić jakieś ubrania i przybory toaletowe. - Spojrzał krytycznie na Mattyego. - A także cię ostrzyc - dodał. - Sherlocku, Virginio, może pójdziecie się przejść? Skręćcie w prawo i pójdźcie do końca ulicy, a znajdziecie coś, co zapewne was zainteresuje. Za godzinę wróćcie na lunch. Jeśli się zgubicie, poproście, by ktoś wskazał wam drogę do hotelu Sarbonnier.

Posłuchawszy Crowe'a, Sherlock i Virginia wyszli przed hotel i ruszyli w prawo. Natychmiast pociągnął ich za sobą tłum zmierzający w tym samym kierunku. Sherlock, zaniepokojony, że mogą zostać rozdzieleni, wyciągnął rękę, by skierować Virginie bliżej siebie. Zamiast tego jej ciepła i miękka dłoń na chwilę chwyciła jego palce. Poczuł, jakby serce zaczęło mu bić dwa razy szybciej niż zwykle. Zerknął na nią, zaskoczony, a ona uśmiechnęła się do niego nieśmiało, co było zupełnie do niej niepodobne.

Po kilku minutach znaleźli się na końcu ciągu budynków. Ulica przechodziła w wielki otwarty plac, nad którym

dominowała umieszczona pośrodku kolumna. Przez chwilę Sherlockowi wydawało się, że na szczycie kolumny stoi człowiek, i myślami przeniósł się nagle z powrotem do dworu Holmesów, gdzie stryj przy którejś kolacji opowiadał o pobożnych pustelnikach. Porzucali oni dotychczasowe życie i rodziny, by zamieszkać na szczycie słupów, rozmyślając nad naturą Boga i jedząc tylko to, co rzucili im na górę przechodzący ludzie. Jednak gdy tylko przyjrzał się uważniej, przekonał się, że postać na szczycie kolumny to nie żywy człowiek, lecz posąg mężczyzny w mundurze marynarki wojennej.

- Kto to jest? - zapytała urzeczona Virginia.

- Myślę, że to admirał Nelson - odparł Sherlock. - Co oznacza, że jesteśmy na Trafalgar Square. Pomnik upamiętnia słynną bitwę morską z tysiąc osiemset piątego roku.

U podstawy kolumny znajdowały się dwie fontanny. Tryskające z nich strumienie wody rozbłyskiwały tęczowo w świetle słońca. To było serce Londynu, centralny punkt Imperium, które rozciągało się aż po krańce globu.

A gdzieś w pobliżu brat Sherlocka Mycroft siedział zapewne przy swoim biurku, pomagając nim kierować.

Przez jakiś czas spacerowali po Trafalgar Square, przyglądając się ludziom i pięknym budynkom przy ulicach dookoła placu, po czym wrócili do hotelu. Przyszli akurat w porę: Amyus Crowe czekał na nich we foyer. Przy nim stał chłopiec w wieku Mattyego Arnatta, ale ze schludnie przyczesanymi włosami, przyzwoicie ubrany i z bardzo

niezadowoloną miną. Sherlock potrzebował kilku sekund, żeby się zorientować, że to faktycznie jest Matty.

- Nic nie mów - ostrzegł Matty. - Nawet nie próbuj.

Sherlock i Virginia roześmiali się.

Poszli razem do restauracji i zamówili lunch. Wokół nich siedziały kobiety w jedwabiach, krynolinach, piórach, kapeluszach i rękawiczkach oraz mężczyźni we frakach, z wąsami błyszczącymi od pomady. Nikt nie zwrócił na nich uwagi. Uznano ich za rodzinę, która przybyła podziwiać stolicę najważniejszego kraju na ziemi.

Sherlock wziął sobie kotlety jagnięce, znakomicie przyrządzone - różowe w środku - podane z ziemniakami i fasolką. Matty i Amyus Crowe zamówili zapiekankę z wołowiny i cynaderek, a Virginia zaryzykowała kurczaka w sosie francuskim z pieprzem i śmietaną.

Kiedy jedli, Amyus Crowe przypomniał im, z jakiego powodu się tu znaleźli.

- Zatelegrafowałem wcześniej do znajomego w tym pięknym mieście - rzekł między jednym kęsem a drugim. - Można powiedzieć, że jest moim współnikiem w interesach.

Sherlock zastanowił się przez chwilę, jakiego rodzaju „interesy” Crowe może mieć na myśli, nigdy wcześniej bowiem o nich nie wspominał, lecz Amerykanin mówił dalej:

- Powiedziałem mu, którą drogą konwój wozów wjedzie do miasta, i poprosiłem, by znalazł te wozy i ustalił, dokąd zmierzają. Zawiadomiłem go też, gdzie się zatrzymamy. Właśnie przysłał mi telegram, że wozy stoją przy jakimś

magazynie w miejscu zwanym Rotherhithe i że wyładowane z nich są różne skrzynie i tym podobne. Powiedział mi, gdzie jest ten magazyn.

- Rotherhithe? - zapytał Sherlock.

- To kilka mil w dół rzeki - podejrzana okolica, gdzie marynarze szukają rozrywek między rejsami i gdzie magazynuje się towary, zanim zostaną załadowane na statki. Nie chciałbyś znaleźć się w tym miejscu po zmroku.

- Potrząsnął głową z niezadowoleniem. - Nie ryzykowałbym zabierania cię tam, ale to zbyt duża sprawa. Ten baron coś knuje i jest to dla niego na tyle ważne, że nie zawaha się dla tego czegoś zabić. Już przecież próbował. Pozbycie się was dwóch byłoby dla niego czymś równie łatwym jak rozdeptanie pająka. Kłopot w tym, że trzeba sprawdzić, czy skrzynie na wozach to ule, które widziałeś w Farnham, a to znaczy, Sherlocku, że będziesz musiał pójść ze mną. Ale ostrzegam cię - to może być niebezpieczne. Bardzo niebezpieczne.

Sherlock powoli przytaknął.

- Zaryzykuję. Chcę się dowiedzieć, o co chodzi - dlaczego on próbuje mnie zabić.

Crowe zerknął na Mattyego, który za pomocą łyżki szufłował groszek.

- A co się tyczy ciebie, młody człowieku, pewnie widziałeś już niejedno nabrzeże i magazyn, skoro spędzasz życie, pływając na barce. I zapewne w bójce też nie dasz sobie w kaszę dmuchać.

- Jeśli ktoś zaczyna się bić - powiedział Matty z ustami pełnymi groszku - to uciekam. A kiedy nie mogę uciec, to walę nisko i mocno.

- Sam bym tego lepiej nie ujął - przytaknął Crowe. - Oczywiście pójdę z wami, ale być może będziemy musieli się rozdzielić, żeby obserwować różne miejsca.

- A co ze mną? - głos Virginii był piskliwy z oburzenia, a jej fiołkowe oczy świeciły niebezpiecznym blaskiem. - Co ja mam robić?

- Ty zostaniesz tutaj - powiedział Crowe ponuro. - Wiem, że umiesz dać sobie radę w szarpaninie, ale nie masz pojęcia, co może się przytrafić młodej damie w Rotherhithe. Tamtejsi ludzie są gorsi niż zwierzęta. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś ci się stało, nie po... - Urwał raptownie. Zerknąwszy na Virginie, Sherlock spostrzegł, że jej oczy nagle zaśniły. - Zostaniesz tutaj - powtórzył Crowe. - Jeśli się rozdzielimy, musimy wiedzieć, że jest ktoś, kto może przyjąć wiadomości i przekazać je dalej. To będzie twoje zadanie.

Virginia przytaknęła bez słowa.

Crowe spojrzał znów na obu chłopców.

- Kiedy tylko będziecie gotowi - powiedział - ruszamy.

Gdy przechodzili przez foyer, Sherlock obrócił się i spojrzał na Virginie. Patrzyła na niego. Próbowwała się uśmiechnąć, ale uśmiech zmienił się w nerwowy grymas. On też chciał jej dodać otuchy uśmiechem, podejrzewał jednak, że wyraz jego twarzy jest równie mało przekonujący.

Zamiast pojechać do Rotherhithe dorożką, Crowe zaprowadził chłopców nad brzeg Tamizy, gdzie pozieleniałe od glonów kamienne schody prowadziły do cuchnącej, brązowej rzeki. Drugi brzeg był ledwo widoczny przez dym i ciemne opary, które wydawały się unosić z samego nurtu. Na wodzie kołysała się łódka. Jej właściciel siedział na dziobie, paląc fajkę.

- Rotherhithe - powiedział posepnie Crowe, rzucając mu monetę. Przewoźnik skinął głową i zręcznie schwyciwszy pieniążek, przygryzł go, sprawdzając, czy jest prawdziwy. Crowe i chłopcy usadowili się na rufie, podczas gdy mężczyzna odbił od brzegu i zaczął wiosłować, odwrócony tyłem do kierunku, w którym zmierzali.

Dla Sherlocka podróż ta była dziwna i niepokojąca. Na dnie łodzi chlupotała woda, a w rzece pływały rzeczy, na które starał się nie patrzeć: ludzkie odchody, martwe szczury i kawały namokniętego drewna pokrytego wodorostami. Odór był tak straszliwy, że chłopiec musiał oddychać ustami, a nawet wtedy wydawało mu się, że czuje jego smak, osadzający się na języku i w tyle gardła. Zbierało mu się na mdłości. W pewnym momencie z oparów wyłoniła się inna łódź i minęła ich w niedużej odległości. Ktoś zaklął głośno, na co ich przewoźnik odpowiedział gestem, jakiego Sherlock nigdy wcześniej nie widział, ale który doskonale mógł sobie przełożyć.

Dotarcie do Rotherhithe zabrało im jakieś dwadzieścia minut. Wysiedli przy schodach, niemal nie do odróżnienia od tych, od których odbili. Crowe ruszył pierwszy na górę.

Wzdłuż nabrzeża biegła wąska brukowana uliczka, zakręcająca w obie strony. Sherlock i Matty ruszyli za Croweem, mijając wysokie budowle magazynów i ceglane mury, trzymając się brzegu Tamizy i chowając się w cieniu, gdzie się tylko dało. Po mniej więcej dziesięciu minutach Crowe zatrzymał się. Stali przed tawerną, jakich w metropolii można było znaleźć wiele. Brzękliwe dźwięki źle nastrojonego pianina płynęły z drzwi i okien, przy akompaniamencie zgiełku głosów śpiewających różne słowa na tę samą melodię. Kilka kobiet stojących w wejściu zmierzyło Amyusa Crowe'a zaciekawionym spojrzeniem, ale odwróciły się, gdy spostrzegły Sherlocka i Mattyego.

- Sądzę, że ten magazyn jest tuż za rogiem - mruknął Crowe. Rozglądał się dyskretnie dookoła, wypatrując zagrożeń. - Sprawdźmy rozkład budynków i przyczajmy się na chwilę.

- A jeśli ktoś nas zobaczy? - zapytał Sherlock.

- W Albuquerque byłem tropicielem - powiedział Crowe. - Tropiłem najbardziej niebezpieczne bestie. Są sposoby, aby zmniejszyć szanse na to, że cię odkryją. Po pierwsze, nie patrz nikomu w oczy, ponieważ wszystkie zwierzęta zwracają uwagę przede wszystkim na oczy. Zerkaj kątem oka - wtedy widzi się więcej, niż patrząc na wprost, chociaż nie rozróżnia się tak dobrze kolorów. Jeśli możesz, nie ruszaj się, ponieważ oko nastawione jest na ruch, nie na to, co nieruchome. Noś stonowane w barwie ubrania, bez kolorów, których nie spotkasz w przyrodzie - szare jak kamień, zielone jak mech, brązowe jak ziemia. I nie noś



żadnego metalu, ponieważ nie występuje on w naturze w dużych ilościach. Jeśli będziesz się trzymał tych zasad, możesz stać choćby na tle ceglanego muru, a ludzie po prostu prześlizgną się po tobie wzrokiem, aż znajdą coś bardziej interesującego.

- To brzmi jak magia - rzekł Sherlock, nieprzekonany.

- Większość rzeczy wydaje się magią, dopóki nie dowiesz się, jak działają. - Spojrzał krytycznie na obu chłopców. - Skaleczenia na twarzy pomogą ci wtopić się w tło, Sherlocku, ale obaj jesteście nieco za schludni jak na tę okolicę. Trzeba was nieco ubrudzić. - Rozejrzał się. - W porządku, poturlajcie się po bruku, niech wam się trochę przykurzą te ubranka.

- Czy to nie będzie podejrzane? - zapytał Sherlock.

- Nie, jeśli będziesz miał powód - wyjaśnił Crowe. - Matty, pchnij Sherlocka w pierś.

- Co takiego?

- Po prostu to zrób. A ty, Sherlocku, walnij go zaraz w ramię.

Na Sherlocka nagle spłynęło olśnienie.

- Aż zaczniemy tarzać się po ziemi, co pomoże naszym ubraniom wtopić się w tło, a nam stać się częścią otoczenia. Gdybyśmy nie byli stąd, nie tłuklibyśmy się na ulicy.

- Właśnie - przytaknął Crowe z aprobatą.

Sherlock miał właśnie zapytać, jak długo powinni się bić, kiedy Matty pchnął go mocno w pierś.

- Mówiłem ci przecież! - krzyknął.

Sherlock powściągnął nagłą chęć, by walnąć go w szczękę, i zamiast tego uderzył w bark.

- Tylko spróbuj! - wrzasnął, nieco zażenowany.

Matty rzucił się na Sherlocka i powalił go na ziemię.

Po chwili turlali się, wzbijając kłęby kurzu. Sherlock złapał Mattyego za ramię, ale ten trzymał go za włosy, odchylając mu głowę.

Sherlock już niemal zapominał, że to tylko bójka na niby, kiedy wielkie dłonie Amyusa Crowe'a zacisnęły się na ramionach obu chłopców, dźwigając ich w górę.

- Wy dwaj, dosyć tego - powiedział swoim „angielskim” głosem, tylko bardziej szorstko.

Chłopcy stali naprzeciw siebie, mimo dość niebezpiecznej sytuacji starając się ukryć uśmiechy. Sherlock spojrzał po sobie. Miał naddarty rękaw marynarki, a całe ubranie pokryte ziemią, końskim włosiem i innymi rzeczami, o których wolał nie myśleć.

- Nie martw się - powiedział Crowe - to się spierze. A jeśli nie, kupimy nowe ubrania. Rzeczy zawsze można zastąpić nowymi. Dobry myśliwy wie, że w pościgu za zdobyczą trzeba poświęcić wszystko, co materialne.

- Na jakie zwierzęta pan poluje? - zapytał Matty.

- Nie mówiłem, że poluję na zwierzęta - mruknął Crowe.

Zanim któryś z chłopców zdążył zapytać, co dokładnie ma na myśli, Crowe ruszył dalej. Poszli więc za nim, wymieniając zaniepokojone spojrzenia.

Crowe zatrzymał się i zerknął za róg.

- Magazyn jest tam dalej - powiedział cicho. - Sherlocku, ty tu zostaniesz. Ukucnij i zacznij się czymś bawić, może kamykami, jeśli jakieś znajdziesz. Pamiętaj - nie patrz nikomu w oczy, ale obserwuj kątem oka, co się dzieje. Matty, chodź ze mną. Możesz zabezpieczać tyły, a ja będę się poruszał między wami dwoma.

- Czego szukamy? - zapytał Sherlock.

- Czegoś, co tu nie pasuje. Czegoś, co nam powie, co tu się dzieje.

Crowe i Matty odeszli, Crowe z ręką na ramieniu Mattyego, a Sherlock zgodnie ze wskazówkami ukucnął, wydłubał z błota jakiś kamień i zaczął turlać go w tę i z powrotem. Zabawa była nudna, ale dzięki niej wtapiał się w otoczenie, a jednocześnie mógł ukradkiem obserwować, co dzieje się wokół.

Magazyn mieścił się w ceglany budynku, którego niemal cały front zajmowały wielkie drewniane drzwi, otwierające się na zewnątrz. Nie było w nim niczego wyraźnie podejrzanego, i Sherlock zastanawiał się, czy na pewno dobrze trafili, czy też może obserwują jakiś przypadkowo wybrany budynek.

Wydawało mu się, że minęła cała wieczność, zanim wrócił Amyus Crowe, choć w istocie upłynęło może z pół godziny. Chociaż nauczyciel miał na sobie to samo ubranie co wcześniej i nie ubrudził się tak mocno jak Sherlock i Matty, wyglądał dziwnie niechlujnie. Jego marynarka była źle zapięta, przez co sprawiał wrażenie, jakby przekrzywił się na jedną stronę, koszula wystawała mu ze spodni. Chwiał

się lekko, a wzrok utkwiał w ziemi tuż pod stopami. Przystanął obok Sherlocka i osunął po ścianie.

- Wszystko w porządku? - mruknął.
- Nic się nie działo - odparł Sherlock równie cicho.
- A jak tam z tobą?
- Nudzę się.

Crowe zachichotał.

- Witaj na polowaniu. Długie okresy nudy przerywane krótkimi chwilami podniecenia i przerażenia. - Urwał, po czym mówił dalej: - Przejdę się do tej gospody, zobaczę, o czym rozmawiają ludzie.

- Dobrze. Mógłby pan przysłać mi tu szklanek wody?

- Synu, lepiej, gdybyś napił się wody z Tamizy niż wody z tej tawerny. Jeśli chce ci się jeść albo pić, odnotuj tylko ten fakt i nie zastanawiaj się nad tym. Człowiek może wytrzymać bez wody trzy, cztery dni. Najlepiej powtarzaj to sobie.

- Łatwo powiedzieć.

Crowe roześmiał się.

- Mogę pana o coś zapytać? - zapytał Sherlock, chcąc zatrzymać go chwilę dłużej.

- Jasne.

- Co pan robi w Anglii? Co to za interesy, o których pan wspomniał?

Crowe uśmiechnął się krzywo i zerknął w bok, unikając wzroku Sherlocka.

- Nie przyjechałem tu po to, żeby być guwernerem, to na pewno - powiedział łagodnie. - Chociaż to całkiem

interesująca rozrywka. Nie, zostałem zatrudniony przez... powiedzmy dla uproszczenia, że przez amerykański rząd, bym odnalazł ludzi, którzy popełnili zbrodnie, okrucieństwa, różne straszne rzeczy podczas niedawnej wojny secesyjnej i zbiegli z kraju, zanim dosięgła ich ręka sprawiedliwości. Tak właśnie poznałem twojego brata - podpisał porozumienie, dzięki któremu tu jestem. I dlatego zbudowałem sobie siatkę użytecznych ludzi, zwłaszcza w dokach i portach. Kiedy więc powiedziałaś mi, że Baron przyspieszył działania, rozesłałem prośbę o znalezienie jego wozów. Muszę powiedzieć, że byłem zaskoczony, gdy moi ludzie znaleźli je tak szybko. - Zerknął na Sherlocka. - Wystarczy?

Sherlock skinął głową.

- Mało kto o tym wie - dodał Crowe. - Byłbym wdzięczny, gdybyś zachował to dla siebie - rzekł i odszedł, zanim Sherlock zdążył cokolwiek powiedzieć.

Bawił się dalej, turlając kamień, minuty upływały powoli. Zerkał na drzwi magazynu, ale były zamknięte na głucho, a za nimi nie dało się słyszeć żadnego ruchu. Zaczynał dochodzić do wniosku, że przybyli tu na próżno.

Nagły hałas za plecami sprawił, że niemal odwrócił się, by spojrzeć, ale powstrzymał się w ostatnim momencie. Pozwolił, by kamyk potoczył się nieco dalej, obrócił się i podniósł głowę, by objąć wzrokiem tawernę. Jedne z drzwi otworzyły się i wyłoniła się z nich grupa mężczyzn, najwyraźniej pijanych. Rechotali przez chwilę, po czym ruszyli w jego kierunku. Skupił się na kamieniu, słuchając,

czy mówią coś o magazynie albo ulach, albo baronie Maupertuisie, albo czymkolwiek związanym z tajemnicą.

- Kiedy odpływamy? - zapytał jeden.

- Jutro o świcie - odparł drugi. Głos wydał się Sherlockowi jakby znajomy.

- Kto ma rozpiskę? - zapytał trzeci.

- Jest w mojej głowie - odparł drugi. - Ty jedziesz do Ripon, Snagger do Colchester, młody Nicholson będzie miał łatwą jazdę do Woolwich, a ja wracam do Aldershot.

- Nie mógłbym pojechać do Ascot? - zapytał głos z akcentem z północy, należący zapewne do Nicholsona.

- Pojedziesz tam, gdzie ci każą, kochasiu - odparł drugi mężczyzna. Kiedy to mówił, przechodził akurat blisko Sherlocka. Jego stopa zaczepiła o kamień i kopnęła go na drugą stronę uliczki. Chłopiec mimowolnie podniósł głowę i spojrzał mężczyźnie w oczy.

To był Denny, człowiek, którego Sherlock śledził do magazynu w Farnham i który stał na moście, kiedy jego kumpel Clem skoczył na barcę, by zaatakować Sherlocka i Mattyego. Człowiek, który pracował dla barona Maupertuisa.

To tyle, jeśli chodzi o niewidzialność. Twarz Dennyego natychmiast poczerwieniała z wściekłości.

Kiedy zbir wyciągnął ku niemu rękę, Sherlock przetoczył się w bok. Zerwał się na nogi i pomknął uliczką. Chciał pójść do tawerny, gdzie był Amyus Crowe, ale mężczyźni stali między nim a drzwiami. Zamiast tego oddalał się więc

coraz bardziej od Crowe'a, Mattyego i wszystkiego, co było tu znajome.

Za jego plecami dudniły kroki ścigających, odbijając się echem od ścian budynków, obok których przebiegał. Oddychał chrapliwie, a serce miotało mu się jak zwierzątko uwięzione w klatce zeber. Dwa razy czuł już na karku czyjeś palce, chwytające go niemal za kołnierz, i dwa razy musiał im się wyrywać gorączkowym szarpnięciem. Oprócz groźnych pomruków goniących go bandytów, łomotu ich buciorów i dudnienia własnego serca pościg odbywał się w zupełnej ciszy.

W połowie drogi zorientował się, że alejka kończy się ceglany murem. Wytrzeszczył oczy. Znalazł się w pułapce! Odwrócił się, zastanawiając się rozpaczliwie, czy zdąży pobiec z powrotem i znaleźć inną drogę, ale tamci się zbliżali. Jak zauważył ze straszliwym spokojem, było ich pięciu i wszyscy dzierżyli noże albo ciężkie kije. Marne szanse, by uszedł z życiem.

W jego głowie odezwał się nagle czyjś bardzo wyraźny głos, nie wiedział, Mycrofta, Amyusa Crowea czy jego własny: „Alejki i ulice prowadzą z jednego miejsca do drugiego. Alejka kończąca się ceglany murem jest wbrew logice. Nie ma celu, a zatem nigdy nie powinna powstać”.

Sherlock pomknął z powrotem i obrzucił mur uważnym spojrzeniem. Żadnej furtki ani okien, tylko plama cienia w kącie, gdzie nie docierało przytłumione światło słońca.

Jeśli jest jakieś wyjście, to właśnie tam.

Pobiegł w ten cień. Jeśli nic tam nie ma, wpadnie na mur i się potłucze. Ale zamiast tego znalazł wąski prześwit. Droga ucieczki.

Wąska uliczka biegła między dwoma budynkami. Pognał nią ile sił, słysząc za plecami wściekłe okrzyki, kiedy tamci próbowali znaleźć ukryte przejście. Jeden za drugim przeleźli jego śladem przez otwór, a ich sapanie i stęknięcia odbijały się echem wśród wysokich ceglanych murów.

Biegąc zakosami w półmroku, Sherlock wypadł na szeroką ulicę, wzdłuż której ciągnęły się drzwi. Biegł dalej, czując za sobą ciężkie kroki zbirów, po czym uskoczył w lewo w inną alejkę, zyskując jeszcze kilka jardów przewagi. Z przerwy w murze wyskoczył pies, ale nim kłapnął zębami, chwytając powietrze, chłopca już nie było. Pies rzucił się za to na ścigających go zbirów. Sherlock słyszał wściekłe ujadanie i przekleństwa, gdy tamci próbowali uciec przed zwierzęciem. Skrzywił się, słysząc głuchy odgłos buta trafiającego w coś miękkiego. Pies zaskowytał i uciekł.

Wybiegłszy jak strzała z za rogu, Sherlock wpadł całym rozpędem na dwójkę ludzi spacerujących nad brzegiem Tamizy, tak że mężczyzna runął jak długi, a on aż okręcił się w tył.

- Ty dziadowskie nasienie! - krzyknął mężczyzna, podnosząc się na nogi. - Już ja ci dam nauczkę! - Zaczął podciągać rękawy, odsłaniając muskularne przedramiona pokryte błękitnymi tatuażami, które przedstawiały kotwice i syreny.



- Zostaw go, Bill. On przecież niechcący! - Kobieta uczepiła się ramienia towarzysza. Jej cera była biała od źle nałożonego makijażu, usta przypominały krwawą pręgę, a powieki miała umalowane na czarno, tak że wyglądała jak kościotrup. - To tylko dzieciak.

- Myślałem, że to złodziej - warknął mężczyzna, ale już nie tak groźnie.

- Ścigają mnie - wyjaśnił Sherlock, dysząc ciężko. - Potrzebuję pomocy.

- Wiesz, co tu potrafia zrobić z chłopakiem - powiedziała kobieta. - Nie życzyłabym tego najgorszemu wrogowi. Bill, no rusz się. Pomóż mu.

- Stań za mną - rozkazał Bill. Podwinął rękawy i najwyraźniej rwał się do bójki, nieważne z kim. Sherlock przemknął za masywne ciało mężczyzny, a jego prześladowcy właśnie wyłonili się zza węgła.

- Stać - powiedział Bill niskim głosem, w którym słycać było groźbę. - Zostawcie dzieciaka.

- Ani myślę - odparł Denny, stojący na czele piątki. Podniósł rękę, w której trzymał nóż. Po ostrzu spłynęło światło, niczym świetlista strużka. - On jest nasz.

Bill także sięgnął po nóż, ale Denny przerzucił broń z prawej ręki do lewej i zadał cios, wbijając mu ostrze prosto w pierś. Mężczyzna runął na kolana, krztusząc się krwią, ze spojrzeniem pełnym niedowierzania, że te chwile w portowej uliczce to ostatnie sekundy jego życia.

Kiedy Bill padł twarzą na bruk, Denny uśmiechnął się do Sherlocka.

- Z tobą - obiecał - nie pójdzie tak szybko.



Sherlock najpierw zastygł, zdjęty zdumieniem i zgrozą, po czym ogarnęła go wściekła furia. Zrobił krok naprzód i walnął Dennyego pięścią w lędźwie. Zbir zgiął się wpół, kaszląc. Kiedy padł na ziemię, Sherlock odsunął się i kopnął go w szczękę. Coś chrupnęło. Mężczyzna krzyknął przez zamknięte i jakby przekrzywione na bok usta.

Towarzyszka Billa także zaczęła krzyczeć, a jej piskliwy głos ciął powietrze niczym nóż.

Pozostali czterej mężczyźni zerknęli na siebie z niedowierzaniem, po czym rzucili się na Sherlocka, wyciągając brudne łapska. Każdy szczegół tej sceny wrył się w pamięć chłopca: brud pod paznokciami, owłosione paluchy, kałuża krwi na ziemi, wrzask kobiety i krzyk Dennyego przechodzący w bolesny świst. Świat jakby powoli się zatrzymał, zamarł, a potem rozsypał się na kawałki. Sherlock czuł, że zasycha mu w ustach. Odwrócił się do kobiety.

- Bardzo mi przykro - powiedział.

Po czym znów puścił się biegiem. Dwaj mężczyźni ruszyli za nim, zostawiając Dennyego zwiniętego na bruku obok

Billa. Kobieta po prostu stała, patrząc na nich, a jej krzyk zmienił się w zdławiony szloch.

Skręciwszy za róg, Sherlock dojrzał przed sobą potężny budynek z kopułą. Na odsłoniętym terenie, na którym posadzono krzewy i drzewa, wydawał się zupełnie nie na miejscu. Prowadziło do niego wiele dróg – nie uliczek, na zewnątrz kłębili się ludzie i konie. Za nim Sherlock widział ceglany mur, a jeszcze dalej parującą, burą powierzchnię Tamizy.

Pobiegł w tamtym kierunku. Między ludźmi będzie bezpieczny.

Wymijał dobrze ubranych mężczyzn i kobiety, przebiegał pod dyszlami powozów, kierując się wciąż ku budowli. Gdy się do niej zbliżył, spostrzegł, że jest ozdobiona posągami i mozaikami. Przed sobą ujrzał wielkie wejście, skręcił więc nieco, by pójść prosto ku niemu. Przekleństwa i okrzyki za jego plecami dowodziły, że prześladowcy wciąż nie rezygnują.

Drzwi prowadziły do okrągłego hallu, do którego przez mnóstwo witrażowych okien w kopule wpadało światło, nadając wnętrzu nieco błazeńską, cyrkową atmosferę. Pośrodku znajdował się jakby szyb otoczony balustradą, przy nim zaś tłoczyli się ludzie, spoglądając na coś w dole. Z boku szerokie schody schodziły spiralą po obwodzie szybu, w głąb ziemi. Sherlock rzucił się naprzód, przedostał przez tłum, aż dotarł do szczytu schodów. Obróciwszy się, dojrzał kątem oka dwóch zbirów przepychających się między ludźmi. Jeden z nich był łysy, ze zniekształconym

nosem i uszami, co tę część mózgu Sherlocka, która nie szukała gorączkowo drogi ucieczki, doprowadziło do wniosku, że być może to bokser. Drugi był niewiarygodnie chudy, z wystającymi kośćmi policzkowymi i ostrym podbródkiem. Najwyraźniej uparli się złapać Sherlocka, bez względu na wszystko. Być może zrezygnowaliby, gdyby nie złamał Denny'emu szczęki, ale teraz mieli cel. Jeden z nich został upokorzony, a Sherlock będzie musiał za to zapłacić.

Odwrócił się i spojrzał w dół.

Schody biegły spiralnie dookoła ogromnego szybu, na początku na poziomie balustrady, ale potem coraz niżej w otchłań. Unoszące się z niej zapachy stęchlizny, pleśni i zgnilizny łączyły się w odór, od którego szczypało w nosie i łzawiły oczy. Sherlock zbiegał w równym rytmie dookoła cylindrycznego szybu. Nie miał pojęcia, co jest na dnie, ale jedno spojrzenie na krawędź wystarczyło, by wiedział, co czeka go na górze. Dwóch ludzi barona Maupertuisa pędziło za nim po schodach.

Przyspieszył. Cokolwiek było na dnie szybu, nie mogło być tak straszne, jak pewna i powolna śmierć, której oddech czuł na karku.

Miał wrażenie, że przez ostatnie dni głównie biegał albo walczył, i nawet teraz, gdy zbiegał z tupotem po schodach, tak szybko, że poręcz, po której sunął dłonią, niemal go parzyła, zastanawiał się gorączkowo nad tym, co też takiego wie, za co baron Maupertuis gotów jest go zabić. Co dokładnie zamierzał baron i dlaczego Sherlock stał mu na drodze?

Spostrzegł, że dotarł na dół, dopiero gdy potknął się na płaskiej powierzchni. Znajdował się w sali oświetlonej gazowymi lampami. Prowadziły z niej dwa tunele, oba w tym samym kierunku. Łukowate sklepienia wznosiły się na wysokość pięciokrotności wzrostu dorosłego człowieka. Mury były ceglane i, jak zauważył chłopiec, ociekały wilgocią. Sądząc po kierunku, w jakim ciągnęły się tunele, łatwo było domyślić się dlaczego. Biegły prosto pod dnem Tamizy i prawdopodobnie na północnym brzegu kończyły się takim samym szybem.

Gdyby udało mu się dostać na drugą stronę, może uszedłby z życiem.

Chwiejnym krokiem ruszył do lewego tunelu. Szli nim niespiesznie jacyś ludzie, tak jakby spacer pod dnem rzeki nie był niczym niezwykłym. Prowadzono nawet konie, które kroczyły spokojnie, najwyraźniej nieświadome niezliczonych ton wody zaledwie kilka stóp nad ich głowami, oddzielonych od nich kruszącą się ceglana ścianą i tynkiem.

Bywają chwile, kiedy logiczne myślenie staje się przekleństwem. To była właśnie jedna z takich sytuacji. Sherlock wiedział, jakiemu ciśnieniu poddane są ściany tuneli. Jedno małe pęknięcie i chluśnie woda, zatapiając ich wszystkich.

Ale biegł naprzód. Nie miał wyboru.

A może miał? Gdy tak gnał, zauważył, że tunele biegną równolegle i co jakieś dziesięć jardów łączą je mniejsze, boczne. W każdym z tych przejść przedsiębiorczy londyńczycy ustawili stragany, oferując jedzenie, napoje,

ubrania i wszelkiego rodzaju drobiazgi. Gdyby udało mu się prześlizgnąć jednym z tych bocznych tuneli, mógłby wrócić drugim głównym do szybu, dotrzeć do magazynu i odnaleźć Amyusa Crowe'a.

Zboczył na prawo, pod ścianę głównego tunelu, i umknął w pierwsze boczne przejście, jakie się pojawiło. Odwrócił się ku niemu jakiś człowiek, oświetlony lampą naftową zawieszoną na gwoździu wbitym w drewniany stragan. Cere miał szarobiałą i wilgotną, jak stworzenie, które za długo żyło pod ziemią. Owinięty był w stary koc, zeszywniały od brudu, tak że przypominał dziwaczną zbroję. Oczy, składające się - jak się wydawało - wyłącznie z czarnych źrenic, zatrzymały się przez chwilę na Sherlocku.

- Może zegar? - zapytał z nadzieją. - Dobry czasomierz. Zawsze dokładny. Zegar stojący, zegar szafkowy - mam, co tylko pan chce.

- Nie, dziękuję - odparł Sherlock, mijając stragan. Tu, pod Tamizą, czas wydawał się nie mieć znaczenia. Nie było słońca, księżycy, dnia ani nocy. Czas po prostu płynął. Na co komu zegary?

- A może zegarek kieszonkowy? Wtedy nigdy nie będzie pan musiał pytać o godzinę. Młodzieniec taki jak pan mógłby zrobić wrażenie na damach zegarkiem z dewizką. Prawdziwe srebro. Grawerowany. Mógłby pan trzymać w środku portret ukochanej.

Prawdziwe srebro, grawerowane i z pewnością kradzione.

- Dzięki - wydyszał Sherlock. - Ale to mój ojciec ma pieniądze. Będzie za chwilę tędy przechodził. Niech pan

mu powie, że chce zegar, i nie puści go, dopóki któregoś nie kupi.

Handlarz uśmiechnął się, upodabniając się przy tym do drapieżnego skorupiaka ukrytego pod kamieniem w oczekiwaniu na niczego się niespodziewającą ofiarę.

Sherlock wyjrzał zza krawędzi bocznego przejścia w kierunku szybu, przez który zszedł, i zaklął. Tamci dwaj najwyraźniej się rozdzielili. Jeden z nich biegł za nim lewym tunelem, ale drugi ruszył prawym. Przepychał się przez tłum, zerkając podejrzliwie na każdego młodego mężczyznę, tak na wszelki wypadek. Widocznie znali teren znacznie lepiej niż on.

Postanowił poczekać, aż ten drugi minie wejście do bocznego tunelu, po czym pognać z powrotem. Ale jego plan został natychmiast storpedowany przez nagłe zamieszanie gdzieś z tyłu. Odwrócił głowę i zobaczył, jak handlarz próbuje wcisnąć niewielki zegar podróżny w rękę draba, który biegł za Sherlockiem prawym tunelem – tego łysego, z uszami jak kalafior i spłaszczonym nosem. Zbir odepchnął go, klnąc, ale straganiarz znów do niego przydreptał, pod swoim sztywnym z brudu kocem coraz bardziej podobny do skorupiaka z morskich głębin. Z powrotem wcisnął tamtemu zegar, wołając:

- Kup pan dla syna! Kup pan dla syna!

Były bokser odepchnął go znowu, tym razem mocniej, potracając przy tym lampę, która rozbiła się o mur. Nafta bryznęła na koc handlarza. Spadł też na niego wciąż mokry knot i koc stanął w płomieniach.



Tkanina szybko zajęła się ogniem. Handlarz przez chwilę stał nieruchomo, po czym, wymachując ramio - nami, pognął ku lewemu tunelowi. Ludzie cofali się w przerażeniu. Straganiarz wpadł na jakiegoś przechodnia. Ogień przeskoczył na frak mężczyzny, który odsunął się chwiejnie na bok, przyklepując języki ognia, ale udało mu się w efekcie jedynie podpalić falbaniastą suknię idącej z nim kobiety. Koń prowadzony tunelem na widok płomienia spłoszył się i zerwał do biegu, pociągając za sobą właściciela.

Po kilku chwilach w tunelu kłębiły się płomienie. Ogień przeskakiwał szybko na ubrania, od nich zajmowały się pokrycia straganów, a nawet, mimo wilgoci, ich drewniane konstrukcje. Dławiący dym i para wypełniły tunel. Przerażony Sherlock uciekł przed dymem i ogniem do prawego tunelu, którego ogień na szczęście nie dosięgnął.

Ale wciąż był w nim jeden z jego prześladowców.

Włochata łapa zacisnęła się na jego ramieniu.

- Mam cię, gnojku! - warknął mężczyzna. Marynarkę pod pachami miał czarną i wyświeconą od zastarzałych plam potu. Jego ubranie wydzielało nieopisany odór.

Sherlock zaszamotał się, ale na próżno. Palce draba wbiły się mocniej w jego ramię.

- Denny ma z tobą do pogadania - wyszeptał mężczyzna, przysuwając twarz do twarzy Sherlocka. Jego oddech cuchnął, jakby coś zdechło mu w ustach. - I chyba nie spodoba ci się to, co powie.

Sherlock już miał odpowiedzieć, kiedy zauważył, że przy podłodze bocznego tunelu snuje się dym, falując, jakby był żywy. A potem zdał sobie sprawę, że j e s t żywy. To były szczury. Wypłoszone ze swoich dziur i gniazd przez ogień biegly wszystkie w tym samym kierunku - tam, gdzie jest bezpiecznie. Tunelem sunął żywy dywan zmierzwionego, brązowego i czarnego futra. Ludzie i konie cofali się, zdjęci zgrozą, przed masą sierści, zębów i ogonów. Jakieś małe dziecko odciągane przez rodziców przewróciło się i upadło. Szczury zakłębiły się na nim, zakrywając jego buzię.

Drab trzymający Sherlocka za ramię rozluźnił uścisk, kiedy szczury przemykały mu wokół kostek, gryząc go swoimi ząbkami. Przeklinając, zaczął odpędzać je szufłowatymi łapskami. Sherlock wymknął się spod jego rąk i zanurkował w żywą masę, próbując złapać dziecko, które zniknęło pod falą gryzoni. Drobne pazurki deptały po jego ramionach, plecach, nogach i głowie. Czuł obrzydliwy zapach, jakby starej uryny. Z powodzi szczurów wyłoniła się mała dziewczynka, z wytrzeszczonymi oczami i buzią otwartą do krzyku.

- Już dobrze - powiedział Sherlock, oddając ją rodzicom, którzy z daleka kopali i rozganiali szczury. Porwali ją w ramiona i przytulili mocno.

A potem fala szczurów zniknęła, zostało tylko kilku słabych lub kulejących maruderów. Sherlock widział, jak gryzonie pędzą na prawo i na lewo, uciekając przed dymem, który nadal wylewał się z bocznego tunelu. Drab wciąż rozpaczliwie macał rękami swoje ubranie. Sherlock

widział pod nim poruszające się kształty szczurów, które wbiegły mężczyźni do rękawów i nogawek, szukając schronienia, i zostały uwięzione. Sherlock skręcił i już miał pobiec w stronę południowego brzegu rzeki, kiedy przypomniał sobie o dwóch pozostałych zbirach. Z pewnością będą na niego czekać na górze szybu. Nie, najlepiej pójść w drugą stronę. Pobiegł więc tunelem na północ. Były przecież mosty i promy. W końcu zdoła jakoś znaleźć drogę powrotną.

Sherlock pędził tunelem, coraz bardziej oddalając się od ognia. Minęli go umundurowani mężczyźni z wiadrami – straż pożarna odpowiedzialna za bezpieczeństwo. Zignorował ich i biegł dalej.

W końcu dotarł na północny brzeg Tamizy. Szyb ze spiralnymi schodami był bliźniaczą kopią zejścia po stronie południowej. Ostatkiem sił Sherlock powłókł się na górę. Musiał się zatrzymywać na niemal każdym podeście, żeby złapać oddech.

Wyjście z mroku w światło popołudnia było niczym przedostanie się z piekła do raju. Powietrze pachniało słodko, twarz owiewała mu chłodna bryza. Przystanął na chwilę z zamkniętymi oczami, rozkoszując się tym uczuciem. Takie proste, a tak doskonałe.

Dzielnica, w której znajdowało się północne wyjście z tunelu, była bardziej elegancka niż ta przy południowym.

Przy nabrzeżu tłoczyły się statki różnych rozmiarów, a krążący po trapach krzepcy dokerzy załadowywali na nie lub wyładowywali z nich różne towary. Sherlock szedł

brzegiem Tamizy, mijając statki i rozglądając się za mostem, po którym mógłby wrócić na drugą stronę. Wiedział, że nad Tamizą jest wiele mostów, nie wiedział tylko, który z nich znajduje się w pobliżu tuneli i Rotherhithe. Ale jeśli tylko będzie szedł dość długo, na pewno na jakiś trafi. Zakładając oczywiście, że idzie w dobrym kierunku - ku centrum miasta, zamiast oddalając się od niego. Wiedział jednak, że jeśli tunel jest we wschodnim Londynie, a on przeszedł z południa na północ, to gdy skreśli w lewo od wejścia do tunelu, będzie szedł w dobrą stronę. Hotel Sarbonnier, w którym Amyus Crowe wynajął im pokoje, znajdował się tuż nad Tamizą, także na północnym brzegu, więc po pewnym czasie na pewno by na niego trafił. Ale tak naprawdę wolał wrócić, by odnaleźć swego nauczyciela i Mattyego Arnatta.

Po mniej więcej półgodzinie znalazł most: potężną budowlę z dwoma wieżami z szarego kamienia, połączonymi krytym przejazdem, wzdłuż którego ciągnęły się sklepy i stragany. Przeszedł po nim ostrożnie, ignorując nawoływania różnych handlarzy próbujących sprzedać mu wszystko, od całego wołu do naładowanego pistoletu. Londyn wydawał się miejscem niemal nieograniczonych możliwości, jeśli tylko miało się pieniądze.

Na południowym brzegu skreślił znów w lewo i szedł ulicami, drogami, alejkami, a niekiedy szczytem grubych murów, byle tylko zmierzać wciąż w kierunku Rotherhithe, gdzie zgubił Amyusa Crowe'a i Mattyego. Maszty statków wznosiły się wysoko, niczym las smukłych drzew. Kloaczny

odór Tamizy był wszechobecny. Mycroft, który pracował codziennie w takim miejscu, zasługiwał na medal za samo przetrwanie.

Mniej więcej milę od mostu z wieżami Sherlock natrafił na statek załadowywany przez grupę dokerów. Spoceni i źli, starali się nie upuścić do wody wielkich skrzyń wnoszonych po trapach. Rozmiar i kształt skrzyń zaintrygował chłopca, podszedł więc bliżej, trzymając się w cieniu pobliskiego budynku.

Z boku stał krzepki mężczyzna w granatowej marynarce, wpatrując się w plik papierów przypiętych do podkładki. Co jakiś czas coś notował, pośliniwszy najpierw ołówek.

Skrzynie wyglądały identycznie jak te, które Sherlock zobaczył w ogrodach dworu, gdzie go więziono. Rzeczywiście były to ule o bocznych ściankach z listewek. Obok leżały stosy drewnianych tacek, które, jak wcześniej widział, podkładano pod ule. Teraz owinięto je w woskowany papier, ale kształt był rozpoznawalny.

Przypadkiem trafił na operację barona Maupertuisa. To dlatego byli tu Denny i jego banda!

Przysunął się bliżej i obserwował. Kilka uli załadowano na paletę, którą silni dokerzy podnieśli na linach i zaczęli opuszczać do ładowni statku. Bóg jeden wie, dlaczego pszczoły nie atakowały tych ludzi, tak jak tamtych dwóch nieszczęśników w Farnham. Być może baron znał jakiś sposób, by je uspokoić.

Kiedy Sherlock obserwował całą scenę, nagle lina w rogu palety pękła. Paleta przechyliła się i zsunęły się z niej

cztery ule. Obróciły się w locie i roztrzaskały na kawałki o kamienie nabrzeża.

Z boku podbiegli mężczyźni, niosąc blaszane wiadra z przyczepionymi dyszami. Coś w pojemnikach wytwarzało dym, który najwyraźniej działał na pszczoły usypiająco. Nieliczne uciekły, ale większość pozostała w pobliżu rozbitych uli, latając chwiejnie, jakby były pijane. Na resztki uli zarzucono brezentowe płachty, przeciągnięto wszystko po bruku i wrzucono w spieniony nurt Tamizy. Sherlock przypuszczał, że nie da się odtworzyć roztrzaskanego ula.

- Sherlocku?

Jakiś głos cicho wypowiedział jego imię. Rozejrzał się ze swego ukrycia. To nie mógł być Amyus Crowe. Ani Matty Arnatt.

- Sherlocku? - głos był teraz bardziej natarczywy. Chłopiec rozejrzał się i nagle dostrzegł czyjąś postać, ukrytą za stosem skrzynek. Postać kobiety.

- Virginia?

Miała na sobie bryczesy do konnej jazdy i żakiet, a pod nim białą płócienną bluzkę. Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Co ty tu robisz? - syknęła.

Sherlock podbiegł do niej.

- Za długo by opowiadać.

Zmierzyła go wzrokiem.

- Co ty właściwie robiłeś?

Zastanowił się chwilę.

- Pływałem w szczurach - odparł. - Między innymi. A ty?  
Odwróciła wzrok, nagle zakłopotana.

- Nie miałam zamiaru zostać i czekać, podczas gdy wy, mężczyźni, będziecie się dobrze bawić - wyszeptała. - Więc przebrałam się w strój do konnej jazdy i poszłam za wami.

- Przecież popłynęliśmy rzeką. Łodzią. Jakim sposobem nas śledziłaś?

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Popłynęłam drugą łodzią, to chyba oczywiste. Powiedziałam wiosłarzowi, żeby płynął za wami. Trochę wydziwiał, ale kiedy dałam mu pieniądze, które miałam od ojca, zaraz przestał. Kiedy ty obserwowałeś magazyn, ja obserwowałam ciebie. Potem zobaczyłam, że jacyś ludzie idą w tę stronę, a ponieważ wy się nie ruszaliście, poszłam za nimi.

- Nic nie widziałem - rzekł Sherlock słabym głosem.

- Tatuś nauczył mnie wszystkiego, co wie o tropieniu - powiedziała z dumą. - Kiedy ja idę za tobą, „nic” to właśnie to, co powinieneś widzieć. - Urwała, po czym przelotnie dotknęła jego ramienia.

- To, co zrobiłaś, było strasznie niebezpieczne - odparł Sherlock - ale cieszę się, że cię widzę.

Wzruszyła ramionami.

- To chyba lepsze niż czekać w hotelu, aż wrócicie.

- Ale dlaczego poszłaś za mną? Dlaczego nie odszukałaś swojego ojca, żeby powiadomić go, co się stało?

- Szłam za tobą - powiedziała po prostu - a nie za nim. Zgubiłam jego ślad.

- Ale dziewczyna... sama... w East Endzie... - Urwał, nie wiedząc, jak skończyć to zdanie. - Tutaj są bardzo źli ludzie - zaczął w końcu, po czym opowiedział dokładnie, co wydarzyło się w ciągu tego popołudnia, łącznie z morderstwem oraz pożarem w tunelu. Poczował ulgę, mogąc podzielić się tym wszystkim, ale zarazem wiedział, że wciąż jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie i nie ma pojęcia dlaczego.

- Nie można im tego puścić płazem - stwierdziła Virginia, kiedy skończył. - Jesteś tylko chłopcem. Mogli cię zabić.

- Ty też jesteś tylko dziewczyną - zaprotestował słabo Sherlock.

Virginia uśmiechnęła się.

- Nie o to mi chodziło - powiedziała. - Mam na myśli to, że nie powinniśmy być zamieszani w coś takiego.

- Ale jesteśmy - odparł Sherlock. - I cokolwiek się tu dzieje, musimy to powstrzymać.

- Cóż, ja jestem gotowa. Przebrałam się za chłopaka. Znalazłam czapkę - oświadczyła z dumą Virginia, wyciągając zza pleców nakrycie głowy. Była to czapka z daszkiem. Jedną ręką przygładziła włosy, a drugą nasunęła czapkę na głowę. Ze schowanymi włosami i zapiętym zakietem rzeczywiście można było uznać ją za chłopca. Poza tym miała na sobie bryczesy. Dziewczęta noszą sukienki, nie bryczesy. Nikt, kto jej nie znał, nie mógłby mieć żadnych podejrzeń.

- Skoro już tu jesteśmy - rzekł Sherlock - powinniśmy skorzystać z okazji i dowiedzieć się, dokąd płynie ten



statek. - Rozejrzał się za mężczyzną z plikiem papierów, którego widział wcześniej. - Myślę, że ten człowiek tutaj jest dokmistrem albo kimś takim. Możemy go zapytać.

- Tak po prostu?

- Twój ojciec dał mi kilka dobrych wskazówek, jak zadawać pytania.

Wybrawszy odpowiedni moment, kiedy nikt nie patrzył w ich kierunku, Sherlock wyprowadził Virginie z ukrycia i poszli przez nabrzeże do miejsca, gdzie mogli usiąść na murku nad Tamizą. Mrowienie na karku mówiło mu, że ktoś ich obserwuje, ale nie przejmował się tym. Denny, jeśli rzeczywiście złamał mu szczękę, był teraz u lekarza albo chirurga, a pozostali raczej nie zdążyli mu się przyjrzeć na tyle dobrze, by odróżnić go od innych chłopaków, zwłaszcza gdy pokryty był kurzem, sadzą, szcurzą sierścią i pewnie innymi substancjami, nad którymi wolał się nie zastanawiać. Siedzieli na murku jakieś pół godziny, rozmawiając zdawkowo i całkowicie wtapiając się w krajobraz. Dokmistrz - lub kimkolwiek był tamten człowiek - wreszcie skończył sprawy ze statkiem i ruszył w ich kierunku. Kiedy przechodził obok, Sherlock spojrzał na niego i zapytał:

- Hej, szefie. Byłyby jakieś szanse na robotę w dokach?

Mężczyzna spojrzał z pogardą na chuderławą sylwetkę Sherlocka.

- Wróc za pięć lat, synu - powiedział całkiem życzliwie. - Jak nabierzesz trochę mięśni.

- Ale ja muszę się wydostać z Londynu - ciągnął Sherlock prosząco. - Umiem pracować, słowo daję. - Wskazał najbliższy statek. - A może tamci? Chyba brakuje im ludzi.

- Rzeczywiście - odparł dokmistrz. - Stracili dzisiaj trzech. Ale chyba nie mógłbyś zastąpić żadnego z nich, a poza tym ten statek nie zabierze cię daleko od Londynu.

- Dlaczego?

- Płynie tylko do Francji i z powrotem. Szybki obrót, bez postoju dla załogi. - Zaśmiał się. - Jak chcesz wypłynąć na dłużej, zaciągnij się do marynarki. Albo pętaj się tu tak długo, aż przyjdą i sami cię wezmą.

Odszedł, wciąż się śmiejąc.

- Francja - powiedział zaintrygowany Sherlock. - To ciekawe.

- Podobno chcesz dołączyć do załogi - zawołał jakiś głos z dziobu statku. Sherlock skrzywił się, nie patrząc w tamtą stronę, ale głos mówił dalej: - Może wejdziecie na pokład, ty i ta dziewczyna? Tak, wiemy, że to dziewczyna. Obserwujemy was, odkąd tu siedzicie. Co, myśleliście sobie, że jesteście niewidzialni?

Sherlock spojrział ku dokmistrzowi, który zatrzymał się, patrząc na nich. Minę miał współczującą, ale surową. Nie można było liczyć na jego pomoc.

Sherlock wziął Virginie za rękę i pomógł jej wstać.

- Pora na nas - powiedział, lecz kiedy się odwrócił, stwierdził, że otaczają ich luźnym półkolem marynarze i dokerzy, którzy pojawili się jakby znikąd. Chciał pobiec, ciągnąc za sobą Virginie, jednak czyjeś łapska schwyciły go

i oderwały od niej. Szamotał się, lecz łapska trzymały mocno. Widział, że Virginia też walczy, ale potem czyjaś dłoń zacisnęła na jego twarzy kawałek materiału. Tkanina pachniała czymś medycznym, woń była gorzka i ciężka. Niemal się zakrztusił. Potem nagle zaczął zapadać się w bezdenną otchłań koloru oczu Virginii, a po chwili już spał, śniąc koszmary.



Sherlock walczył we śnie z wielkim wężem. Ciało potwora było grube niczym antałek piwa, same mięśnie i kości, a płaski, trójkątny pysk zakończony podobnymi do piły zębami. Walczyli w wodzie, gęstej i ciemnej jak syrop. Wąż wolno owinął się wokół niego i zacisnął mięśnie, próbując złamać chłopcu żebra, ale woda hamowała jego ruchy i Sherlock zdołał rozewrzeć sploty, rozpychając je ramionami i nogami. Lecz kiedy próbował uciec, jego ruchy groteskowo spowalniała woda, a wąż ponownie owijał się wokół niego i stopniowo wzmacniał uścisk. I tak to trwało, on w nieskończoność usiłował się wyrwać, a wąż niezmiernie walczył, by go złapać.

Kiedy wreszcie się obudził, miał poczucie, że minęło dużo czasu. Zaszło mu w gardle i ustach, a gdy dotknął językiem podniebienia, język mu się przykleił. Był też bardzo głodny.

Po jakimś czasie zdołał usiąść bez uczucia mdłości. To, co zobaczył, sprawiło, że na chwilę zupełnie zapomniał o głodzie, pragnieniu i ucisku w żołądku.

Leżał w łóżu z czterema kolumnkami i haftowanym baldachimem. Poduszki były miękkie, puchowe, a pokój wyłożony dębową boazerią. Parkiet pokrywały dywany o misternych wzorach.

Był to ten sam pokój, w którym się obudził, kiedy stracił przytomność po walce na pięści na jarmarku tuż pod Farnham.

Ale jak to możliwe? Baron Maupertuis porzucił przecież tamten dwór i wszystko z niego zabrał. Chyba nie mógł wrócić tak szybko? I po co miałyby to robić?

Sherlock zsunął się z łóżka i wstał. Przesunął ręką po twarzy i zdziwił się, napotkawszy pod palcami coś suchego koło nosa i ust. Potarł to coś, po czym przyjrzał się palcom. Pokryte były czarnymi włókienkami. Potarł opuszki o siebie i stwierdził ze zdziwieniem, że włókienka są jakby lepkie.

Przypomniał sobie szmatę, którą przyciśnięto mu do ust. Jakaś substancja chemiczna? Może usypiający narkotyk? Bardzo możliwe.

A co z Virginią? Nagła fala gniewu sprawiła, że otrząsnął się z resztek snu i mdłości. Co się z nią stało? Jeśli ją skrzywdzili, to...

To co zrobi? Zabije ich? Chyba nie bardzo się do tego nadawał w tej chwili.

Musiał zebrać informacje. Dowiedzieć się, co się stało i dlaczego. Tylko wtedy będzie mógł coś poradzić.

Sherlock podszedł do zasłon i odsunął je, spodziewając się zobaczyć suchą, czerwoną ziemię i setki uli, które

widział na zewnątrz ostatnim razem. To, co ujrzał, sprawiło, że aż cofnął się ze zdziwienia.

W niedużej odległości od domu szara plaża ustępowała miejsca spienionym falom, widocznym aż po prosty jak linijka horyzont. Niebo miało kolor jasnoblękitny. Gdzieś w oddali widać było żagle.

Zamknął na chwilę oczy i zastanowił się. Czy ma halucynacje? To zapewne możliwe, ale sen o wężu i gęstej jak syrop wodzie łączył się z poczuciem dziwności i absurdu, dzięki któremu zdawał sobie sprawę, że śni, podczas gdy teraz wszystko było wyraźne i racjonalne.

A może widok za oknem to jedynie doskonale wykonane malowidło, dające złudzenie plaży i nieba za pomocą barwników na płótnie? Znowu otworzył oczy i popatrzył uważnie. Bardzo daleko, ponad szczytami fal, krążyły niewielkie sylwetki w kształcie odwróconej litery „w” – morskie ptaki unoszące się na prądach powietrza. Tego nie dałoby się namalować. A więc to wszystko na zewnątrz było prawdziwe.

Ponieważ Farnham nie leżało nad morzem, logiczny wniosek był taki, że Sherlock nie znajdował się już ani w Farnham, ani najprawdopodobniej w Anglii. Dokmistrz powiedział, że statek płynie do Francji. A zatem to musi być Francja. A pokój? Może po prostu baron Maupertuis miał swoje przyzwyczajenia i lubił znajome otoczenie, gdziekolwiek się znajdował. Zakładając, że dwór w Farnham nie był jego siedzibą rodową, zapewne zmienił jego wystrój tak, by przypominał mu miejsce, które uważał

za dom. A którym mógł być ten francuski... *château*? Jak oni to nazywają?

Skrycie zadowolony, że domyślił się czegoś, co, jak sądził, miało go zdezorientować i wytrącić z równowagi, nie odwrócił się, kiedy szcęknał zamek w drzwiach sypialni. Wiedział już, kogo w nich zobaczy - dwóch lokajów w czarnych bryczesach, czarnych pończochach, czarnych kamizelkach i krótkich czarnych surdutach, z czarnymi maskami na twarzach. Tak samo jak poprzednim razem. Policzył w myślach do dziesięciu, po czym się odwrócił. Po części miał rację - dwaj lokaje stojący w drzwiach byli ubrani tak, jak zapamiętał - ale pośrodku stał trzeci mężczyzna, tak potężny, że niemal wypełniał sobą wejście. Ramiona miał grube jak normalny człowiek nogi, nogi zaś jak pnie drzewa. Jego łapska przypominały szufle, ale uwagę zwracała przede wszystkim głowa. Był łysy, lecz jego czaszkę pokrywały tak gęsto wijące się brązowe blizny, że na pierwszy rzut oka wyglądał, jakby miał czuprynę. Nosił długi, brązowy skórzany płaszcz i workowatą, szarą marynarkę, a krój płaszcza w połączeniu z jego wielkim cielskiem sprawiał, że wydawał się jeszcze potężniejszy.

- Baron chce cię widzieć - powiedział głosem, który brzmiał jak zgrzyt żaren.

- A jeśli ja nie chcę się widzieć z Baronem? - zapytał Sherlock spokojnie.

Dwaj lokaje spojrzeli po sobie, ale człowiek z bliznami tylko lekko potrząsnął głową.

- Życzenie Barona jest rozkazem. Liczy się tylko jego wola.

- A jeśli odmówię pójścia z wami?

- Wtedy cię zaniesiemy.

Sherlock wiedział, że to dziecinne, ale chciał dać im do zrozumienia, że nie jest tylko bezwolnym więźniem i że ma własne zdanie.

- A jeśli przytrzymam się framugi i nie puszczę?

- Wtedy połamiemy ci palce, a potem i tak cię zaniesiemy.

- Mężczyzna uśmiechnął się, ale nie był to radosny uśmiech, raczej obnażenie zębów, jak u tygrysa szykującego się do skoku. - Baronowi potrzeba z ciebie tylko tyle, żebyś zdołał odpowiadać na pytania. To znaczy głowy, żeby twój mózg mógł myśleć, a usta mówić, oraz korpusu z płucami, żeby utrzymywały cię przy życiu. Bez całej reszty można się obejść. Twój wybór.

Sherlock zwlekał jeszcze chwilę, chcąc im pokazać, że ma wybór i z niego korzysta, i postąpił ku drzwiom. Facet z bliznami nie ruszył się z miejsca aż do momentu, kiedy Sherlock niemal na niego wpadł, po czym obrócił się bokiem, tylko tyle, by chłopiec mógł wyjść.

- Nazywam się Surd - powiedział, gdy wraz z lokajami szedł za Sherlockiem przez hall. - Jestem kamerdynerem i zaufanym Barona. Spełniam wszystkie jego życzenia. Jeśli chce kieliszek madery, to mu jej nalewam. Jeśli zechce twojej głowy na talerzu, moim zadaniem będzie mu ją dostarczyć. Ani mnie to ziębi, ani grzeje. Po prostu praca. Rozumiesz?



- Rozumiem - odparł Sherlock. - To pan trzymał bicz ostatnim razem, kiedy poznałem Barona, prawda? Stał pan w ciemności.

- To tylko praca - powtórzył człowiek z bliznami. - Ale dobrze wykonana praca cieszy.

Hall na piętrze był dokładnie taki sam, jaki zapamiętał w Farnham, podobnie jak schody wiodące do hallu głównego. Sherlock musiał powstrzymać się od rozglądania za śladami kopyt końskich tam, gdzie uciekali z Mattym. To był inny dom, tylko wyglądał jak tamten.

Virginia stała przed pokojem, w którym, jak pamiętał Sherlock, powinien na nich czekać baron Maupertuis. Za nią stało dwóch zamaskowanych lokajów, tuż obok dużej komody z drewna tekowego.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Miałam dziwne sny - powiedziała. - Jechałam na Sandii, ale nie mogłam nad nim zapanować. Jechaliśmy i jechaliśmy przez krajobraz, który rozpływał mi się przed oczami. - Wzdrygnęła się, otrząsając z tego wspomnienia. - A ty?

- Węże - odparł lakonicznie.

- Czym oni nas uspili? Wciąż mam mętlik w głowie.

- Myślę, że to było laudanum - morfina rozpuszczona w alkoholu. Moi rodzice dawali to siostrze. Poznaje zapach. Wytwarzane jest z maków.

- Z maków? - Roześmiała się. - Nigdy nie lubiłam maków. To makabryczne kwiaty.

Pan Surd przepchnął się przed nich i otworzył drzwi do pokoju, w którym czekał Baron. Dał im znak, że mają wejść.

Pokój był pogrążony w ciemności, tak jak przedtem. Przy jednym końcu potężnego stołu stały dwa krzesła, drugi tonął w półmroku. Na oknach wisiały ciężkie, czarne zasłony, niedopuszczające światła słonecznego, a nieliczne widoczne dla Sherlocka fragmenty ścian pokrywały miecze i tarcze. Pod jedną ze ścian zauważył kompletną zbroję trzymającą miecz, ustawioną tak, jakby wewnątrz był rycerz.

Pan Surd pokazał im, że mają usiąść. Sherlock chciał odmówić, ale spojrzenie kamerdynera mówiło wyraźnie, że oczekuje tej odmowy, a nawet na nią liczy, żeby móc zrobić coś bolesnego, co pozostawi trwałe ślady i zmusi Sherlocka do uległości. Usiadł więc, a Virginia usiadła obok niego. Pan Surd i czterej lokajowie odeszli w półmrok na drugim końcu pokoju.

Przez chwilę nie było słyhać żadnego dźwięku oprócz słabego trzeszczenia napiętych lin i drewna, które Sherlock słyszał poprzednim razem.

Potem dobiegł ich szept przypominający szelest suchych liści na wietrze:

- Wciąż stajesz mi na drodze, a jesteś tylko dzieckiem. Z twego powodu musiałem opuścić jeden z moich domów.

- Chyba lubi pan, kiedy pana domy są identycznie zbudowane i urządzone - odparł Sherlock. - Dlaczego? Lubi pan, kiedy wszystko jest takie samo?

Na chwilę zapadło milczenie. Sherlock spodziewał się w każdej chwili końcówki bicza, który uderzy z ciemności, rozcinając ciało, ale zamiast tego głos odpowiedział:

- Kiedy znajduję coś, co mi się podoba, nie widzę powodu, dla którego miałbym znosić cokolwiek innego.

Układ i wyposażenie domu, system rządów... Kiedy odkryję coś, co działa, chcę, żeby to powielano, tak by wszystko było takie samo, gdziekolwiek się znajdę. Znajduję w tym... pociechę.

- To dlatego pańscy lokaje noszą czarne maski - ponieważ w ten sposób może pan uważać, że to ci sami ludzie, gdziekolwiek pan jest.

- Bardzo przenikliwa uwaga.

- A gdzie jesteście w tej chwili - we Francji?

- Rozpoznałeś krajobraz? Tak, ten dom jest we Francji. Oboje zostaliście uśpieni na czas rejsu, a potem jazdy powozem.

- A co z panem Surdem? - zapytał Sherlock. - On jest tylko jeden.

- Pan Surd jest niezastąpiony. Znajduje się wszędzie tam, gdzie ja.

- To pan jest baronem Maupertuisem, prawda?

- Znów mnie zaskakujesz. Nie sądziłem, że moje nazwisko jest powszechnie znane.

- Ja... tylko połączyłem fakty.

- Bardzo bystry chłopak. Wyrazy uznania dla zdolności dedukcyjnych. A co jeszcze wynikło z twojej układanki?

Virginia ostrzegawczo dotknęła jego dłoni, ale Sherlocka rozpierała duma z przeprowadzonego śledztwa, odkrytych faktów, intrygi, która zaczynała układać się w całość. Poza tym powiedział sobie, że baron Maupertuis powinien się dowiedzieć, iż jego plany przestały być tajemnicą.

- Wiem, że hoduje pan pszczoły i że jest to zagraniczny gatunek, bardziej agresywny niż wszystkie pszczoły europejskie. To znaczy, że nie trzyma ich pan dla miodu, ale z powodu żądeł. Chce pan, żeby raniły albo zabijały ludzi. - Jego umysł pracował błyskawicznie, układając z faktów logiczne ciągi, których wcześniej ledwie się domyślał. Amyus Crowe chciał go uczyć, szkolić, ale baron Maupertuis traktował go poważnie. Słuchał jego domysłów, tak jakby naprawdę miały znaczenie, a nie jak teoretycznych odpowiedzi na wydumane problemy, takie jak z królikami i lisami. - Ma pan także fabrykę produkującą ubrania, przypuszczam, że mundury dla wojska. - Urwał na chwilę. Coś było tuż poza jego zasięgiem, jakiś doniosły logiczny wniosek, do którego brakowało mu jednego ostatniego kroku. - Pański człowiek - nazywał się chyba Wint - ukradł jakieś ubrania i trzymał je u siebie w domu. Został zaatakowany przez pszczoły. Drugi człowiek, który pracował u mego stryja jako ogrodnik, także wcześniej szył ubrania w Farnham - zapewne dla pana. On także zginął przez pszczoły. Czy przywłaszczył sobie jakieś ubrania? Ukradł je panu? - Mgła przesłaniająca ostatni logiczny wniosek rozwiewała się, triumfalnie ciągnął więc dalej: - A więc coś w tych ubraniach powoduje, że pszczoły je

atakują. Kiedy są w skrzyniach czy pudłach, nic się nie dzieje, ale kiedy ludzie je włożą... przyciągają pszczoły, które żądają każdego, kto ma na sobie takie ubranie.

Palce Virginii zaciskały się teraz mocno na jego dłoni. Sherlock ją ignorował.

- Ludzie w magazynie w Rotherhithe rozmawiali o wysłaniu skrzyń statkiem do Ripon, Colchester i Aldershot. Wszędzie tam są bazy wojskowe. A zatem te ubrania to zapewne mundury. Co pan zrobił - uzyskał pan rządowe zamówienie na dostawę mundurów dla Armii Brytyjskiej? Żołnierze wkładają nowe mundury, może w ramach przygotowań do rejsu do Indii, a wtedy... - Sherlock ledwo mógł nadążyć za własnymi myślami, kiedy nagle olśniło go. Ojciec. Aldershot. Indie. Mundury. - Wtedy pan wypuszcza pszczoły, a one atakują wszystkich szeregowców, podoficerów i oficerów Armii Brytyjskiej - wyszeptał, przerażony tym, do czego doprowadziło go jego rozumowanie.

- Tysiące ofiar, zabitych w sposób tajemniczy i nieuchronny - usłyszał szept barona z ciemności na drugim końcu stołu. - Osłabiający morale cios w samo serce Imperium Brytyjskiego, zadany przez skromną pszczołkę - dostarczycielkę miodu na tysiące popołudniowych niedzielnych herbatek. Ironia tego faktu jest... wręcz rozkoszna.

- Ale dlaczego? - Sherlock miał przed oczami obraz swego ojca z opuchniętą twarzą pokrytą bąblami, który

upada, z trudem chwytając powietrze, podczas gdy pszczoły żądłą go bezlitośnie.

- Dlaczego? - Baron wciąż mówił szeptem, ale w jego głosie pojawiła się nieobecna dotąd nuta bezwzględności. - Dlaczego? Ponieważ twój żałosny kraik ma złudzenie wielkości, dzięki któremu podbił połowę świata. Trudno byłoby znaleźć kraj mniejszy niż Anglia. Jesteście zaledwie kropką na mapie. Na żadnym globusie na świecie kartografowie nie potrafią wpisać słowa „Anglia” tak, żeby zmieściło się w obrysie wyspy. Mimo to macie dość arogancji, dość zuchwałości, dość urojeń o potędze, by uwierzyć, że świat czeka tylko na wasze dobrotliwe rządy. A świat odsłonił brzuch i pozwolił wam na to! Zdumiewające! Ale są ludzie, wojskowi, którzy dadzą odpór waszym rozszalałym drapieżnym instynktom. Granice Imperium Brytyjskiego muszą się cofnąć, choćby po to, by inne kraje zyskały nieco przestrzeni życiowej. Ja... reprezentuję grupę tych ludzi. Niemiec, Francuz, Amerykanin, Rosjanin - zebraliśmy się po to, by ukrócić wasze apetyty. Wy nie spoczniecie, póki czerwień Imperium Brytyjskiego nie rozleje się po całej mapie, a my nie spoczniemy, póki nie zostanie z tej mapy wymazana, prócz waszej żałosnej wysepki. - Urwał. - I może jeszcze Hondurasu Brytyjskiego, w Ameryce Południowej. Honduras możecie sobie zatrzymać.

- A więc zamierza pan jednym ciosem zniszczyć Armię Brytyjską?

- Może nie jednym ciosem, ale szerzącą się zarazą, dotykającą jedynie żołnierzy. Pszczoły, jak już wiesz, są niezwykle agresywne i terytorialne. Zostały specjalnie wyhodowane jako agresywny gatunek - a rozmnażają się szybko. Substancja, którą nasączyliśmy mundury, przeniknie do ciał żołnierzy i będą wydzielać ją wraz z potem. Kiedy pszczoły ją wyczują, zaatakują natychmiast.

Wypuszczone w nowym miejscu w ciągu kilku miesięcy przedostaną się przez Wielką Brytanię, po drodze żądłąc wszystkich żołnierzy. Wyhodujemy ich więcej w kryjówkach w całej Europie, by posłużyły do następnych ataków. Przerazenie, strach, czysta panika będą naszymi najlepszymi sojusznikami. Tajemnicza plaga atakująca żołnierzy. A Brytania spadnie na pozycję, na jaką zasługuje: trzeciorzędnego państewka.

- Ale co z tymi dwoma ludźmi, którzy zginęli? Pański pracownik i ogrodnik mojego stryja? Oni chyba nie byli częścią pańskiego planu?

Szelest i skrzypienie w półmroku, tak jakby baron Maupertuis wzruszał ramionami. Albo jakby ktoś go do tego zmusił.

- Wiedziałem, że niektórzy pracownicy kradną części mundurów, ale pozwalałem na to. To był mój błąd. Jeden z uli został przewrócony przez konia, a pszczoły uciekły. Rozszalały się, wściekły, a kiedy wyczuły substancję na ukradzionych mundurach, zaatakowały. Pan Surd musiał złapać królową i zwabić pozostałe pszczoły z powrotem. Bardzo ryzykowne zadanie.

- Po prostu praca, sir - odezwał się pan Surd z końca pokoju.

Chociaż Sherlock znał już wcześniej niemal wszystkie elementy planu, jego czysta beczelność aż zaparła mu dech. Plan budził przerażenie, a zarazem chłopiec nie mógł dopatrzeć się w nim żadnych oczywistych błędów. Jeśli pszczoły będą tak agresywne, jak mówił Maupertuis, i jeśli mundury zostaną rozprowdzone tak skutecznie, jak zamierzał, plan zadziała.

- Mój brat pana powstrzyma - powiedział Sherlock spokojnie. To była jego ostatnia nadzieja.

- Twój brat?

- Mój brat.

Sherlock usłyszał w ciemnościach szept, brzmiący jak chropawy głos pana Surda.

- Ach - zaszeleścił baron Maupertuis. - Nazywasz się Sherlock Holmes. Twój brat to zatem Mycroft Holmes. Bystry człowiek. Już wcześniej zauważyliśmy, że mógłby być dla nas interesujący. Wygląda na to, że jesteś do niego podobny.

- Wysłałem mu już telegram z wiadomością o tym, co się dzieje - powiedział Sherlock z takim spokojem, na jaki tylko mógł się zdobyć.

- Nie - poprawił go baron. - Nie wysłałeś. Gdybyś to zrobił, nie musiałbyś śledzić mojej łodzi. Mycroft Holmes wysłałby własnych agentów.

Własnych agentów? Do Sherlocka nagle dotarła skala możliwości jego brata.



Z końca pokoju znów popłynął szept:

- Być może niezależnie od tego będziemy musieli poradzić sobie z twoim bratem - mówił baron Maupertuis. - Jeśli jest tak inteligentny jak ty, może przejrzeć nasze plany i próbować je udaremnić. Zginiecie w ciągu jednego tygodnia, być może tego samego dnia. O tej samej godzinie, jeśli zdołam to zorganizować, bo cenię sobie porządek.

Poza tym oszczędzi to waszym rodziców kosztów dwóch pogrzebów.

Sherlock nagle zdał sobie sprawę z ceny własnej arogancji. Dumnie przedstawiając cały zdemaskowany plan i popisując się inteligencją przed baronem, a co gorsza, przechwalając się wpływowym bratem, skazał ich obu na śmierć.

- Sądzę, że powiedziałeś mi wszystko, co wiesz - ciągnął Maupertuis. - I jestem zdumiony, że udało ci się ustalić tak dużo. W przyszłości musimy działać w jeszcze większym sekrecie. Za to przynajmniej jestem ci wdzięczny.

- Dlaczego Londyn? - zapytał szybko Sherlock, czując, że rozmowa ma się ku końcowi i że jego - oraz Virginie - czeka niechybny kres. - Dlaczego przewiózł pan ule do Londynu, zamiast na przykład do Portsmouth albo Southampton?

- Twoja ucieczka zmusiła nas do wyjazdu wcześniej, niż planowaliśmy - wyszeptał Maupertuis. - W Portsmouth ani w Southampton nie było wolnego nabrzeża, a statek czekał w Londynie, aż damy sygnał do wypłynięcia. Zabieranie uli do Londynu było nieopłacalne, ale konieczne. Na tym twoja użyteczność dla mnie się kończy - twoja i dziewczyny, która

siedzi obok ciebie. Miałem zamiar zagrozić jej śmiercią, żeby wymusić na tobie zeznania, ale obyło się bez użycia siły. Wręcz przeciwnie – trudno cię zmusić, byś zamilknął.

Sherlock odwrócił się do Virginii, czując, jak twarz pali go ze wstydu, ale dziewczyna uśmiechała się do niego.

- Uniknęłam tortur - wyszeptała. - Dziękuję.

- Bardzo proszę - odparł odruchowo Sherlock, niezupełnie pewien, czy ma to uważać za swoją zasługę, czy nie.

- Panie Surd - odezwał się w ciemnościach baron Maupertuis. Jego szept docierał do każdego zakamarka pokoju. Miał głos przywykły do rozkazywania. - Musimy przyspieszyć działania. Wydaj rozkazy. Wypuść pszczoły z fortu. Zanim przelecą przez morze i dostaną się w głąb wyspy, mundury zostaną rozproszone. A wtedy zapanuje chaos!



Mrożące krew w żyłach słowa barona rozbrzmiały echem w jadalni. Coś zaszeleściło w ciemnościach, kiedy służący odszedł wypełnić rozkazy. Sherlock zerknął na Virginie. Była blada, ale jej usta zaciskały się w zdecydowaną kreskę. Uścisnął jej dłoń. Uśmiechnęła się do niego lekko.

Determinacja dziewczyny dodała Sherlockowi odwagi.

- To wielce ambitny plan - powiedział w ciemność. - Ale nie może się powieść.

Przez chwilę panowała cisza, przerywana tylko dziwnym skrzypieniem, które Sherlock zapamiętał z domu w Farnham. Przypominało odgłos naciąganego przez wiatr olinowania statku, podzucanego przez fale.

- Wydajesz się bardzo pewny siebie - odparł baron. - Jak na chłopca.

- Niech pan pomyśli. To, że za pańską sprawą zginęło dwóch ludzi, nie oznacza, że plan jest niezawodny. Na przykład ta substancja może zostać na różne sposoby spłukana z mundurów. Niech pan pamięta, że w Anglii pada. I to często. Niektórzy żołnierze oddadzą ubrania do pralni, zanim dopadną ich pszczoły - zwłaszcza oficerowie.

- Rozpędzał się, dostrzegając coraz to nowe powody, dla których szeroko zakrojony plan Maupertuisa był skazany na klęskę. - Niektórzy żołnierze będą woleli swoje stare mundury, więc je zatrzymają albo każą krawcowi uszyć sobie nowe, zamiast nosić te, które pan dostarczy. Nie wiem, jak jest we Francji, Niemczech czy Rosji, ale ludzie w Anglii nie lubią, kiedy im się mówi, co mają robić albo w co się ubrać. Zwykle omijają tego rodzaju rozkazy.

- A same pszczoły? - wtrąciła się nieoczekiwanie Virginia.  
- Ile z nich naprawdę dotrze na wyspę? Ile pszczół potrzeba, żeby dotarły do wszystkich miejsc, gdzie będzie stacjonowała armia? Czy ma pan ich wystarczająco dużo? A jeśli nagle się ochłodzi i pszczoły zginą albo coś w Anglii na nie zapoluje, albo po prostu rój zatrzyma się gdzieś i stanie się częścią miejscowej przyrody? Być może zaczną się krzyżować z pszczołami brytyjskimi i stracą agresję, na której opiera się cały pański plan.

- Wszystkie te czynniki zostały wzięte pod uwagę - odparł baron swoim suchym jak pył głosem, ale Sherlock po raz pierwszy usłyszał w nim nutę niepewności. - A nawet jeśli część mundurów zostanie wyprana, a część pszczół zginie, co z tego? Wiele ataków i tak się powiedzie. Będą masowe ofiary. Armia Brytyjska zostanie sparaliżowana strachem. Sparaliżowana.

- Pan chyba nie rozumie, jak myślą Anglicy, prawda? - powiedział z przekąsem Sherlock. Przypomniał sobie to, czego dowiedział się na lekcjach w szkole, o czym czytał w gazetach, zwinięty na fotelu w gabinecie ojca, albo co

słyszał od Mycrofta. - Słyszał pan kiedykolwiek o szarży Lekkiej Brygady?

Skrzypienie po drugiej stronie stołu gwałtownie ucichło. Sherlock poczuł nagle, że wiele uszu słucha uważnie jego słów.

- O tak - wysyczał baron. - Słyszałem o szarży Lekkiej Brygady.

- W tysiąc osiemset pięćdziesiątym czwartym roku - ciągnął mimo to Sherlock - podczas wojny krymskiej żołnierze czwartego i trzynastego Pułku Dragonów, siedemnastego Pułku Lansjerów oraz ósmego i jedenastego Pułku Kawalerii dostali rozkaz ataku na wojska rosyjskie podczas bitwy pod Bałakławą. Atakowali, jadąc zboczem doliny, z działami rosyjskimi po obu stronach i przed sobą. Mimo to wykonywali rozkazy, bez paniki i bez buntu. Nie mówię, że bezmyślne słuchanie rozkazów to coś dobrego, ale dyscyplina to żelazny kręgosłup każdego brytyjskiego żołnierza. Wiem coś o tym - mój ojciec jest oficerem. Oni nigdy nie wpadają w panikę. Absolutnie nigdy. Nawet gdyby zaczęli umierać ludzie, uznano by to za epidemię ospy lub cholery. Nie rozumie pan? Nie zwróciliby na to uwagi. Tak właśnie działają Brytyjczycy. Dlatego właśnie Imperium Brytyjskie jest tak rozległe i silne. Po prostu nie zwracamy uwagi na rzeczy, które się nam nie podobają.

- Pięknie powiedziane - rzekł baron - ale mało wiarygodne. Oczywiście chciałbyś wierzyć, że twoje Imperium jest zbudowane na solidnych fundamentach, ale się mylisz. Fundamenty przegniły, a cała budowla zawali

się, jeśli tylko dość mocno ją popchnąć. Wierzysz, że jutro będzie takie samo jak wczoraj, ale nic z tego. Świat się zmieni, a układ sił przechyli się na korzyść moich sojuszników w Komnacie Paradoru.

Komnata Paradoru? Co to takiego? Podczas gdy Maupertuis mówił dalej, Sherlock zapamiętał tę chyba ważną nazwę, która wymknęła się baronowi, a którą zapewne chciałby poznać Mycroft.

Zakładając, że chłopiec jeszcze kiedykolwiek go zobaczy.

- Chciałbyś wierzyć, że twój brat nadal będzie ważną figurą w brytyjskim rządzie - ciągnął Maupertuis. - Ale to się zmieni. Podobnie jak reszta jego kolegów zostanie zmieciony falą historii. Kiedy ten przemądrzały kraik stanie się zaledwie prowincją europejskiego supermocarstwa, które będzie mogło rywalizować z Ameryką rozmiarem i siłą, Mycroft Holmes i jemu podobni będą zbędni. Niepotrzebni w nowym porządku świata. Zdani na łaskę gilotyny albo garoty. Nie przetrwają.

Głos Maupertuisa przeszedł w cichy syk, tak bardzo poniosła go jadowita diatryba przeciwko krajowi i ludziom, których najwyraźniej nienawidził. Dlaczego tak bardzo nie znosił Wielkiej Brytanii? Sherlock zaczął się zastanawiać, co lepiej zadziała: wyważone rozumowanie czy też sprowokowanie barona do jeszcze gwałtowniejszego wybuchu. Tak czy owak, rezultat był niepewny. Całkiem możliwe, że za chwilę oboje zginą.

- On oszalał - powiedziała Virginia cicho, lecz stanowczo.  
- To czyste szaleństwo. Jego plan to wariactwo i nie może

się powieść. Czy chce tego, czy nie, Brytania jest światowym mocarstwem i on tego nie zmieni.

- Zdumiewa mnie - zasyczał baron - że tak stanowczo bronisz tego kraju.

Virginia spojrzała w jego kierunku, zaskoczona, że nagle włączył ją w tok swoich myśli.

- Dlaczego pana to dziwi? - zapytała. - Nie lubię, gdy giną niewinni ludzie. Czy to takie dziwne?

- Twój kraj był związany z tym krajem przez ponad dwieście lat - zauważył baron. - O wszystkim w Ameryce decydował Londyn. Byliście tylko kolejnym hrabstwem, jak Hampshire albo Dorset, tylko większym i bardziej oddalonym. Musieliście zbuntować się przeciwko rządowi brytyjskim i zrzucić jarzmo Westminsteru.

- I zrobiliśmy to w uczciwej walce - odparła. - A nie knując i spiskując w ukryciu. Jeśli będziemy toczyć wojny, to właśnie takie - jawne i uczciwe. Powinny być jakieś zasady prowadzenia wojen, tak jak w boksie.

- Naiwna - mruknął baron. - Taka naiwna. I zbędna. Zginiesz razem z tym chłopakiem, nim zdążysz się dowiedzieć, że twój bezcenny porządek świata został obalony.

- Lubi pan działać w cieniu, prawda? - ciągnęła Virginia. Ton zdecydowania w jej głosie sprawił, że Sherlock aż zerknął na nią, zastanawiając się, co zamierza.

- Ten, kto chce wygrać walkę, uderza z ciemności i skrywa się w niej na powrót, tak by większy i silniejszy od niego wróg nie wiedział, gdzie zadać cios - wyszeptał

baron. - Taka będzie sztuka wojny w przyszłości. Tak właśnie mniejszy przeciwnik może pokonać dużo większego od siebie. Przebiegłością.

- Woli pan cień? Zobaczmy więc, jak spodoba się panu światło! - zawołała i zerwała się na nogi. Sherlock wyczuł gwałtowny ruch w zaciemnionym końcu pokoju, kiedy pan Surd przygotowywał się do ciosu swoim biczem zakończonym metalem, ale Virginia rzuciła się w bok i bicz przeciął oparcie krzesła, na którym siedziała przed chwilą. Chwyciła za ciężkie aksamitne zasłony i pociągnęła mocno. Sherlock usłyszał, jak drze się aksamit zrywany z karnisza, po czym, z odgłosem przypominającym burzę w oddali, cała płachta opadła na ziemię niczym powolna lawina miękkiej materii, a pokój zalało jaskrawe światło.

Odziani na czarno zamaskowani służący w pokoju zasłonili oczy, ale Sherlock utkwił wzrok w baronie siedzącym w za dużym dla niego fotelu u drugiego krańca stołu. Był to rzeczywiście ten sam różowooki, siwy mężczyzna, którego widział jadącego powozem w Farnham. Mrużył oczy przed słońcem, zakrywając twarz jedną dłonią, podczas gdy drugą podniósł okulary o przyciemnianych szklach i przesłonił nimi wrażliwe oczy. Ramiona miał chude i pokrzywione, niczym gałęzie starego dębu, głowa opadała mu na bok. Jego strój przypominał wojskowy mundur: czarny, ze złotymi haftami na piersi i mankietach. Na czole miał coś jakby drewniany stelaż. Nagle podniósł głowę i jego oczy zza ciemnych szkieł wpatrzyły się w Sherlocka tak intensywnie, że niemal poczuł ich żar.



Chłopiec zauważył, że od stelaża prowadzą w górę sznurki, które napięły się w tej samej chwili, kiedy Maupertuis podniósł głowę.

Pan Surd stał za baronem. Widoczne w świetle sine blizny na jego głowie przypominały gniazdo robaków. Wpatrywał się w Sherlocka i Virginie morderczym wzrokiem, unosząc bicz.

- Nie! - syknął baron. - Oni należą do mnie!

Sherlock nie mógł oderwać wzroku od pokręconego ciała barona Maupertuisa. Od mniejszych drewnianych ramek na nadgarstkach i łokciach barona także prowadziły w górę sznurki, większy drewniany stelaż otaczał jego pierś. Kiedy Sherlock podążył wzrokiem ku sufitowi, zdał sobie sprawę, że wszystkie linki przytwierdzone były do potężnej drewnianej belki, przypominającej szubienicę, która wisiała poziomo nad baronem. Bliższy Sherlocka kraniec belki łączył się z mniejszą belką poprzeczną, z metalowymi hakami i bloczkami na maleńkich osiach. Przez nie przechodziły liny, których końce trzymali zamaskowani, ubrani na czarno służący. Lin było może dwadzieścia lub trzydzieści, a wszystkie łączyły się z różnymi częściami ciała barona. Sherlock przyglądał się z niedowierzaniem, jak niektórzy służący ciągną mocno za swoje liny, podczas gdy inni puszczają je luźno albo zbierają luz, nie pociągając za nie jednak. Kiedy to robili, baron podniósł się nagle.

Był marionetką: ludzką marionetką, której ruchami kierowali inni.

- Groteskowe, prawda? - syknął baron. Usta i oczy były chyba jedynymi częściami ciała, którymi mógł poruszać samodzielnie. Jego prawa dłoń podniosła się i wskazała na ciało, ale tylko dzięki kolejnym linkom przymocowanym do nadgarstka, łokcia i barku oraz cieńszym sznurkom przywiązanych do pierścieni na knykciach. Ręka poruszała się, ale nie dlatego, że Baron tak chciał, lecz dzięki temu, że ubrani na czarno lokaje przewidywali, jaki gest by wykonał, gdyby mógł. - Oto, co otrzymałem od Imperium Brytyjskiego. Wspomniałeś, chłopcze, o szarzy Lekkiej Brygady. Morderczy, bezcelowy popis wynikający z niezrozumienia rozkazów na wojnie, do której nigdy nie powinno było dojść. Byłem tam, owego pochmurnego dnia, z hrabią Lucanem. Pełniłem funkcję oficera łącznikowego z francuską kawalerią, która stała na jego lewej flance. Widziałem rozkazy, kiedy dotarły od lorda Raglana. Wiedziałem, że są źle sformułowane i że Lucan błędnie je rozumiał.

- Co się stało? - zapytał Sherlock.

- Mój wierzchowiec dostał się między szarżujące oddziały i spłoszył się od huku dział. Zostałem wyrzucony z siodła i spadłem na ziemię pod kopyta setek brytyjskich koni. Przegalopowali prosto po mnie. Wątpię, czy w ogóle mnie widzieli. Czuję, jak pod kopytami pękają mi kości. Nogi, ramiona, żebra, biodra i czaszka. Połamali mi niemal wszystkie większe kości i dużą część mniejszych. W środku byłem niczym układanka.

- Mógł pan umrzeć - wykrztusiła Virginia, Sherlock nie był pewien, ze współczuciem czy żalem.

- Znaleźli mnie moi rodacy, kiedy Brytyjczyków rozerwał na kawałki pocisk z rosyjskiego działa - ciągnął Maupertuis. - Wynieśli mnie z pola bitwy. Opatrzyli moje rany. Poskładali mnie najlepiej, jak umieli i zadbali, by kości się zrosły, ale miałem złamany kark i choć przeżyłem, nie mogę ruszać nogami. Nie odważyli się wieźć mnie nigdzie dalej, przeleżałem więc rok w namiocie, w skwarze i mrozie Krymu. Cały długi rok. I w każdej sekundzie, każdej minucie, każdej godzinie, każdym dniu, tygodniu i miesiącu przeklinałem Brytyjczyków za ich bezmyślność i wypełnianie rozkazów, nieważne, jak byłyby głupie.

- Ale przecież znalazł się tam pan z własnej woli - zauważył Sherlock. - Był pan żołnierzem. I przeżył pan, podczas gdy setki innych ludzi zginęły.

- I każdego dnia żałuję, że nie zginąłem razem z nimi. Ale żyję i mam cel: powalić Imperium Brytyjskie na kolana. Poczynając od ciebie, chłopcze.

Wyrzuciwszy z siebie te słowa, Maupertuis jakby uniósł się w powietrzu i wylądował lekko na stole. Linki nad nim napięły się, pociągane przez jego ubranych na czarno marionetkarzy. W sali rozległo się skrzypienie, kiedy drewno i liny dźwignęły ciężar barona. Służący w jakiś sposób wiedzieli, co mają robić. Sherlock sądził, że pracują ze swym chlebodawcą tak długo, iż wiedzą instynktownie, jakim torem biegną jego myśli, i potrafią natychmiast przełożyć je na działania. Kiedy stopy Maupertuisa dotknęły

stołu, Sherlock zerwał się z miejsca. Za jego plecami Virginia zrobiła to samo.

- Baronie! - zawołał pan Surd. - Nie musi pan robić tego sam. Proszę mi pozwolić zabić te dzieci.

- Nie! - syknął baron. - Nie jestem kaleką! Sam zniszczę te bachory, które stoją mi na drodze! Wszystkie te miesiące, cały ten czas, kiedy sparaliżowany obmyślałem tę uprząż, nie mogą się zmarnować. Sam ich zabiję! Rozumiesz?

- Niech mi pan pozwoli zabić przynajmniej dziewczynę - nalegał Surd. - Przynajmniej to mógłbym zrobić.

- Dobrze - ustąpił baron. - W takim razie ja rozprawię się z chłopakiem.

Maupertuis, jakby pozbawiony ciężaru, sunął w stronę Sherlocka. Jego stopy poruszały się, lecz ledwo dotykały powierzchni stołu. Wyciągnął ku niemu rękę, jakby zapraszając, by także wszedł na stół, ale zamiast tego w rękawie munduru nagle napięły się linki i wysunęła się z niego ukryta lśniąca klinga szabli. Patykowate palce zacisnęły się na miękkiej rękojeści, niezdolne władać ostrzem, lecz tylko nim kierując.

Sherlock cofnął się ku zbroi stojącej przy drzwiach. Wyrwał z jej rękawic miecz, przewracając zbroję na podłogę.

Widział kątem oka, jak pan Surd wychodzi z ciemności, trzymając w ręku złowrogi bicz zakończony metalem, ale wtedy baron skoczył ku niemu ze stołu, wymachując szablą. Przypominająca szubienicę konstrukcja, która go podtrzymywała, była na kółkach. Stali za nią kolejni

służący, ciągnąc, popychając i obracając. Maupertuis mógł błyskawicznie przemieszczać się po pokoju, znacznie szybciej niż Sherlock.

Baron zadał cios szablą. Sherlock sparował go niezręcznie, czując, jak siła uderzenia nadweręża mu mięśnie barku. Klingi sypnęły iskrami. Baron skoczył w powietrze, wznosząc ostrze, by rozłupać nim głowę Sherlocka. Ten przetoczył się w lewo, a klinga wbiła się w oparcie krzesła, na którym siedział jeszcze kilka chwil temu, aż drzazgi posypały się naokoło.

Sherlock zerknął rozpaczliwie w prawo. Virginia cofała się przed panem Surdem, który rozwijał swoją broń. Bicz wystrzelił ku niej niczym atakujący wąż. Uchyliła się, jednak za późno. Na jej policzku otwarła się krwawa pręga, krew rozprysnęła się na skórze w kształt kwiatu.

Sherlock bardzo chciał pójść jej na pomoc, ale baron wylądował lekko na podłodze tuż przed nim. Zerwawszy się na nogi, chłopiec machnął ostrzem na boki, próbując przeciąć linki i sznurki podtrzymujące Maupertuisa, ale czarno odziani służący odciągnęli swego pana w tył, poza jego zasięg. Białe, trupie oblicze barona wyszczerzyło się w krzywym uśmiechu. Jego różowe, szczurze oczka zalśniły triumfem. Rzucił się naprzód, prawą stopą ślizgając się po dywanie, a prawą dłoń z szablą wyciągając w perfekcyjnym ciosie, podczas gdy lewa stopa podpierała ciało. Sherlock słyszał stękania służących, którzy całym ciężarem napierali na liny podtrzymujące barona. Klinga mknęła w powietrzu w kierunku gardła chłopca. Ten próbował odparować cios,

ale stopy zaplątały mu się w fałdach dywanu i padł jak długi do tyłu, uderzając głową o posadzkę.

- Byłem najlepszym szermierzem w całej Francji! - pisał się baron. - I nadal nim jestem!

Virginia krzyknęła. Sherlock spojrział odruchowo w jej kierunku. Surd zagonił dziewczynę pod ścianę. Na jej czole widniała kolejna pręga. Czerwień krwi gasła przy miedzianym odcieniu włosów, lśniących w świetle, które wpadało przez odsłonięte teraz okna. Sherlock próbował ruszyć ku Virginii, ale szabla barona wyprysnęła jakby znikąd i przeciąwszy mu kołnierzyk koszuli, zostawiła na piersi ognistą linię. Podniósł się na nogi i wycofywał pospiesznie, machając przed sobą mieczem w rozpaczliwych próbach zablokowania ciosów przeciwnika.

Przy akompaniamencie skrzypienia drewnianej maszynerii i lin ciało Maupertuisa unosiło się i frunęło naprzód w sposób, jakiemu nie dorównałby żaden zwykły szermierz. Szablą ciął w poziomie, niczym kosą. Mimo przechwałek o mistrzostwie wszelkie myśli o sztuce szermierczej chyba zniknęły z jego umysłu. Machał bezmyślnie szablą, jakby chciał nią zarąbać Sherlocka, którego ramiona słabły już od blokowania ciosów. Paliły go mięśnie, a ścięgna miał napięte niczym struny skrzypiec.

Coś przeleciało w powietrzu obok głowy Sherlocka, odwrócił się więc, by spojrzeć. Była to metalowa rękawica, część zbroi, którą wcześniej przewrócił. Virginia podniosła ją z posadzki i cisnęła nią w pana Surda, a ten zasłonił

sobie twarz. Virginia rzuciła w niego z kolei stalowym butem. Pan Surd, trafiony czubkiem buta tuż nad okiem, zaklął szpetnie.

Sherlock cofał się, a Maupertuis posuwał wciąż naprzód wśród skrzywienia napiętych lin ponad jego pogruchootanym ciałem. Jakim cudem marionetkarzom w czerni udawało się tak doskonale zgrać ruchy? Baron szedł swobodnie jak człowiek, który nigdy nie doznał tak straszliwych urazów. Nawet lekko się kołysał.

Maupertuis uniósł szablę przy swoim lewym uchu i ciął skośnie w dół, ku głowie Sherlocka. Chłopiec zablokował cios. Z kling pofrunęły iskry, niczym maleńkie błyszczące owady, kłując Sherlocka w szyję i ramiona.

Beznadziejna sprawa. Kaleki Maupertuis był mistrzem szermierki, mimo że za każdym jego ruchem stali anonimowi służący. Albo ci ludzie sami byli znakomitymi szermierzami – w co Sherlock mógłby uwierzyć – albo trenowali z baronem tak długo, że instynktownie działali niczym jeden organizm, rozumiejąc się bez słów. Ile tysięcy godzin Maupertuis musiał ich musztrować, by stali się niemal przedłużeniem jego woli?

Sherlock cofnął się, ale tym razem natrafił łokciem i ramieniem na coś twardego. Ściana! Już dalej nie mógł się cofnąć.

Maupertuis zamachnął się gwałtownie, jego szabla zaślnęła niczym błyskawica. Sherlock uchylił się desperacko, lecz klinga przebiła mu kołnierz marynarki i zazgrzytała w spojeniu kamiennych bloków. Próbował się

wyrwać, ale został przygwożdżony do ściany niczym motyl na desce.

Zebrał się w sobie, czekając, aż Maupertuis cofnie klingę, by zadać ostatni cios – wtedy mógłby wyślizgnąć się i uciec. Ale zamiast tego baron uniósł lewą rękę. Sznury i linki zwinęły się niczym ścięgna i coś wysunęło się z jego lewego rękawa. Przez chwilę Sherlock sądził, że to nóż, ale miało dziwny czubek. Wyglądało raczej jak metalowy krążek o ząbkowanej krawędzi.

Coś zakręciło się w ciemnościach za plecami Maupertuisa i kółko zaczęło się obracać, rozsiewając błyski. Sherlock poczuł na twarzy powiew, kiedy baron przysuwał wirujące ostrze coraz bliżej jego prawego oka.

Ogarnęła go rozpacz. Nie dorówna baronowi. Nie zniósłby tego rodzaju tortury przez więcej niż kilka chwil.

Ale musiał ratować Virginie.

Ta myśl pomogła mu zdobyć się na ostatni wysiłek. Obrócił się, wyrwał ramię z rękawa marynarki i padł na kamienną posadzkę. Wirujący krążek uderzył w ścianę, ryjąc w niej płytki rowek. Posypały się iskry i okruchy kamienia. Baron przeklął i próbował wyciągnąć miecz spomiędzy bloków.

Skoro Sherlock nie może pokonać Maupertuisa jako szermierza, pokona go siłą umysłu. Musi tylko wykorzystać jakiś jego słaby punkt. Coś związanego ze sposobem, w jaki baron się poruszał czy też był poruszany. W tym tkwiła jego słabość. Sherlock jeszcze raz spróbował uderzyć w liny i sznury podtrzymujące Maupertuisa, ale baron był czujny



i bez trudu odparował ciosy chłopca wirującą piłą w lewej ręce, podczas gdy prawą wyszarpnął wreszcie klingę ze ściany.

Cofając się, Sherlock niemal przewrócił się o resztki krzesła, na którym wcześniej siedział, roztrzaskanego ciosem miecza barona. Drewno zagrzechotało, gdy je potrącił, a wtedy w głowie pojawił mu się pewien plan. Nie namyślając się długo, schylił się i podniósł największy kawałek krzesła - na który składała się większość poręczy, część siedziska i rzeźbiona noga. Gdy baron znów zaatakował, celując w jego odsłonięte czoło, Sherlock uniósł kawałek krzesła. Ostrze wbiło się głęboko w drewno. Zanim Maupertuis zdołał je wydobyć, chłopiec pociągnął krzesło, unosząc miecz nad głowę przeciwnika. Zahaczył grzbietem dłoni o jedną z lin podtrzymujących Maupertuisa. Przekręcił kawałek krzesła, niemal wrywając szablę z uchwytu barona, wetknął go za kilka innych lin i pozwolił mu się odkręcić. Złapany pomiędzy liny fragment krzesła zawisł w powietrzu. Sherlock puścił go, po czym złapał jedną, a potem drugą z pozostałych lin i tak mocno jak mógł zaplótł je za kawałkiem krzesła.

- Co ty wyprawiasz! - wrzasnął baron, ale było za późno. Unoszące go liny zmieniły się w dziecięcą przeplatankę, przytrzymywaną w miejscu przez poręcz i nogę krzesła. Maupertuis zawisł bezradnie. Służący w ciemnym końcu pokoju starali się ile sił, ale na próżno. Nie mogli usunąć resztek krzesła spomiędzy lin.

Cofnąwszy się, Sherlock machnął mieczem, odcinając pięć czy sześć lin. Nagle zwolnione pofrunęły z brzękiem na wszystkie strony. Ramiona barona opadły, głowa przechyliła się na bok.

- Zapłacisz za to! - wysyczał.

- Niech mi pan przyśle rachunek - powiedział spokojnie Sherlock. Odwrócił się ku miejscu, gdzie stała Virginia, gotów ruszyć jej na ratunek. Ale dziewczyna właśnie uderzyła pana Surda w głowę ostro zakończonym rycerskim hełmem. Kamerdyner padł na podłogę, nieprzytomny i zakrwawiony.

- Chciałem biec ci na pomoc - rzekł Sherlock.

- To dziwne - odparła Virginia. - Ja tobie też.



Dzięki niech będą niebiosom za barona Maupertuisa – wyszeptał żarliwie Sherlock, kiedy zatrzęsął za nimi drzwi jadalni. Nie było w nich zamka, więc naparł całym ciężarem na stojącą tuż obok tekową komodę. Z piskiem przesunęła się po posadzce.

- Dlaczego? – burknęła Virginia, pomagając mu pchać. Przesunęli komodę pod drzwi, tak by nie można ich było otworzyć. – Co niby takiego dla nas zrobił?

Lokaje barona najwyraźniej dotarli do drzwi, bo nagle otwarły się odrobinę, uderzając z hukiem w komodę. Załomotali nimi kilkakrotnie, ale ciężki mebel ani drgnął.

- Lubi, żeby wszystkie jego domy wyglądały tak samo. Dzięki temu wiem, gdzie tu będą stajnie. Chodźmy! – Poprowadził ją tyłami domu do drzwi wyjściowych, a gdy upewnił się, że na zewnątrz nie ma żadnego ze służących, popędzili wzdłuż ściany dworu i znaleźli stajnie. Sądząc po pozycji słońca, było przedpołudnie. Leżeli uśpieni przez całą noc, może dłużej.

Virginia, praktyczna jak zawsze, natychmiast zaczęła siodłać dwa konie.

- Ale co my teraz zrobimy, Sherlocku? Jesteśmy w obcym kraju! Nawet nie znamy języka.

- Właściwie - zarumienił się - to ja znam.

- Znasz francuski?

- Trochę.

Odwróciła się i spojrzała na niego zaskoczona.

- Jak to?

- Moja rodzina ze strony matki pochodzi z Francji. Mama zawsze nalegała, byśmy uczyli się tego języka. Mówiła, że to nasze rodowe dziedzictwo.

Virginia dotknęła jego ramienia.

- Nigdy o niej nie mówisz - zauważyła. - Mówisz o ojcu i bracie, ale nie o niej.

- Nie. - Sherlock poczuł ucisk w gardle. - Nie mówię. - Odwrócił się, unikając jej wzroku.

Virginia naciągnęła ostatni rzemień uprzęży.

- Zatem, zakładając, że rzeczywiście znasz francuski, dokąd pojedziemy? Poprosimy kogoś o pomoc?

- Jedźmy do portu - powiedział Sherlock. - Maupertuis wydał rozkaz, żeby wypuścić pszczoły. Jeśli ich nie powstrzymamy, zginą ludzie. Może nie tak wielu, jak się spodziewał, ale zginą brytyjscy żołnierze. Nie możemy pozwolić, żeby je wypuszczono.

- Ale...

- Nie za wiele naraz - przerwał jej. - Musimy dotrzeć na wybrzeże. Stamtąd wyślemy telegram do mojego brata albo coś takiego.

Virginia skinęła głową.

- Zatem na koń, mistrzu szermierki.

Uśmiechnął się szeroko.

- Ty też byłaś wspaniała.

Ona również się uśmiechnęła.

- Prawda?

Dosiadłszy koni, ruszyli akurat gdy rozbrzmiały okrzyki i dzwon alarmowy. Sherlock wiedział jednak, że za chwilę będą za daleko, by tamci mogli ich dogonić.

W najbliższej wiosce zatrzymali się, by zapytać, gdzie się znajdują. Oboje byli głodni, ale nie mieli miejscowych pieniędzy, mogli więc tylko spoglądać tęsknie na kiełbaski wiszące w witrynach sklepów i piętrzące się na tacach bułki długie jak ramię Sherlocka. Jakiś rolnik powiedział chłopcu, że znajdują się kilka mil od Cherbourga. Wskazał im właściwą drogę i pojechali dalej.

Virginia w pewnym momencie spojrzała na niego z aprobatą.

- Nieźle - stwierdziła. - Jedziesz trochę tak, jakby to był rower, a nie żywe stworzenie, ale i tak nieźle.

Pół godziny później zatrzymali się ponownie, na skraju sadu brzoskwiowego, i napełnili kieszenie owocami, które pałaszowali po drodze, aż sok ciekł im po brodach. Mijany w pędzie krajobraz był zarazem znajomy i inny niż ten, do jakiego Sherlock przywykł w Anglii. W głowie dudniło mu od tętentu końskich kopyt. Musiał wymyślić, co zrobić, kiedy dotrą do Cherbourga.

Kiedy się tam znaleźli, nadal nie miał żadnego pomysłu. Miasto było położone na zboczu wzgórza, które schodziło

ku migotliwym błękitnym wodom zatoki. Kopyta zagrzechotały na bruku. Musieli zwolnić, żeby przedostać się przez tłum, który kłębił się wokół straganów i sklepów przy wijących się uliczkach. Wszystko wyglądało tu niemal tak samo jak w dowolnym mieście na wybrzeżu Anglii, tylko ubrania były inne, a na straganach sprzedawano znacznie więcej serów.

Sherlock i Virginia w końcu zsiadli i z wahaniem zostawili konie uwiązane do parkanu. Ktoś powinien ich przypilnować. Wspinając się na szczyt swoich umiejętności językowych, Sherlock zapytał, gdzie znajdzie urząd telegraficzny, i był zdruzgotany, gdy usłyszał w odpowiedzi, że najbliższy mieści się w Paryżu. Jak w takim razie przekazać wiadomość Mycroftowi?

Musieli znaleźć statek, który zabrałby ich z powrotem do Anglii. To była ich jedyna nadzieja.

Dotarli do kapitanatu portu i zapytali o statki lub łodzie płynące przez kanał La Manche. Kapitan powiedział im, że jest ich kilka, i żmudnie wyliczył nazwy. Cztery z nich były lokalnymi łodziami, wiozącymi towary na sprzedaż – sery, mięso, cebulę. Mógł szepnąć słówko ich kapitanom.

Piąty był angielski kuter rybacki, który przycumował nieoczekiwanie dzisiejszego ranka.

Nazywał się „Pani Eglantine”.

Nazwa ta była dla Sherlocka niczym kubeł zimnej wody. Przez chwilę ogarnęło go przerażające przekonanie, że to pani Eglantine – ochmistrzyni stryjostwa – stoi za tym wszystkim, ale potem przeważył zdrowy rozsądek.

Ktoś użył tego imienia jak flagi, by przyciągnąć jego uwagę. I udało mu się.

„Pani Eglantine” była niewielką łodzią przycumowaną na skraju portu. Dookoła niej rozwieszono niczym pajęczyny sieci rybackie. Amyus Crowe i Matty Arnatt czekali na nich za trapem.

Virginia pobiegła prosto w ramiona ojca. Uniósł ją w powietrze i przytulił mocno. Sherlock klepnął Mattyego w plecy.

- Skąd wiedzieliście, gdzie nas szukać? - zapytał. - Skąd w ogóle wiedzieliście, w którym kraju?

- Pamiętaj, że z zawodu jestem tropicielem - powiedział Crowe. - Kiedy nie wróciłeś do hotelu i zorientowałem się, że Ginny nie ma, próbowaliśmy pójść po twoich śladach. Usłyszałem o pożarze w tunelu Rotherhithe i po niedługim wypytywaniu ustaliłem, że widziano tam uciekającego chłopca z wyglądu podobnego do ciebie. Tymczasem Matty odnalazł łódź, która zawiozła Ginny do doków. Zanim tam dotarliśmy, statek Maupertuisa odpłynął, ale znaleźliśmy dokmistrza, który zapamiętał, że zabrano was na pokład. A właściwie w c i ą g n i ę t o, jak powiedział. Statek odpłynął, ale on pamiętał, jak marynarze mówili, że to tylko krótki rejs przez kanał La Manche do Cherbourga. Wynajęliśmy więc kuter rybacki i wypłynęliśmy, by was odnaleźć. Dotarliśmy tu niedługo po ludziach barona. Albo płynęli wolno, albo zatrzymywali się gdzieś po drodze. Nie jestem pewien. - Crowe mówił spokojnie i z namysłem jak zawsze, a słowa w żaden sposób nie zdradzały jego uczuć,

ale Sherlock pomyślał, że wygląda na znużonego, jakby się nieco postarzał. Obejmował ramiona Virginii, przytulając ją do siebie. A ona najwyraźniej nie miała ochoty wyrywać się z tych objęć. - Dowiedziałem się, że baron ma w pobliżu dom, i właśnie miałem zamiar zebrać grupę miejscowych, kiedy się pojawiliście. Powiedziałbym, że to bardzo sprzyjający zbieg okoliczności.

- To jasne - odparł Sherlock. - Pojechaliśmy do portu najbliższej zamku barona. Tam musiał zacumować jego statek, a pan przecież płynął jego śladem. Było więc całkiem możliwe, że spotkamy się w Cherbourgu prędzej czy później. - Uśmiechnął się. - Zdumiewa mnie jedynie to, że znalazł pan łódź ochrzczoną na cześć ochmistrzyni mego stryja. Przecież to nieprawdopodobne.

- Przedtem nazywała się „Rosie Lee” - wyjaśnił Crowe z uśmiechem. - Liczyłem na to, że znajoma nazwa przyciągnie twoją uwagę, kiedy znajdziesz się w pobliżu i będziesz szukał sposobu powrotu do Anglii. Miałem zamiar nazwać ją „Mycroft Holmes”, ale kapitan powiedział mi, że z nieznanых przyczyn statki nazywane są kobiecymi imionami.

- A więc spodziewał się pan, że uciekniemy baronowi?

Crowe przytaknął.

- Byłbym rozczarowany, gdyby stało się inaczej. Jesteś moim uczniem, a Ginny to moja krew. Cóż byłby ze mnie za belfer, gdybyście oboje usiedli wygodnie i pozwolili trzymać się w niewoli? - mówił żartobliwie i uśmiechał się, ale Sherlock wyczuwał w nim głęboko skrywany niepokój,



nawet strach, który zelżał, dopiero gdy się oboje pojawili. Crowe położył swoją dużą dłoń na ramieniu Sherlocka.

- Uchroniłeś ją - powiedział ciszej. - Dziękuję ci za to.

- Wiem, że wszystko, co pan zrobił, by się tu dostać, było logiczne - odparł Sherlock równie cicho - i wszystko się udało, ale gdyby coś poszło nie tak? Gdyby nie udało nam się uciec albo gdybyśmy pojechali w innym kierunku, albo gdyby pan był na jednym końcu portu, a my na drugim i wsiedlibyśmy na inną łódź? Co wtedy?

- Wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej - odrzekł Crowe. - Jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, ponieważ stało się to, co się stało. Logika może znacznie zwiększyć szanse powodzenia, ale zawsze pozostaje przypadek, któremu trzeba stawić czoło. Tym razem mieliśmy szczęście. Następnym razem - kto wie?

- Nie sądzę, żeby miał być jakiś „następny raz” - rzekł Sherlock. - Ale nadal musimy udaremnić plany barona.

- Jakie plany? - Crowe ściągnął brwi w zaskoczeniu. - Co nieco udało mi się rozpracować, lecz nie wszystko.

Sherlock i Virginia opowiedzieli mu pokrótce o pszczołach, zatrutych mundurach i zamiarach zlikwidowania znacznej części Armii Brytyjskiej odpoczywającej w koszarach w Anglii. Crowe był równie sceptyczny jak Sherlock, jeśli chodzi o powodzenie planu, ale zgodził się, że mogą zginąć ludzie i że choćby jeden zabity żołnierz to o jednego za dużo. Pszczoły należało powstrzymać.

- Ale jak pszczoły dotrą przez morze do Anglii, a potem odnajdą koszary? - zapytał Crowe.

- Czytałem o pszczołach w książkach z biblioteki stryja - odparł Sherlock. - To niezwykle stworzenia. Potrafią rozróżnić setki zapachów w stężeniu znacznie mniejszym niż wyczuwalne dla ludzkiego węchu i są zdolne przebyć całe mile, podążając za nimi. Nie dziwiłbym się, gdyby im się udało... - Urwał, po czym przypomniał sobie: - On mówił o forcie. Powiedział temu zbirowi - panu Surdowi - że pszczoły muszą zostać wypuszczone z fortu. Czy na tym wybrzeżu albo na wybrzeżu Anglii są jakieś fortyfikacje, których mógłby użyć?

- To nie taki fort, jak sądzisz - przerwał mu Matty Arnatt.

- Co masz na myśli?

- Są takie forty na kanale La Manche, niedaleko Southampton, Portsmouth i wyspy Wight, takie wysepki - wyjaśnił. - Zbudowali je na wypadek, gdyby zaatakował nas Napoleon. Większość z nich jest opuszczona, no bo nigdy na nas nie napadł.

- Skąd wiesz? - zapytała Virginia.

Matty skrzywił się.

- Mój tato stacjonował na jednej z nich, kiedy służył w marynarce. To on mi o nich powiedział.

- Dlaczego sądzisz, że Maupertuis skorzysta z takiego fortu? - zapytał Sherlock.

- Mówiłeś, że nienawidzi Brytyjczyków za to, co mu się stało. Chyba miałoby sens, gdyby użył przeciwko nam

jednego z fortów, które zbudowaliśmy, żeby się bronić przed Francuzami?

Crowe przytaknął.

- Chłopak ma rację. Chociaż wypłynęli z Londynu sporo wcześniej, zanim ja i Matty zdążyliśmy wynająć kuter, dotarli do Cherbourga tuż przed nami. Na pewno zatrzymali się przy którymś z tych fortów, żeby zostawić tam ule.

- Ale tych fortów jest do diabła i trochę - powiedział Matty. - Nie zdążymy przeszukać wszystkich.

- On nie chce, żeby pszczoły musiały lecieć zbyt daleko - zauważył Sherlock. - Szukajmy więc fortu najbliższej wybrzeża. I pewnie chce, żeby w pobliżu znajdowała się jakaś większa baza. Potrzebujemy mapy Anglii i wybrzeża, żeby wyrysować linie między każdym z tych morskich fortów a każdą z angielskich baz. Szukamy najkrótszej linii. - Zerknął na zdumione twarze Amyusa Crowe'a i Virginii. - Prosta geometria - dodał.

- A co zrobimy, kiedy znajdziemy właściwy fort? - zapytał Matty.

- Możemy wtedy popłynąć na brzeg brytyjski, żeby nadać wiadomość do Mycrofta Holmesa - zadudnił Crowe. - On mógłby wysłać do fortu jeden ze statków marynarki wojennej.

- To by za długo trwało. - Sherlock potrząsnął głową. - Musimy tam popłynąć, i to natychmiast.

Ostatecznie zrobili jedno i drugie. „Rosie Lee”, tymczasowo pod nazwą „Pani Eglantine”, wypłynęła

z Cherbourga. W czasie rejsu Crowe i Sherlock wyrysowali odległości na mapach i znaleźli najbardziej prawdopodobny fort. Kilka godzin później, kiedy zbliżyli się do niego, słońce zniżało się nad horyzontem, a angielskie wybrzeże było ciemną linią w oddali.

- Od razu zauważą naszą łódź - powiedział Crowe. - Nawet jeśli spuścimy żagle, zobaczą maszt, o ile trzymają wartę - a ja bym tak zrobił na ich miejscu.

- Mamy szalupę przymocowaną do burty - rzekł Sherlock. - Zauważyłem ją, kiedy wsiadaliśmy na pokład. Matty i ja możemy powiosłować do fortu. Wy popłyniecie dalej do Anglii i podniesiecie alarm.

- A może ja popłynę do fortu, a ty, Matthew i Ginny na brzeg?

- Nie umiemy żeglować - odparł Sherlock. Serce waliło mu mocno na myśl o tym, co ma zamiar zrobić, ale nie widział innego wyjścia. - A poza tym Admiralicja i Ministerstwo Wojny prędzej uwierzą panu niż mnie.

- Logiczne - ustąpił niechętnie Crowe.

- Gdziekolwiek dobijecie - ciągnął Sherlock - czy w dokach Portsmouth, w Chatham, Deal, Sheerness, Great Yarmouth czy Plymouth, wszędzie tam są stacje semaforowe. Jeśli nadacie wiadomość, przekażą ją błyskawicznie przez cały kraj dzięki linii semaforowej, aż do Admiralicji. Ten sposób jest chyba szybszy niż telegram.

Crowe przytaknął, uśmiechnął się, po czym wyciągnął wielką, zgrubiałą dłoń i uścisnął rękę Sherlocka.

- Spotkamy się jeszcze.

- Liczę na to - odparł chłopiec.

Sherlock i Matty wskoczyli do szalupy i powiosłowali mocno i szybko w kierunku fortu. Szalupa mogła podpłynąć niepostrzeżenie, podczas gdy łódź rybacka, choćby nawet niepozorna, została by zauważona. Zgodnie z umową Crowe i Virginia ruszyli dalej w stronę Anglii, gdzie mieli wysłać wiadomość z ostrzeżeniem dla rządu brytyjskiego.

Virginia stała przy burcie „Pani Eglantine”, patrząc na Sherlocka, kiedy łódź odpływała coraz dalej od szalupy. On także spoglądał ku niej, myśląc o tym, czy jeszcze się kiedyś zobaczą.

Chłopcy płynęli przez szarozielone, lekko wzburzone morze. Fort był ciemną bryłą na horyzoncie, która wydawała się nie przybliżyć ani odrobinę, choć wiosłowali ile sił. Sherlock czuł smak soli na wargach i zastanawiał się, jakim cudem dał się wplątać w tak przedziwną przygodę.

Gdy po jakimś czasie uniósł głowę, okazało się, że fort jest zaledwie kilkaset stóp od nich: masa mokrego, obrosniętego wodorostami kamienia, która wznosiła się jak wybuch z wód kanału La Manche. Jakimś sposobem podpłynęli niezauważeni. Fort wydawał się opustoszały. Sherlock popatrzył uważnie na jego zwieńczone blankami mury, z których jeszcze kilkadziesiąt lat temu wojska brytyjskie wypatrywały nadciągających francuskich okrętów wojennych. Teraz nie było tu widać nikogo. Zupełnie nikogo.

Przybili szalupą kilka stóp od czarnej sylwetki fortu. Oblewane falami schody prowadziły na górę.

Matty szybko przywiązał cumę do zardzewiałej żelaznej poręczy wpuszczonej w szczelinę między kamieniami, po czym wspięli się po śliskich stopniach. Sherlock omal nie stracił równowagi, Matty musiał go złapać, żeby nie wpadł do wody.

- Skąd wiemy, że nie jest za późno? - zapytał.

- Jest noc. Pszczoły w nocy śpią. Służący barona nie mieli dużo więcej czasu niż my, by tu dotrzeć. Wypuszczą pszczoły rano.

Kiedy dotarli na szczyt, uklękli za niskim murkiem biegnącym wokół zewnętrznej krawędzi fortu. Szczeliny między kamieniami porastał mech.

Sherlock obejrzał najwyższy poziom fortu - ale na kamieniach nie było niczego prócz zwojów lin, kęp trawy morskiej i resztek drewnianych skrzynek.

Po drugiej stronie dojrzał jednak nagły błysk zapalniczki, która oświetliła brodatą twarz z ukośną blizną. Ktokolwiek zarządzał tym fortem, wystawił strażę. On i Matty muszą być ostrożni.

Strażnik oddalał się od nich. Sherlock dostrzegł, że omija otwór w kamiennym tarasie, otoczony z trzech stron drewnianą poręczą. Być może było to zejście do wnętrza fortu. Kiedy mężczyzna poszedł dalej, Sherlock pociągnął Mattyego za koszulę i ruszyli w kierunku otworu.

Miał rację. Kamiennie stopnie schodziły w ciemność. Z szybu unosił się zapach wilgoci i zgnilizny.

- Chodźmy - szepnął Sherlock.

Zbiegli na palcach po schodach do wnętrza fortu. Z początku wydawało się, że jest tam ciemno jak w grobie, ale po chwili, gdy jego wzrok przywykł do ciemności, dostrzegł lampy naftowe wiszące na ścianie w równych odstępach. Znajdowali się w krótkim korytarzu, który przechodził w większe, ciemniejsze pomieszczenie, ledwo oświetlone pomarańczowym blaskiem lamp.

Sherlock i Matty przeszli cicho korytarzem do miejsca, gdzie ściany nagle się rozstępowały. Okrągłe pomieszczenie zajmowało większość poziomu, na którym się znajdowali. Sufit podtrzymywały stojące co kilka jardów kamienne kolumny. Lecz oddech Sherlocka przyspieszył na widok uli, ustawionych w regularnych odstępach na kamiennej posadzce. Były ich setki. Zakładając, że w każdym z nich spało kilkadziesiąt tysięcy pszczoł, oznaczało to, że kilka stóp od niego znajdowały się miliony agresywnych owadów. W nieświadomej reakcji na ich bliskość aż zaswędziała go skóra, niemal jakby czuł, jak łążą mu po ramionach i plecach. Niezależnie od tego, czy wielki plan barona Maupertuisa powiedzie się na skalę Brytanii, obecność wszystkich tych pszczoł w jednym miejscu była z pewnością zagrożeniem dla każdego człowieka w pobliżu.

- Powiedz, że nie będziemy nosić ich po schodach i zrzucić z krawędzi - wyszeptał Matty.

- Nie, nie będziemy nosić ich po schodach i zrzucić z krawędzi - potwierdził Sherlock.

- W takim razie co zrobimy?

- Nie jestem pewien.

- Co to znaczy: nie jesteś pewien?

- To znaczy, że jeszcze się nad tym nie zastanowiłem.

Wszystko działo się w takim pośpiechu.

Matty parsknął.

- Miałeś mnóstwo czasu, kiedy płynęliśmy łodzią.

- Wtedy myślałem o czymś innym.

- Jasne. Dało się zauważyć. - Umilkł na chwilę. -

Moglibyśmy je podpalić - zaproponował.

Sherlock potrząsnął głową.

- Zobacz, jak rozstawione są ule. Podłożylibyśmy ogień pod jeden czy dwa, ale wszystkie by się nie zapaliły i pszczoły by nas pewnie dopadły.

Matty rozejrzał się.

- Co one jedzą? - zapytał.

- Co masz na myśli?

- Jesteśmy na kanale La Manche. Nie ma tu kwiatów, wodorosty chyba się nie liczą. Co będą jeść?

Sherlock zastanowił się przez chwilę.

- To dobre pytanie. Nie mam pojęcia. - Spojrzał dookoła.

- Rozejrzyjmy się, może coś znajdziemy. Rozdzielmy się i spotkajmy po drugiej stronie. Tylko nie daj się złapać.

Matty poszedł w lewo, a Sherlock w prawo. Obejrzawszy się, stwierdził, że jego kolega natychmiast zniknął w półmroku.

Powtarzające się, regularne kształty mijanych uli tworzyły niemal hipnotyzujący wzór. Nie widział pszczoł - być może w ciemnościach wolały pozostać w ulach - ale wydawało mu się, że je słyszy: niskie, usypiające brzęczenie, niemal



na granicy świadomości. Zauważył, że w różnych miejscach ogromnego pomieszczenia rozstawiono drewniane stelaże. Na niektórych umieszczono drewniane tace, inne były puste. Sherlock zastanawiał się, gdzie wcześniej widział takie tace. Było w nich coś znajomego.

Z półmroku wyłoniła się nagle jakaś groteskowa postać: człowiek ubrany w zakrywający całe ciało płócienny strój, z głową osłoniętą muślinowym kapturem, który utrzymywały z dala od twarzy bambusowe obręcze. Pochylił się nad wielką skrzynią - jedną z wielu ustawionych szeregiem pod tym odcinkiem łukowatej ściany. Wyprostował się, trzymając tacę podobną do tych, które umocowano na przypominających sztalugi stelażach rozstawionych tu i ówdzie, i ruszył ku ulom. Z tacki unosiła się jakby delikatna mgiełka.

Sherlock przypomniał sobie wszystko w momencie, kiedy człowiek w stroju pszczelarza podszedł do jednego ze stelaży i wsunął w niego tacę. Widział wcześniej pszczelarzy w takich samych strojach w posiadłości barona Maupertuisa, gdy wyciągali podobne tace spod uli. A potem nagle wszystkie kawałki wskoczyły na swoje miejsce: tacki, unosząca się z nich mgiełka pyłu, lód, który wylądowywał Denny z pociągu w Farnham, i pytanie Mattyego o to, co jedzą pszczoły, kiedy w pobliżu nie ma kwiatów. Wszystko było doskonale logiczne! Pszczoły zbierały pyłek z kwiatów, przenosząc go na włoskach nówek do ula, gdzie się nim żywiły. Jeśli pod ul podstawić tacę i stworzyć coś w rodzaju bramki, przez którą pszczoły będą musiały przejść, pozwoli

to odzyskać i zebrać część pyłku. Jeżeli tace będzie się trzymało w lodzie, pyłek można przechowywać i wykorzystywać w miarę potrzeb - na przykład kiedy wywozi się pszczoły gdzieś, gdzie nie ma kwiatów. Jeśli ustawi się tace dookoła, pszczoły mogą zebrać z nich pyłek i nawet się nie zorientują, że zbierają go po raz drugi.

Kiedy Sherlock myślał o Farnham i dworcu, przypomniało mu się niejasno coś jeszcze, co powiedział Matty. Coś o pyle. I o piekarniach. Przetrzęsnał rupieciarnię swego umysłu, próbując przypomnieć sobie, o co chodziło.

Tak. Pył. Mąka. Matty wspomniał o pożarze, który zdarzył się w piekarni, gdzie pracował. Powiedział, że pył taki jak mąka jest bardzo łatwopalny, kiedy unosi się w powietrzu. Jeśli jedno ziarnko mąki zajmie się ogniem, płomień rozprzestrzeni się szybciej, niż biegnie człowiek.

Jeśli tak się dzieje w przypadku mąki, powinno zadziałać i z pyłkiem.

- Nad czym tak rozmyślamy? - zapytał głos za jego plecami.

Sherlock odwrócił się, wiedząc, kogo zobaczy.

W półmroku stał pan Surd, wierny sługa barona Maupertuisa. Rzemienny bicz spływał mu z dłoni, zwijając się u stóp.

- Nieważne - powiedział, ruszając w stronę Sherlocka. - Jeśli baron chce wiedzieć, co siedzi ci w głowie, to mu ją dostarczę i sam sobie wyciągnie.



Sherlock odsunął się na bok. Pan Surd obrócił się w ślad za nim. Metalowa końcówka bicia zaszurała po posadzce.

Twarz Surda była maską uprzejmej obojętności, ale blizny krzyżujące się na jego czaszce poczerwieniały z gniewu.

- Czy baron zmył panu głowę? - zakpił Sherlock. - To, że pozwolił nam pan uciec, chyba popsuło panu reputację. Idę o zakład, że pański chlebodawca pozbywa się bezużytecznych służących równie łatwo, jak inni wyrzucają zużytą zapalną.

Twarz Surda pozostała obojętna, ale machnął dłonią i bicz wystrzelił. Gdyby Sherlock uchylił głowę ułamek sekundy później, obciąłby mu ucho.

- To zgrabna cyrkowa sztuczka, ale znalazłoby się wiele znacznie lepszych - ciągnął Sherlock, starając się, by głos mu nie drżał. - Może Maupertuis mógłby następnym razem wynajść miotacza noży.

Bicz znów wystrzelił i trzasnął tuż przy lewym uchu Sherlocka tak, że na moment go ogłuszył. Myślał już, że Surd nie trafił, ale nagłe ciepło krwi na karku i narastający

lodowaty ból po tej stronie głowy świadczyły o tym, że metalowy czubek jednak go dosięgnął. Zachwiał się, przyciskając dłoń do ucha. Ból nie był jeszcze taki silny, ale chłopiec chciał ustawić się inaczej i jeszcze mu się to nie udało.

- Każda drwina pod moim adresem to kolejny kawałek skóry zdarty z twojej twarzy - powiedział spokojnie Surd. - Będziesz mnie błagał, żebym cię zabił, a ja będę się śmiał. Będę się tylko śmiał.

- Niech pan się śmieje, dopóki jest pan w stanie - odparł Sherlock. - Może uda mi się przekonać barona, żeby zatrudnił mnie na pana miejsce. Przynajmniej dowiodłem, że jestem bardziej kompetentny niż pan.

- Zachowam cię żywego tylko tak długo, żeby dziewczyna mogła zobaczyć, co z tobą zrobiłem - ciągnął Surd, jakby nie słysząc jego słów. - Nie będzie chciała na ciebie spojrzeć. Krzyknie ze strachu na twój widok. I jak się wtedy będziesz czuł, chłopcze? Jak się będziesz czuł?

- Gada pan lepiej, niż walczy - rzekł Sherlock. Znów zrobił krok w bok. Surd także się przesunął.

Drewniane skrzynie z tacami pyłku były teraz tuż za Sherlockiem. Sięgnął w tył prawą ręką, wymacał krawędź jednej z tac i zacisnął na niej palce. Była zimna od lodu pod spodem.

- Co ty robisz, chłopcze? - zapytał Surd. - Myślisz, że jest tu coś, co ocali ci skórę? To błąd. Wielki błąd.

- Ocalić mnie może tylko mój mózg - powiedział Sherlock, przenosząc tacę przed siebie. Osypujący się z niej pyłek,

żółty i drobny, zmusił go do kaszlu. Surd znów uderzył biczem, celując w prawe oko Sherlocka, ale ten podniósł tacę jak tarczę i rzemień owinał się wokół niej, a metalowa końcówka wbiła się w drewno. Sherlock szarpnął mocno, wyrywając bicz z uchwytu zaskoczonych Surda i odrzucił go na bok.

Surd ryknął niczym bawół i zaatakował chłopca z szeroko rozpostartymi rękami. Sherlock chwycił ze skrzyni drugą tacę i walnął go nią w głowę. Mężczyzna zatoczył się w tył, otoczony chmurą dławiącego, żółtego pyłu. Jeśli przeżyje, zyska kolejne blizny do kolekcji.

Oczywiście, jeśli on przeżyje, to Sherlock prawdopodobnie nie.

Skoczył do przodu i złapał Surda za uszy. Podniósł kolano i walnął o nie twarzą osiłka. Nos Surda złamał się z trzaskiem tak głośnym, jak trzask jego bicza. Mężczyzna cofnął się chwiejnie, zalany krwią płynącą z ust i podbródka.

Zanim Surd zdążył znów zaatakować, Sherlock podniósł bicz z podłogi, wyciągnął metalowy czubek z drewnianej tacy i rozplątał rzemień. Kiedy mężczyzna, wrzeszcząc jak furia, ruszył na niego z chmury pyłu, chłopiec zamachnął się biczem. Nigdy wcześniej tego nie robił, ale przecież widział kilkakrotnie, jak robi to Surd. Rzemień pofrunął ku łysemu osiłkowi, metalowy czubek rozorał mu policzek. Impet uderzenia aż odrzucił go w tył.

Prosto na jeden z uli.

Ul przewrócił się, Surd wpadł na niego, a właściwie do niego. Drewniane deszczułki rozprysnęły się, gdy uderzyli o kamienną posadzkę. Surda pokryła lepka i woskowata zawartość ula.

I pszczoły. Tysiące pszczół.

Przesłoniły mu twarz niczym żywy kaptur, włączając do nosa, ust i uszu, żądłąc, gdzie tylko się dało. Zbir zaczął wrzeszczeć, wydawał z siebie cienki, świszczący dźwięk, który stawał się coraz głośniejszy. Przetoczył się, chcąc zmiażdżyć pszczoły, ale udało mu się jedynie przewrócić kolejny ul.

Po chwili pan Surd był już niewidoczny pod dywanem owadów, które żądliły każdy centymetr jego ciała. Krzyki osiłka stłumiły pszczoły wypełniające mu usta.

Sherlock cofnął się, zdjęty zgrozą. Nigdy wcześniej nie widział niczego podobnego. Walczył o życie, ale to, co stało się z Surdem, było tak straszne, że poczuł mdłości. Zabił człowieka.

- Nie można ani na chwilę zostawić cię samego - powiedział Matty za jego plecami.

- Myślisz, że lubię wdawać się w bójki? - odparł Sherlock, zdając sobie sprawę, że głos drży mu niemal histerycznie. - To mi się po prostu przytrafia.

- Chyba całkiem nieźle się spisałeś - uznał Matty.

- Wiem już, co zrobimy - rzekł Sherlock, starając się zapanować nad głosem. Wskazał chmury żółtego pyłku unoszące się w wewnętrznym pomieszczeniu fortu. -

W tych skrzyniach są tace z pyłkiem. Musimy rozsypać go wszędzie naokoło.

- Dlaczego?

- Pamiętasz, co mi mówiłeś o piekarni w Farnham? - zapytał Sherlock.

W oczach Mattyego pojawił się błysk zrozumienia.

- Kapuję - powiedział. Po chwili spochmurniał. - Ale co z nami?

- Musimy powstrzymać pszczoły, i to teraz. Jesteśmy mniej ważni niż setki, może tysiące ludzi, które zginą, jeśli ich nie powstrzymamy.

- Mimo to... - zaczął Matty. Nagle wyszczerzył zęby, widząc wstrząśniętą minę Sherlocka. - Tylko żartowałem. Do dzieła.

Razem wzięli ze skrzyń z lodem tyle tac zimnego żółtego pyłku, ile zdołali, i przebiegli pomiędzy ulami, rozsypując go tak, że tworzył rozprzestrzeniające się chmury. Po kilku minutach w powietrzu unosiły się jego nieprzeliczone drobiny, a oni ledwo widzieli cokolwiek przed sobą. Trudno było oddychać, żeby się nie zakrztusić. Sherlock chwycił Mattyego za ramię.

- Chodźmy.

Oślepieni kłębamii pyłku po omacku szukali drogi do korytarza i schodów, machając rękami w żółtych chmurach i starając się nie przewrócić żadnego ula.

Sherlock zawadził stopą o coś miękkiego, tak że niemal się wywrócił. Gdy spojrział w dół, zobaczył spuchniętą masę poznaczonego na czerwono ciała, w którym ledwo

rozpoznał twarz Surda. Spod fałdów nabrzmiałej skóry nie było widać oczu, a usta wypełniały martwe pszczoły.

Mimo wszystko Sherlock bardzo chciał pomóc umierającemu mężczyźnie, ale było za późno. Zdjęty uczuciem chłodu i mdłości szedł dalej.

Natrafił na kamienny mur. W lewo czy w prawo? Uznał, że w lewo, i pociągnął Mattyego za koszulę, by ruszył za nim.

Wydawało się, że idą całe godziny, ale naprawdę wyjście na korytarz zajęło im mniej niż minutę. Sherlock odwrócił się i spojrzał w tył. Za nim była tylko kłębiąca się ściana wiszącego w powietrzu żółtego pyłu.

Zdjął lampę naftową ze ściany korytarza. Wążąc ją w rękę, myślał o pszczołach, których całą winą było to, że są takie, jakie są.

Ale nie miał wyboru.

Rzucił lampę. Poleciała łukiem w chmurę pyłku i zniknęła. Sekundę później usłyszał brzęk szkła na kamiennej posadzce.

A po chwili rozległ się potężny huk, kiedy pyłek zajął się ogniem.

Niewidzialna pięść pchnęła Sherlocka w pierś. Poleciał do tyłu, w korytarz. Wydawało się, jakby przed nim płonęło samo powietrze, czuł, że opalił sobie brwi i rzęsy. Uderzył mocno o posadzkę i poturlał się. Matty upadł na niego.

Korytarz za nimi zmienił się w piekło płomieni. Zakrywając usta dłonią, Sherlock wyprowadził Mattyego po schodach na szczyt fortu. Wpadające z zewnątrz powietrze podsycalo jeszcze ogień na dole.



Na górze strażnicy miotali się bezładnie, wrzeszcząc i panikując. Niebo było ciemne, tylko czerwona linia na horyzoncie wskazywała, gdzie zaszło słońce. Strażnicy nie zwrócili żadnej uwagi na dwóch chłopców, którzy przemknęli obok nich, zbiegli po schodach prowadzących do morza i wsiedli do łodzi.

Kiedy odpływali, Sherlock odwrócił się, by spojrzeć. Cały fort stanął w płomieniach. Zbiry Maupertuisa skakały ze szczytu do morza. Na niektórych paliło się ubranie, wyglądali jak gwiazdy spadające w ciemności do wody.

Był to widok, który na zawsze zapadł Sherlockowi w pamięć.

Z wiosłowania ku wybrzeżu Anglii zapamiętali tylko ból ramion i poparzonej skóry oraz skrajne wyczerpanie. Później Sherlock nie mógł się nadziwić, jakim cudem się nie przewrócili ani też nie zgubili i nie zdryfowali na otwarte morze.

Amyus Crowe w jakiś sposób domyślił się, gdzie wylądują. Może obliczył to na podstawie prądów morskich i kierunku wiatru, a może po prostu zgadywał. Sherlock nie wiedział i właściwie nic go to nie obchodziło. Chciał tylko, by ktoś owinął go w koc i pomógł mu dotrzeć do wygodnego łóżka. Ten jeden jedyny raz zdarzyło się dokładnie to, czego pragnął.

Kiedy obudził się następnego ranka, za oknem sypialni krzyczały mewy, a słońce odbite od powierzchni morza tworzyło falujące wzory na suficie pokoju. Był strasznie głodny. Odrzuciwszy kołdrę, włożył ubranie, które nie było

jego, ale miało właściwy rozmiar i czekało na niego na oparciu krzesła. Zszedł po schodach, po których nie pamiętał, żeby wchodził, i znalazł się w sieni tawerny, gdzie najwyraźniej wynajmowano pokoje podróżnym.

I poszukiwaczom przygód.

Przed tawerną rozciągała się niewielka otwarta przestrzeń, a potem teren opadał stromo ku morzu. Sherlock zmrużył oczy w jaskrawym słońcu. Matty Arnatt siedział przy stole na zewnątrz, pożerając potężne śniadanie. Obok niego Amyus Crowe ćmił fajkę.

- Dzieńdoberek - powiedział przyjaźnie. - Głodny?

- Zjadłbym konia z kopytami.

- Lepiej nie mów tego przy Ginny. - Crowe wskazał krzesło przy stole. - Siadaj. Jedzenie zaraz będzie gotowe.

Sherlock usiadł. Bolały go mięśnie, w uszach wciąż mu dzwoniło od eksplozji, swędziały go wyschnięte oczy. Czuł się jakiś inny. Jakby starszy. Widział, jak umierają ludzie, sam spowodował czyjąś śmierć, był odurzany laudanum i torturowany biczem. Jak mógł po tym wszystkim wrócić do szkoły dla chłopców w Deepdene?

- Czy wszystko się zakończyło? - zapytał wreszcie.

- Twój brat otrzymał wiadomość, którą mu wysłaliśmy, i natychmiast ruszył do akcji. Chyba jeden ze statków marynarki płynie teraz do tego fortu, ale sądząc z tego, co mamrotałeś przez sen, znajdą tam chyba tylko zgliszcza. A nawet jeśli rząd brytyjski przekona Francuzów, by przeszukali *château* barona, zapewne do tego czasu będzie stał już pusty. Maupertuis ucieknie wraz ze służącymi. Ale

jego intryga rozpadła się niczym domek z kart, i to dzięki tobie i Mattyemu.

- Ten plan nie mógł zadziałać - powiedział Sherlock, mając w pamięci scenę, gdy wraz z Virginią dyskutowali z baronem. - Nie tak, jak on by chciał.

- Być może. Być może nie. Ale myślę, że zginęliby jacyś ludzie, a ty ich uratowałeś. Możesz sobie pogratulować. Twój brat pewnie także ci podziękuje, kiedy tu przyjedzie.

- Mycroft tu będzie?

- Już jest w pociągu.

Z tawerny wyszła kobieta w fartuszkach, niosąc talerz wyładowany wszystkim, czego można by tylko zapragnąć na śniadanie, oraz kilkoma rzeczami, których Sherlock nie rozpoznawał. Uśmiechnęła się i postawiła przed nim talerz.

- Wsuwaj - rzekł Crowe. - Zasłużyłeś na to.

Sherlock umilkł na chwilę. Wszystko wokół wydawało się zarazem nadnaturalnie wyraźne i jakby lekko oddalone.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Crowe.

- Nie jestem pewien - odpowiedział Sherlock.

- Wiele przeszedłeś. Pozbawiono cię przytomności, potem podano ci laudanum, nie wspominając o kilku walkach na pięści oraz długim wiosłowaniu. To nie pozostaje bez wpływu na organizm.

Laudanum. Przypomniał sobie dziwne sny, które miał kiedy, go uszpięto i wieziono do Francji, Sherlock poczuł jakby... melancholię? Smutek. Ale chyba nie... tęsknotę? Jakiegokolwiek było to uczucie, odepchnął je. Słyszał

o ludziach, którzy uzależnili się od działania laudanum, i nie miał zamiaru pójść w ich ślady. Absolutnie.

- Jak się czuje Virginia? - zapytał, by otrząsnąć się z tego nastroju.

- Jest zła, że ominęła ją cała zabawa. I tęskni za swoim koniem. Chce rozejrzeć się po mieście, ale powiedziałem, że nie może iść sama. Pewnie się ucieszy, że się obudziłaś.

Sherlock wpatrzył się w morze.

- Nie mogę uwierzyć, że już po wszystkim.

- Jeszcze nie - rzekł Crowe. - Teraz to część twojego życia, a ono toczy się dalej. Nie możesz oddzielić tych wydarzeń jako historii z początkiem i końcem. Zmieniły cię, a to znaczy, że opowieść nigdy naprawdę się nie kończy. Ale jako twój guwerner muszę ci zadać pytanie: czego nauczyła cię cała ta historia?

Sherlock myślał dłuższą chwilę.

- Dowiedziałem się - odparł wreszcie - że pszczoły to fascynujące i niesłusznie lekceważone stworzenia. Myślę, że chciałbym poznać je lepiej. Być może nawet zmienić opinie ludzi na ich temat. - Skrzywił się. - Chyba jestem im to winien, ponieważ tak dużo ich zabiłem. - Zerknął na Mattyego Arnatta. - A ty, Matty? Czego się nauczyłeś?

Matty podniósł wzrok znad talerza.

- Przekonałem się - powiedział - że ty musisz mieć kogoś, kto by cię pilnował, bo inaczej całe to logiczne rozumowanie kiedyś cię zabije.

- Masz ochotę na to stanowisko? - zapytał Amyus Crowe, mrużąc oczy w uśmiechu.

- Nie wiem - odparł Matty. - A ile płacą?

Podczas gdy Amyus się śmiał, a Matty protestował, że mówi serio, Sherlock patrzył na stałe, odwieczne morze, zastanawiając się, co jeszcze wydarzy się w jego życiu. Czuł, jakby otworzyła się przed nim droga, o której istnieniu dotychczas nie wiedział. Co znajdzie u jej kresu?

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Zerknął ku tawernie, przed którą biegła droga. Nadjeżdżał jakiś powóz - czarny powóz ciągnięty przez dwa czarne konie. Przez chwilę myślał, że to przyjechał Mycroft, i już niemal wstał.

A potem z dreszczem zgrozy dojrzał trupio białą twarz i różowe oczy wpatrujące się w niego przez okno, zanim dłoń w rękawiczce zatrzęsła mocno rolety, kiedy powóz przejeżdżał obok nich. I wiedział, że ma rację: nic już nie będzie takie samo. Baron Maupertuis i Komnata Paradoru wciąż istnieją i nigdy nie spoczną.

Co znaczyło, że on także nigdy nie zazna spokoju.

# UWAGA NA TEMAT PIENIĘDZY

Pieniądze w Anglii lat 60. XIX wieku nie były takie jak w naszych czasach. Obecnie w Wielkiej Brytanii używa się systemu dziesiętnego, wprowadzonego w 1971 roku. Dziś jeden funt to 100 pensów, ale wówczas na funt składało się 240 pensów. W całej książce używam takich nazw, jakich używano w epoce: ćwierćpensówki, suwereny, szylingi i tak dalej.

# PODZIĘKOWANIA

Aby nie popełnić błędów w opisach epoki i miejsc, korzystałem z wielu książek. Szczególnie wiele zawdzięczam następującym dziełom:

P.A.L. Vien, *London's Lost Route to Basingstoke: The Story of the Basingstoke Canal*, Allan Sutton Publishing, 1968, 1994 wydanie poprawione i rozszerzone – wspaniały materiał na temat lokalnych szlaków wodnych i kanałów w rejonie Farnham.

Peter A. Harding, *The Tongham Railway*, wydane nakładem autora w 1994 – wyraźnie wytwór indywidualnej obsesji, ale niezwykle użyteczny.

Jean Parrat, *Bygone Farnham*, Phillimore & Co. Ltd 1985 – użyteczny choćby ze względu na wyczerpującą listę pubów i gospód, z której wynika, że w co drugim domu w Farnham sprzedawano piwo.

Richard Trench, Ellis Hillman, *London Under London – A Subterranean Guide*, John Murray (pierwszy wydawca opowiadań o Sherlocku Holmesie w postaci książkowej),

1984 - klasyczny przewodnik po podziemnych londyńskich rzekach i tunelach.

Antony Clayton, *Subterranean City - Beneath the Streets of London*, Historical Publications 2000 - opisuje mniej więcej to samo, co książka Trenchera i Hillmana, ale korzysta z niedawno odkrytych dokumentów. Choć „odkopanych” byłoby może lepszym słowem.

Michael Harrison, *The London of Sherlock Holmes*, David & Charles 1972 - bezcenne i znakomicie udokumentowane odtworzenie Londynu takiego, jakim oglądałby go Sherlock Holmes.



# POSŁOWIE

Arthur Conan Doyle napisał pięćdziesiąt sześć opowiadań i cztery powieści o Sherlocku Holmesie. Zwykle można je znaleźć w księgarniach. Kiedy Sherlock pojawił się po raz pierwszy, miał około trzydziestu trzech lat i był już detektywem o ustalonych nawykach i zdolnościach. W ostatnim opowiadaniu ma około sześćdziesięciu lat, jest na emeryturze i mieszka na wybrzeżu Sussex, gdzie hoduje pszczoły. Tak, pszczoły.

Książkę, którą trzymasz w rękach, i kolejne, które dopiero zostaną wydane, pisałem po to, by się dowiedzieć, jaki był Sherlock, zanim Arthur Conan Doyle po raz pierwszy przedstawił go światu. Jakim był nastolatkiem? Gdzie chodził do szkoły i z kim się przyjaźnił? Gdzie i kiedy posiadał umiejętności, które przejawiał w późniejszym życiu – takie jak zdolność logicznego myślenia, boks i szermierka, miłość do muzyki i gra na skrzypcach? Co studiował na uniwersytecie? Kiedy (jeśli w ogóle) wyjeżdżał za granicę? Czego się bał i kogo kochał, jeśli była taka osoba?

Przez lata tyle osób pisało o Sherlocku Holmesie, że jest on chyba najbardziej rozpoznawaną postacią fikcyjną na

świecie. Liczba opowieści o Holmesie autorstwa innych pisarzy znacznie przekracza liczbę utworów Arthura Conan Doyle'a, ale jednak to do jego opowiadań i powieści wciąż wracają czytelnicy. Nie bez powodu: rozumiał Sherlocka do głębi, podczas gdy inni autorzy w większości tworzyli tylko powierzchowne imitacje.

Arthur Conan Doyle zostawił niewiele wzmianek o młodości Sherlocka, więc większość pisarzy także pomijała ten okres. Mało wiadomo o jego rodzicach czy nawet o tym, gdzie mieszkał. Wiemy, że w jego rodzinie od strony matki był francuski malarz nazwiskiem Vernet i że miał brata o imieniu Mycroft, który pojawia się w kilku opowiadaniach, ale to wszystko. Mogłem dzięki temu swobodnie stworzyć Sherlockowi przeszłość spójną z nielicznymi wzmiankami Conan Doyle'a i prowadzącą nieuchronnie do człowieka, jakiego opisał. Podejmując się tego zadania, miałem szczęście otrzymać zgodę Jona Lellenberga, przedstawiciela Conan Doyle Estate Ltd, oraz zgodę żyjących krewnych Conan Doyle'a: Richarda Pooleya, Richarda Doyle'a i Cathy Beggs. Uzyskałem także akceptację Andrei Plunkett, właścicielki wielu znaków firmowych w Europie. Miałem również szczęście współpracować z agentem i wydawcą – Robertem Kirbym i Rebeccą McNally – którzy doskonale rozumieli moje zamiary.

Różni autorzy próbowali napisać własne biografie Sherlocka Holmesa, łącząc fakty opisane przez Doyle'a z wydarzeniami historycznymi. Dzieła te są nieuchronnie

pełne błędów, niepełne i naznaczone osobowością autorów, ale muszę zdradzić, że żywię coś w rodzaju sympatii dla książki Williama Baringa-Goulda *Sherlock Holmes - A Biography of the World's First Consulting Detective*. Niektóre szczegóły (głównie daty) zaczerpnąłem z tego właśnie dzieła<sup>3</sup>.

Obiecuję, że będą następne przygody Sherlocka Holmesa w szkole i na uniwersytecie, ale tymczasem może zechcielibyście zajrzeć do oryginalnych opowiadań Arthura Conan Doyle'a. Opowiadania zostały zebrane w pięciu tomach: *Przygody Sherlocka Holmesa*, *Wspomnienia Sherlocka Holmesa*, *Powrót Sherlocka Holmesa*, *Jego ostatni ukłon* oraz *Księga przypadków Sherlocka Holmesa*. Powieści to *Studium w szkarłacie*, *Znak czterech*, *Pies Baskerville'ów* oraz *Dolina trwogi*. Jeśli macie ochotę na więcej, możecie zajrzeć do trzech niedawno wydanych powieści o Holmesie autorstwa Nicholasa Meyera - *The Seven Per Cent Solution*, *The West End Horror* oraz *The Canary Trainer*, a także do książki Michaela Hardwicka *The Revenge of the Hound* oraz *Dust and Shadow* Lyndsay Faye. Warto również sięgnąć po opowiadania Michaela Kurlanda pisane z punktu widzenia arcywroga Sherlocka Holmesa, profesora Jamesa Moriartyego, dające świeże spojrzenie na Wielkiego Detektywa: *The Infernal Device*, *Death by Gaslight* i *The Great Game*. Najlepiej szukać ich w antykwariatach albo na aukcjach internetowych.

Do zobaczenia następnym razem, kiedy Sherlock będzie musiał się zmierzyć z odrażającą Czerwoną Pijawką...

# Przypisy

## 1

Pozostawiam miary angielskie, z nadzieją, że pozwolą czytelnikowi lepiej wczuć się w klimat miejsca i epoki. Dla ułatwienia: 1 jard = 3 stopy, a 1 stopa = 0,3 metra. Na stopę składa się 12 cali, a 1 cal = 2,5 cm. Mila to 1760 jardów, czyli 1,6 kilometra. Na końcu książki czytelnik znajdzie komentarz autora dotyczący ówczesnych angielskich jednostek monetarnych (przyp. tłum.).

## 2

Przekład Zuzanny Naczyńskiej.

## 3

Polski czytelnik być może zechce sięgnąć po książkę Nicka Rennisona *Sherlock Holmes. Biografia nieautoryzowana*, przeł. Anna Bartkowicz, W.A.B. Warszawa 2010 (przyp. tłum.).